

**John Marsden**

# Jutro 3

**W objęciach chłodu**

*A Killing Frost*

Tłumaczenie

Anna Gralak



# **Podziękowania**

Bardzo dziękuję za ogromną pomoc, jakiej udzielili mi: Lizzie Farran, Lachlan Dunn, Dallas Wilkinson, Rob Alexander, Peter Sapleton, Heide Zonneveld, Hayley Reynolds, Anne O'Connor, Rebecca Dunne i Lauren Sandstron.

Pierwszą czytelniczką tej trylogii była Julia Stiles. Nigdy nie zapomnę jej cudownego wsparcia i entuzjazmu.

*Dla mojej siostry i długoletniej przyjaciółki*

*Rosalind Alexander*

J. M.

„Ostry przymrozek trzeciego dnia chwyta”.

William Szekspir, *Sławna historia życia Henryka VIII*

(tłum. Leon Ulrich)

# 1

Czasami myślę, że wolałabym się bać niż nudzić. Kiedy się boisz, przynajmniej wiesz, że żyjesz. Energia tak szybko płynie przez ciało, że wylewa się na wierzch jako pot. Twoje serce - serce, które ją pompuje - huczy w piersi jak stary wiatrak w burzliwą noc. Na nic więcej nie ma miejsca. Zapominasz o zmęczeniu, zimnie i głodzie. Zapominasz o poobijanym kolanie i o bolącym zębie. Zapominasz o przeszłości i o tym, że istnieje coś takiego jak przyszłość.

Zostałam ekspertką od strachu. Odczuwałam wszystkie silne emocje, jakie istnieją: miłość, nienawiść, zazdrość, wściekłość. Największą z nich wszystkich jest jednak strach. Nic tak jak on nie sięga w głąb ciebie i nie ścisną twoich wnętrzności. Nic innego nie ma nad tobą tak wielkiej władzy. Strach jest jak choroba, gorączka, która przejmuję nad tobą kontrolę.

Znam pewne sztuczki, które pozwalają trzymać strach na dystans. Wiem, każdy z nas je zna. Czasami działają, jak chcą. Jedną z moich sztuczek polega na przypominaniu sobie dowcipów usłyszanych w przeszłości. Innej nauczył mnie Homer. Jest dość prosta. Trzeba sobie powtarzać: „Nie będę myślała o strachu. Będę silna. Będę odważna”.

Pomagają w wypadku umiarkowanego strachu. Za to w panice stają się bezużyteczne. Gdy dopada cię prawdziwy strach, kiedy przerażenie burzy mury obronne, takie sztuczki nie zdają się na nic.

Dwa ostatnie tygodnie spędzone w Piekło były okropnie nudne. Kiedy bardzo się boisz, marzysz o takiej nudzie, ale gdy ona naprawdę cię dopada, okazuje się nieznośna. Możliwe jednak, że zdążyłam się już uzależnić od strachu, bo często rozmyślałam o niebezpiecznych rzeczach, które mogliśmy zrobić, o brawurowych atakach, które mogliśmy przypuścić.

Ostatnio sama już nie wiem, w jakim jestem nastroju: morderczym, samobójczym, złąknionym paniki czy złąknionym nudy.

Zastanawiam się, co się działo z ludźmi walczącymi na wojnach, kiedy walki ustawały. Tam walczyli przeważnie mężczyźni, ale było też sporo kobiet. Nie zawsze brały udział w walkach jako żołnierze, ale nie trzeba być żołnierzem, by wojna odcisnęła na tobie piętno. Czy w dniu ogłoszenia pokoju każdy z nich wciskał swój przycisk z napisem „OFF”? Czy to w ogóle możliwe? Wiem, że w moim wypadku nie. Chyba przyzwyczajam się do zmiany, która ostatnio zaszła w moim życiu: z totalnej wrzawy na totalny zastój. Często

marzę jednak o regularnym rytmie dawnego życia. W ciągu roku szkolnego moje dni zawsze rozpoczynały się tak samo: jadłam śniadanie, szykowałam sobie lunch, pakowałam plecak i całowałam mamę na pożegnanie. Tata zazwyczaj pracował już w polu, ale czasami wstawałam wcześniej, żeby zjeść z nim śniadanie. Zdarzało się, że budziłam się o zwykłej porze i zastawałam go jeszcze na dole, gdzie grzał plecy o kuchenkę.

Od lat - odkąd urosłam wystarczająco, by osiągnąć do pedałów - sama jeździłam samochodem na przystanek autobusowy. Dzieciaki mieszkające w gospodarstwach mogą zdobyć w tym celu specjalne prawo jazdy, ale my nie zaprzataliśmy sobie nim głowy. Tata uznał, że to kolejny głupi biurokratyczny wymysł. Nasz dom dzielił cztery kilometry od bramy przy Providence Gully Road. Nie jest to nasza frontowa brama, ale jedyna na trasie szkolnego autobusu. Tak jak większość rodzin mieliśmy „polnego gruchota” - niezarejestrowaną bombę na kółkach - z którego korzystają głównie dzieci albo ludzie wypasający bydło. U nas służył do tego datsun 120Y, którego tata kupił za osiemdziesiąt dolarów na wyprzedazy. Zazwyczaj jeździłam właśnie nim, ale kiedy odmawiał posłuszeństwa - albo gdy tata potrzebował go do innych zadań - jechałam land-roverem albo motorem. Potem zostawiałam pojazd pod drzewem na cały dzień i zabierałam go w drodze powrotnej.

W szkole było fajnie i lubiłam przebywać wśród przyjaciół - życie towarzyskie, plotki, rozmowy o chłopakach - lecz podobnie jak w wypadku większości dzieciaków ze wsi, życie na farmie pochłaniało równie dużo mojej energii, czasu i uwagi co szkoła. Nie jestem pewna, czy z dziećmi z miasta jest podobnie. Czasami mam wrażenie, że dla nich szkoła jest ważniejsza. Jasne, dla nas też jest ważna, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy każdy się martwi, że nie będzie w stanie wyżyć z uprawy ziemi, że nie będzie w stanie kontynuować pracy rodziców. W dzisiejszych czasach każdy dzieciak ze wsi musi brać pod uwagę jakąś inną formę zarabiania na życie.

O czym ja właściwie mówię? Na kilka minut wróciłam do czasów pokoju, kiedy naszym największym zmartwieniem było zdobycie pracy. Jakie to głupie. Teraz marzenia o karierze neurochirurgów, szefów kuchni, fryzjerek i adwokatów poszły z dymem. Z dymem o zapachu prochu strzelniczego. Teraz marzymy już tylko o tym, żeby przetrwać. Pan Kassar, który prowadził w szkole kółko teatralne, nazwałby to „zmianą perspektywy”.

Od początku inwazji minęło prawie pół roku. Żyjemy w strefie działań wojennych od stycznia, a teraz jest czerwiec. Tak krótko, a zarazem tak długo. Napadli na nasz kraj jak szarańcza, jak szczury, jak uparte chwasty. W takim kraju jak ten powinniśmy być przyzwyczajeni do plag, lecz ta okazała się najszybsza, najbardziej niespodziewana i najskuteczniejsza ze wszystkich. Wróg był zbyt przebiegły, zbyt zawzięty i za dobrze

zorganizowany. Im lepiej go poznaję, tym wyraźniej widzę, że musiał to planować od lat. Stosował na przykład różne taktyki w zależności od miejsca. Nie zaprzętał sobie głowy odizolowanymi społecznościami, buszem ani farmami na odludziu, nie licząc tych leżących w takich miejscach jak Wirrawee, moje rodzinne miasteczko. Żołnierze musieli wkroczyć do Wirrawee, bo zależało im na zabezpieczeniu drogi biegnącej z Zatoki Szewca, ogromnego portu.

W Wirrawee poszło im dość łatwo. Przypuścili atak w Dniu Pamięci, kiedy cały kraj świętuje. W Wirrawee jest wtedy festyn, więc wystarczyło opanować teren wystawowy i już mieli w garści dziewięćdziesiąt procent mieszkańców. Aby zająć duże miasta, musieli jednak trochę bardziej pogłówkować. Przeważnie brali zakładników i najczęściej były nimi dzieci. Strategia polegała na tym, żeby wszystko działo się tak szybko, by zabrakło czasu na myślenie, na zastanowienie się. W wypadku najmniejszego opóźnienia żołnierze zaczęli wysadzać w powietrze różne obiekty i zabijać ludzi. Podziałało. Te szczury polityczne, nasi przywódcy - ludzie, którzy w czasie pokoju codziennie nam powtarzali, jacy są wspaniali i że powinniśmy na nich głosować - poczuli, jak woda wokół tonącego kraju obmywa im kostki. Uciekli do Waszyngtonu, zostawiając za sobą chaos i mrok.

Tak, inwazja była przebiegła, brutalna i skuteczna.

A przez nią - albo może przez naszą własną apatię i egoizm - nasze ambicje z czasu pokoju rozplynęły się w powietrzu i nagle życie zaczęło nam upływać pod znakiem strachu i nudy.

Oczywiście strach i nuda nie były jedynymi emocjami, które odczuwaliśmy. Zdarzały się także inne: czasami do głosu dochodziła nawet duma. W połowie jesieni w pięcioro - Homer, Robyn, Fi, Lee i ja - przypuściliśmy nasz największy atak. Wykorzystaliśmy gaz, aby wysadzić w powietrze rząd domów, w których mieściły się kwatery dowództwa. Wynik przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania: wywołana przez nas eksplozja dostałaby jedenastkę w skali Richtera. Nie było chmury w kształcie grzyba, ale poza tym wybuch wyglądał naprawdę efektownie. Widowisko robiło spore wrażenie, lecz dopiero później zdaliśmy sobie sprawę, co tak naprawdę zrobiliśmy. Uciekliśmy do swojej górskiej kryjówki, ale po drodze zajechaliśmy po trochę jedzenia i dokonaliśmy okropnego odkrycia: znaleźliśmy ciało naszego przyjaciela Chrisa. Zabraliśmy je ze sobą i pochowaliśmy w naszym schronieniu, w zarośniętej kotlinie pełnej skał i krzaków - w Piekło. Ukrywaliśmy się tam całymi tygodniami, a zawziętość, z jaką nas tropiono, coraz bardziej nam uświadamiała, że szybko awansowaliśmy na liście najbardziej poszukiwanych osób w kraju. Zaciekłość pościgu nas przerażała. Bez dostępu do informacji - ograniczonych do sporadycznych wiadomości

radiowych z innych krajów - nie mogliśmy się dowiedzieć, kogo zabiliśmy ani co zniszczyliśmy. Najwidoczniej byliśmy jednak w wielkich tarapatach.

Kiedy poszukiwania się uspokoiły i polujące na nas helikoptery wróciły do swoich legowisk, my także trochę odetchnęliśmy. Na razie nie spieszyło nam się do następnych akcji. Siedzieliśmy w naszym domu w dziczy jeszcze kilka tygodni. Mieliśmy mnóstwo jedzenia - aczkolwiek niezbyt urozmaiconego - więc obijaliśmy się, jedliśmy, spaliśmy, rozmawialiśmy, miewaliśmy koszmary, trzęśliśmy się, krzyczeliśmy i podskakiwaliśmy wystraszeni, słysząc nagły szelest poszycia. Każde z nas reagowało inaczej. Lee dostał tiku nerwowego, który dopadał go zwłaszcza w nocy i ciągnął prawy kącik ust w stronę oka, gdy tylko Lee chciał coś powiedzieć. A kiedy się kochaliśmy - chociaż twierdził, że sprawia mu to przyjemność i na początku zawsze był bardzo podniecony - ostatecznie jego ciało nie chciało robić tego, czego chciał Lee.

I czego chciałam ja. Czego oboje chcieliśmy.

Robyn przestała jeść i spać. Zawsze była apetycznie zaokrąglona, ale teraz zaczęła gwałtownie chudnąć - chudnąć w brzydki sposób, który nigdy mi się nie podobał u moich przyjaciółek. „Myślisz, że masz problemy? - zapytała mnie pewnego dnia, kiedy wściekałam się na nie działający otwieracz do konserw. - Ja mam paranoję, anoreksję i cierpię na bezsenność”.

To był jeden z naszych nielicznych żarcików. Tyle że w zasadzie nikogo nie śmieszył.

Homer pograżył się w niemej depresji i całymi dniami do nikogo się nie odzywał. Godzinami przesiadywał na skale, gapił się na Szew Krawca i miałam wrażenie, że korzysta ze swojego głosu tylko wtedy, kiedy ma napad złości. Zawsze słytał z trudnego charakteru, ale teraz zupełnie tracił panowanie nad sobą. Dawniej, gdy dochodziło do kłótni i Homer zaczynał się wydzierać, zawsze stawiałam mu czoła, ale od kilku tygodni brałam przykład z pozostałych i kiedy Homer eksplodował, wycofywałam się w zarośla.

Jeśli chodzi o mnie, gnębiły mnie te same przypadłości co innych, ale dorzuciłam coś od siebie. Moją specjalnością były wspomnienia tak żywe, że łudząco przypominały rzeczywistość. Wystarczyło, że poczułam jakiś zapach. Kawałek plastiku wpadał nocą do ogniska i już po chwili byłam na Buttercup Lane, powietrze wypełniała woń palonej gumy, a ciężarówka z piskiem opon wpadała jedna na drugą. Mój umysł nie mógł odróżnić rzeczywistości od iluzji. Zupełnie jakbym miała koszmary, tyle że na jawie. Pot tak szybko płynął mi po twarzy, że szczypały mnie oczy. Potem gwałtownie łąpałam powietrze, a jeszcze później dostawałam spazmów. Nie muszę dodawać, że w nocy także śniły mi się koszmary, aż w końcu bałam się iść spać. Minęło tyle czasu, odkąd po raz ostatni miałam szansę się



wyspać, że zapomniałam już, jakie to uczucie, mimo że często o nim marzę i tęsknię za nim.

Osobą, która na tamtym etapie radziła sobie najlepiej z nas, była Fi. Stała się tak smukłą, że wyglądała jak konik polny. Miała bardzo długie nogi. Może właśnie dlatego zawsze wydawała mi się krucha, wątła, wymagająca ochrony. Drzemała w niej jednak siła, której nigdy do końca nie pojęłam. Nie wiem, skąd Fi ją brała ani gdzie gromadziła. Ile odwagi potrafiła wykrzesać z tego swojego małego ciała? Jak gruba mogła być ta biała jak drzewo balsy skóra? Nie żeby Fi nie miała żadnych uczuć. Zawsze była megawrażliwa. Wydawała się napięta jak struna: najlżejszy dotyk wprawiał ją w wibracje. Okropne rzeczy, które robiliśmy, nie zżerały jej jednak tak jak reszty z nas. Wzniosła się ponad nie. Być może między innymi dlatego, że była przekonana o słuszności naszych działań. Dumna z naszych dokonań. Ja też czasami czułam dumę, ale prawdę mówiąc, nigdy nie byłam pewna, czy powinnam być dumna, czy raczej się wstydzić.

Mimo to gdy znowu usłyszeliśmy wezwanie do działania, zareagowaliśmy natychmiast. Może funkcjonowaliśmy jak roboty, zaprogramowane, by zabijać i niszczyć... Tak czy siak, zareagowaliśmy.

## 2

Od trzech tygodni na niebie nie było widać żadnych samolotów. Osy i szerszenie, które krążyły nad naszymi głowami i bzyząc ze złością, czekały, aż wyjdziemy z ukrycia, powróciły do swoich gniazd. Może pomyślały, że opuściliśmy ten rejon. Może podejrzewały, że ukryliśmy się w górach, ale nie miały co do tego pewności - a nawet gdyby miały, nie wiedziały, gdzie dokładnie nas szukać.

Kilka dni po ich zniknięciu powoli zaczęliśmy się odprężyć. Czuliśmy, że się poddały.

Lee jako pierwszy wspomniał o tym, żeby znowu ruszyć do akcji. Gdyby on tego nie powiedział, zrobiłby to ktoś inny. Już zaczynałam analizować kilka pomysłów, bo miałam lekkie wyrzuty sumienia, kiedy tak długo siedzieliśmy beczynnie. Istniał strach przed robieniem czegoś i strach przed robieniem zbyt mało. Te uczucia bez przerwy ze sobą walczyły. Lee chciał jednak, żebyśmy wyszli poza Wirrawee, aż do Zatoki Szewca. A taki pomysł napawał nas okropnym przerażeniem.

Zatoka Szewca była cudownym portem, lecz w czasie pokoju za bardzo oddalonym od miasta, by regularnie zawijały do niego statki. Cieszyła się popularnością wśród kutrów, łodzi turystycznych i jachtów szukających schronienia na parę nocy. Od początku inwazji wróg intensywnie z niej jednak korzystał. Najważniejsze porty w kraju uległy tak poważnemu zniszczeniu, że Zatoka Szewca stała się bardzo ważna. Autostradą tam i z powrotem często sunęły konwoje wiozące żołnierzy, zapasy i broń.

Zniszczyliśmy most nad rzeką Heron w Wirrawee, zmuszając te konwoje do jeżdżenia okrężną drogą, i zaatakowaliśmy jeden z nich przy Buttercup Lane. Teraz Lee zaproponował, żebyśmy uderzyli w samo źródło.

- Ale co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy? - zapytała Fi.

- Nie wiem. Wymyślimy coś po drodze. Tak jak poprzednio.

- Mieliśmy dużo szczęścia.

- Nie wszystko zależy od szczęścia - powiedziałam, mimo że sama wierzyłam w szczęście. W każdym razie czasami. - Nie zapominajcie, że jesteśmy wolni i możemy robić, co tylko chcemy i kiedy mamy ochotę. To nam daje przewagę. Oni mogą się tylko domyślać naszego następnego ruchu albo reagować na to, co już zrobiliśmy. Prawie jakby... Sama nie wiem... Jakby oni działali według zasad, a my nie. Oni są ograniczeni, a my nie. Wyobraźcie

sobie, że gracie w hokeja i jedna z drużyn przestrzega zasad, a druga robi, co chce. Z nami jest trochę podobnie. Możemy podnieść krążek i rzucać go sobie albo tłuc ich kijami w piszczele, a im pozostaje na to reagować dopiero po fakcie.

- Tak - wolno powiedział Homer. - Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. Ale masz całkowitą rację. Jeśli zamierzamy przypuścić atak w Zatoce Szewca, będziemy musieli działać najradykałniej, jak się da. Zupełnie nieprzewidywalnie. Wykorzystać przewagę, o której mówi Ellie, najlepiej, jak tylko można.

- Więc naprawdę zaatakujemy w zatoce? - zapytała cicho Robyn.

Nastąpiła chwila milczenia. Wszyscy czekali, żeby zadeklarował się ktoś inny. W końcu usłyszałam własny głos:

- To fajne miejsce na wakacje.

Nie wiem, dlaczego czasami zgrywam bohaterkę. Zrzućmy to na karb presji ze strony rówieśników. Nigdy, przenigdy nie czuję się jak bohaterka. Myślę jednak, że i tak w końcu postanowilibyśmy przyjrzeć się zatoce. Nikt nie wytrzymałby dłuższego uziemienia w Piekło i nikt nie miał lepszego pomysłu.

Wyruszyliśmy dwa dni później. Wydaje mi się, że była niedziela rano, choć każde z nas miało inną teorię na temat aktualnej daty.

Nieśliśmy ogromne plecaki. Nie wiedzieliśmy, w jakim stopniu skolonizowano nasz region w czasie, gdy siedzieliśmy ukryci w Piekło. Mieliśmy wrażenie, że wszystko dzieje się w takim tempie, że najrozsądniej będzie spodziewać się najgorszego. Dlatego zabraliśmy mnóstwo rzeczy. Była zima, więc przede wszystkim myśleliśmy o ciepłe: wzięliśmy swetry, rękawiczki, kominiarki, wełniane skarpety. Zabraliśmy śpiwory, ale namiotów już nie - odkąd straciliśmy nasz sprzęt w dolinie Holloway, nie mieliśmy namiotów z prawdziwego zdarzenia. Liczyliśmy na to, że znajdziemy schronienie w szopach albo w jaskiniach. Zabraliśmy za to górę jedzenia, bo nie byliśmy pewni, czy uda nam się coś wyżebrać albo ukraść.

- Ukraść?! - oburzył się Homer, kiedy użyłam tego słowa. - To nasz kraj. To oni są tutaj złodziejami. Nas to nie dotyczy.

Najważniejszym zadaniem przed wyruszeniem w drogę było zabezpieczenie kur. Zbudowaliśmy nowy karmnik i wypełniliśmy go po brzegi. Wiedzieliśmy, że jedzenia starczy na wiele tygodni, ale największy problem był z wodą. W końcu go rozwiązaliśmy, przebudowując zagrodę w taki sposób, że jej róg obmywała woda strumienia.

- Myślenie lateralne - oznajmiła z dumą Robyn.

To był jej pomysł i to ona wykonała większość pracy. Kurom zdecydowanie się

spodobało. Wesoło gdakały i pomrukiwały do siebie, poznając nowy teren.

Wyruszyliśmy o dziesiątej rano. Ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam, tuż po śniadaniu, było ułożenie małego bukietka z liści i traw - sezon na kwiaty już się skończył - i zanieśenie go na grób Chrisa. Nie zdziwiłam się, kiedy zobaczyłam, że ktoś przyszedł tu wcześniej i zostawił na grobie kwiat niezdarnie wyrzeźbiony w drewnie. To mógł być każdy: Homer, Fi, Lee, Robyn. Każde z nich mogło to zrobić.

Tygodnie ukrywania się i depresje odbiły się na naszej kondycji fizycznej. Już kiedy dotarliśmy do pierwszego olbrzymiego stopnia, który okrężała ścieżka wiodąca na górę, mieliśmy wrażenie, że nasze ciężkie plecaki ważą dwa razy więcej niż na początku. Przynajmniej pogoda trzymała naszą stronę. Było zimno, ale nie padało: nastał wilgotny zimowy dzień, podczas którego oddychanie upodabniało nas do nałogowych palaczy. Bez przerwy wypuszczałam ustami małe białe chmurki i patrzyłam, jak rozpływają się w powietrzu. Nad nami wisały chmury, całe niebo było szare i jednolite. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że przez cały dzień będzie zimno i że nie zobaczymy śladu słońca. Mimo to nie potrzebowaliśmy niczego więcej. Nie narzekałam.

Na górze chwilę odpoczęliśmy, wkurzeni i rozczarowani trudnością, jaką sprawiła nam wspinaczka.

- To przez plecaki - powiedziała Fi. - Jeszcze nigdy nie wynosiliśmy z Piekła czegoś tak ciężkiego.

- To przez nasz niedawny tryb życia - powiedział Homer. - Całymi dniami objaliśmy się i oglądaliśmy telewizję. Wiedziałem, że to się na nas zemści.

Szliśmy wzdłuż Szwu Krawca. Wiele miejsc w regionie Wirrawee zostało nazwanych na cześć dawnych rzemiosł: Zatoka Szewca. Szew Krawca, wzgórze Znak Piwowara i skały zwane Starym Kowalem. Mieliśmy oczy otwarte i nasłuchiwalismy samolotów, ale było cicho. Mniej więcej w połowie drogi na Mount Martin skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy wyboistą starą drogą dla terenówek, która prowadziła do doliny. Minęliśmy land-rovera ukrytego w gęstych zaroślach niedaleko szczytu. Uznaliśmy, że korzystanie z niego jest zbyt niebezpieczne, bo jeszcze nie wiemy, co słychać wokół Wirrawee. Przynajmniej droga wiodła teraz w dół.

Najpierw zajrzeliśmy na moją farmę. Zbliżając się do niej od strony Szwu Krawca, byliśmy dobrze ukryci, bo linia drzew biegła mniej więcej kilometr od domu. Minęło już południe. Gdy dotarliśmy na skraj lasu, dałam znak, żeby pozostali się zatrzymali, a sama podkrađłam się bliżej, szukając dobrego punktu obserwacyjnego. Znalazłam stary ogromny eukaliptus i wdrapałam się na niego. Widok był doskonały. Przeszkadzał mi tylko rój pszczół,

które krążyły wokół dużej dziupli jakieś trzydzieści centymetrów nad moją głową. Nie zauważyłam ich, kiedy wybierałam drzewo. W tym samym momencie, w którym je dostrzegłam, zobaczyłam też ruch na polu, które nazywamy polem Bailey'a, i natychmiast zapomniałam o owadach.

Po raz pierwszy od początku inwazji zobaczyłam obcych ludzi na naszych polach. Przy ogrodzeniu po zachodniej stronie stał zaparkowany pikap i zauważyłam dwóch mężczyzn naprawiających płot. Widocznie jedna ze starych sosen posadzonych przez babcię runęła podczas burzy i upadła na ogrodzenie. Jeden z mężczyzn trzymał piłę łańcuchową, a drugi odciągał na bok cieńsze gałęzie. Patrzyłam, jak facet z piłą uruchamia ją i zaczyna ciąć drzewo.

Byłaby to normalna scena z wiejskiego życia, gdyby nie jedna rzecz: żołnierz z karabinem na plecach, który przyglądał się temu z odległości pięćdziesięciu metrów. Siedział okrakiem na motorze z papierosem w ustach. Wyglądał na jakieś czternaście lat.

Przyglądałam się tym ludziom przez kilka minut. Na szczęście facet z piłą potrafił się nią posługiwać. I dobrze, bo piła była naprawdę duża. Od dziecka karmiono nas przerażającymi opowieściami o ludziach, którzy ucięli sobie takimi narzędziami ręce i nogi. W naszym regionie piły łańcuchowe powodują więcej wypadków niż traktory i broń palna razem wzięte.

Wróciłam do pozostałych i powiedziałam, co zobaczyłam. W gęstym lesie, w którym na mnie czekali, warkot piły motorowej brzmiał jak bzyczenie lecącego w oddali komara. Mężczyźni pracujący przy ogrodzeniu uniemożliwiali nam jednak dalsze działanie, bo musieliśmy zaczekać co najmniej godzinę, póki go nie naprawią. Uzgodniliśmy, że urządzimy sobie następną sjęstę. Alternatywne rozwiązanie oznaczało przedarcie się przez zarośla i obejście gospodarstwa z drugiej strony. Nikt z nas nie palił się do takiego wysiłku.

Gdy pozostali rozłożyli się na plecakach, robiąc z nich poduszki, ruszyłam na skraj lasu, żeby przyrzeć się pracującym mężczyznom. Ich obecność na naszej ziemi budziła we mnie mieszane uczucia. Byłam oczywiście zła i smutna, widząc tam intruzów, ale jednocześnie ulżyło mi, że ktoś przynajmniej dogląda gospodarstwa. Podczas wcześniejszych ekspedycji wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym, jak szybko postępuje zniszczenie. Przechylały się płoty, wokół owiec latały muchy, konie się chwaciły, a wszędzie było pełno królików i lisów. Domy także zaczynały podupadać. Za kilka lat cały kraj zmieniłby się w dziką gęstwinę jeżyn i ostu.

Po jakimś czasie udało mi się zbliżyć do mężczyzn pracujących przy drzewie. Dobrze ich słyszałam. Znowu wyłączyli piłę i zdałam sobie sprawę, że nabijają się z chłopaka z

karabinem.

- Hej, Wyatt, Wyatt Earp! - zawołał jeden z nich.

- Co? - odezwał się chłopak.

Mówił znacznie ciszej niż mężczyźni, ale wydawał się niechętny, prawie naburmuszony.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, siedząc pod tym drzewem.

- Bo co?

- No wiesz, o tej porze dnia, po południu, uaktywniają się spadające niedźwiedzie.

- Racja - przytaknął drugi mężczyzna. - Ten region słynie ze spadających niedźwiedzi.

- Na twoim miejscu nie siedziałbym pod tym drzewem nawet za milion dolarów - dodał pierwszy mężczyzna.

- Spadające niedźwiedzie wyrabiają straszne rzeczy. Widziałem, jak jednemu facetowi odgryzły twarz. Boże, te ich pazury są naprawdę przerażające.

- I nigdy nie zdążysz zobaczyć tego, który cię dopadnie.

- To prawda.

- Co to być „spadające niedźwiedzie”? - zapytał chłopak.

Udało mi się podejść trochę bliżej i widziałam jego twarz. Nerwowo się rozglądał, ale udawał, że się nie boi.

- Nie wiesz, co to są spadające niedźwiedzie? A niech mnie, czego oni was uczą w tych szkołach? Świetny pomysł, nie ma co: wysłać chłopaka w takie miejsce i nie powiedzieć mu o spadających niedźwiedziach.

- Ale o rekinach mówili? - zapytał drugi mężczyzna.

- Rekiny tak.

- A o krokodylach?

- Krokodyle tak.

- A o kolistych węzłach?

Chłopak się zawahał.

- Kolisty węzeł tak - powiedział po chwili.

- W takim razie posłuchaj, kolego, wolałbym stoczyć piętnaście rundek z krokodylem, niż żeby spadający niedźwiedź wylądował mi na głowie.

- Co to być „spadające niedźwiedzie”? - powtórzył chłopak.

Był już porządnie zdenerwowany: wyprostował się na siodełku, w jego głosie pobrzmiwał niepokój.

Mężczyźni przestali pracować i odwrócili się w jego stronę.

- Kolego - zaczął pierwszy mężczyzna bardzo poważnym tonem. - Jeśli chcesz skończyć ze spadającym niedźwiedziem zamiast czapki na głowie, to nie moja sprawa, ale jeśli wolisz zachować tę ładną buzię, radziłbym ci nie sterczeć dłużej pod tym drzewem.

Młody żołnierz rozejrzał się speszony, a potem podniósł głowę i popatrzył na gałęzie drzewa. W końcu powiedział:

- Dość. My już iść.

- Jak każesz - powiedział pierwszy mężczyzna. - Ty tu rządysz. Ale jeszcze trochę za wcześnie na fajrant. - A ciszej, zwracając się do kolegi, dodał: - Chyba po prostu chce zachować twarz.

Obaj mężczyźni zachichotali. Chłopak zrobił się czerwony i powiedział ze złością:

- Dość. My iść.

Machnął karabinem, a potem odpalił motor. Stracił jednak równowagę i upadł na bok. Runął plackiem na ziemię i wypuścił kierownicę. Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie i jak gdyby nigdy nic poszli do pikapa. Wsiedli do środka, zapuścili silnik i wrzucili bieg, patrząc, jak upokorzony chłopak znowu męczy się z motorem. Gdy w końcu udało mu się go uruchomić, pikap był już sto metrów dalej i podskakiwał na wybojach, jadąc przez pole w kierunku bramy. Chłopak popędził za nim, ryjąc tylnym kołem w ziemi. Zastanawiałam się, czy mężczyźni każą mu otworzyć bramę. Wracając do pozostałych, uśmiechałam się pod nosem. Wyglądało na to, że istnieje wiele sposobów, by wystrychnąć kogoś na dudka.

### 3

Moja radość nie trwała jednak długo. Gdy ostrożnie szliśmy od gospodarstwa do gospodarstwa, byliśmy wstrząśnięci tym, jak szybko rozpanoszyli się tutaj osadnicy. Jak choroba, która zaatakowała całą wieś.

- Wiecie, jak oni się teraz czują? - zapytał Homer. - Pewnie jak w dawnych czasach, kiedy zjawili się tu pierwsi biali i ich oczom ukazał się ogromny kraj, którym nikt się nie przejmował. Po latach spędzonych w angielskich pipidówkach albo w dziesięciohektarowych gospodarstwach nagle mogli tu wpaść i poczęstować się tysiącami kilometrów kwadratowych. Pamiętacie tamten temat, który przerabialiśmy na historii: selekcyonerzy i samowolne zajęcia? No więc teraz, dwieście lat później, historia się powtarza.

Milczeliśmy. Panowała przygnębiająca, pesymistyczna cisza.

Zapoznanie się z nową sytuacją zajęło nam kilka dni. Z tego, co zdążyliśmy zaobserwować, do każdego gospodarstwa wprowadziły się dwie albo trzy rodziny. Poza tym w niektórych miejscach zorganizowano miniobozy koncentracyjne, w których trzydzieści lub czterdzieści osób pracowało jako niewolnicza siła robocza. Codziennie wieczorem zamykano je w szopach, dawnych kwaterach postrzygaczy albo w domkach robotników - cokolwiek było pod ręką. Większości obozów strzegło w nocy czterech wartowników, po jednym w każdym rogu budynku, i oświetlano je prymitywnymi reflektorami. Wydostanie się z takiego więzienia nie byłoby zbyt trudne, ale dla większości ludzi problem polegał chyba na tym, że po ucieczce nie mieliby dokąd pójść. Nie każdy dysponował wygodną kryjówką zwaną Piekieł, pełną jedzenia i innych zapasów. My po prostu mieliśmy fuksa. Chociaż nadal nie byłam pewna, czy wyszło nam to na dobre.

Dziwiło nas, że nie rozpoznajemy żadnego z jeńców. Kiedy obserwowaliśmy ich z różnych punktów, widzieliśmy, że większość wygląda na doświadczonych rolników: z wprawą podchodzili do zwierząt i zręcznie posługiwali się narzędziami. W paru miejscach nawet strzygli owce. Nie widzieliśmy jednak nikogo znajomego i postanowiliśmy nie ryzykować rozmowy z nieznajomymi. Być może pogawędka dobrze by nam zrobiła, ale istniało zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Chyba właśnie ta decyzja pokazała, jak bardzo się zmieniliśmy. Stwardnieliśmy do takiego stopnia, że postanowiliśmy nie pytać o zdrowie naszych rodzin, jeśli mogło to



oznaczać wpakowanie się w kłopoty. Gdyby pół roku temu ktoś mi powiedział, że stanę się takim człowiekiem... Oczywiście było mało prawdopodobne, aby ci jeńcy, którzy najwyraźniej zostali przywiezieni z innych regionów, znali naszych rodziców, ale dawniej nie powstrzymałoby nas to przed próbą nawiązania kontaktu.

Trzeciego dnia byliśmy już prawie poza regionem Wirrawee. Przedzieraliśmy się przez krzaczaste, bardzo jałowe tereny między Wirrawee a Fletcher East. Przemierzając się w takich zaroślach, mogliśmy się posuwać dość sprawnie. Nie było tu nic, co mogłoby przyciągnąć osadników - jedynie kakadu i kangury. Oraz kolczatka, o którą o mało się nie potknęłam, kiedy czołgała się po piachu, próbując dokopać się do Chin. W oddali migwały nam zarówno farmy, jak i wyboista asfaltowa droga, która wiała się przez dolinę jak oszołomiony wąż. Mniej więcej w porze lunchu zobaczyliśmy coś, do czego zaczynaliśmy się już przyzwyczajać: grupę jeńców przy pracy pilnowaną przez dwóch wartowników. Dopiero po chwili zrozumieliśmy, nad czym pracują. Jeden z nich operował koparką, kopiąc wielki dół, a pozostali wrzucali do tego dołu ładunki przywiezione z ogromnego niskiego budynku z cegły, który stał jakieś sto metrów dalej. Zgłodnieliśmy, więc przycupnęliśmy, żeby zjeść nasz skromny lunch, i przyglądaliśmy się pracującym ludziom.

Parę minut później Homer nagle powiedział:

- Już wiem.

- Co wiesz?

- Wiem, co oni robią.

Ścisnęłam dwie kromki chrupkiego pieczywa Ryvita, żeby pasta Vegemite wypłynęła przez dziurki jak małe czarne robaki.

- Dobra, więc co?

- To chlew, a oni wywożą martwe świnie. Albo to, co z nich zostało.

- Uroczo. - Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się robotnikom. - Tak, chyba masz rację.

Staralam się nie myśleć o smrodzie, który panuje w opuszczonym chlewie. Wygląd mojego lunchu też nie pobudzał apetytu.

- Och! - przejęła się Fi, ogarnięta nagłym współczuciem. - Chcesz powiedzieć, że te zwierzęta padły tam z głodu? Biedactwa. To okropne.

- Ostatnie z nich nie głodowały aż tak długo - okrutnie powiedział Homer.

- Jak to? - zdziwiła się Fi, nie zauważając tonu jego głosu.

- Nie pytaj - ostrzegłam, ale było już za późno.

- W przypiływie desperacji zaczęły zjadać się nawzajem - wyjaśnił Homer.

- Och! - pisnęła oburzona Fi.

- No to lunch mamy z głowy - powiedział Lee.

- Na szczęście nie jemy kanapek z szynką - zauważyła Robyn.

- To kanibalizm? - zapytała Fi.

- Niezupełnie - powiedział Homer. - Świnie jedzą wszystko. Z radością pożarłyby swoich opiekunów. W Peppertown mieszkał pewien gość. Nikt nie jest do końca pewien, co się stało, ale prawdopodobnie zemdlął i wpadł do koryta. W każdym razie kiedy go znaleźli... Chociaż właściwie to go nie znaleźli, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

- Faj - wzdrygnęła się Fi. - Zawsze opowiadasz najbrzydsze historie, Homer.

- Szczury też zjadają się nawzajem. Na przykład kiedy wsadysz ich za dużo do klatki.

- Tak jak ludzie - dodała Robyn.

Podczas tej rozmowy spokojnie obserwowałam jeńców harujących przy chlewie. Nagle przestałam jeść, a kanapka z ryby zastygła w połowie drogi do moich ust. I to wcale nie ze względu na nieapetyczny temat pogawędki.

- Patrzcie na tego gościa, który właśnie wychodzi - szepnęłam szybko, nagle. - Na tego z miotłą. Powiedzcie mi, że to nie sen.

Spojrzeni w tamtą stronę i zamarli.

Homer zerwał się na równe nogi, strącając niedojedzoną kromkę chrupkiego pieczywa na ziemię.

- To nie sen - powiedział.

- Nie, to nie sen - potwierdziła Robyn. Mówiła jak zahipnotyzowana.

- Boże, nie do wiary - powiedziała Fi.

Lee miał najgorszy wzrok z nas wszystkich i tylko on musiał zadać to pytanie, żeby mieć absolutną pewność:

- Myślisz, że... Chcesz powiedzieć, że... Wydaje ci się, że to Kevin?

- Nie wydaje mi się, ja to wiem. To Kevin. Możesz się założyć o swój słodki kufer.

Gapiliśmy się jak w transie. Nie wiem jak pozostali, ale ja wspominałam chwilę, w której widzieliśmy Kevina po raz ostatni, odjeżdżającego dużym pięknym podprowadzonym wcześniej mercedesem. Nie spodziewaliśmy się, że ten pojazd zmieni się w karetkę pogotowia, ale właśnie tak się stało. Gdy kula wystrzelona w ciemności przez niewidocznego żołnierza trafiła moją najlepszą przyjaciółkę Corrie w plecy, Kevin zawiózł ranną do Wirrawee, do szpitala. Szpital - podobnie jak reszta miasta - był już okupowany przez wroga, ale Kevina to nie powstrzymało. Nie mieliśmy zbyt wielu informacji na temat tego, co się stało później. Wiedzieliśmy tylko, że nieprzytomna Corrie nadal leżała w szpitalu, a Kevin został uwięziony na terenie wystawowym. Słyszeliśmy też, że został dotkliwie pobity przez

żołnierzy za to, że przywiózł osobę z raną postrzałową. Prawdopodobnie żołnierze wyciągnęli z tego najgorsze wnioski. Może nawet pomyśleli, że Kevin i Corrie byli zamieszani w zniszczenie mostu w Wirrawee, który reszta z nas wysadziła w powietrze poprzedniej nocy.

- Co to jest „słodki kufer”? - zapytał Lee, przerywając mój strumień wspomnień.

- Co? Och, Lee. Mogę ci powiedzieć, czym on nie jest.

- Kevin - szepnęła Robyn. - To cud.

Nie miałam zamiaru się z nią spierać. Na widok Kevina ogarnęła mnie dzika radość. Gapiłam się na niego jak urzeczona i czułam, że coraz bardziej wytrzeszczam oczy. Z tej odległości wyglądał całkiem dobrze i swobodnie się poruszał. Zawsze był duży i silny, ale mimo że na pewno schudł, wcale nie prezentował się najgorzej. W każdym razie nie aż tak źle jak w moich koszmarach. Z przejściem patrzyliśmy, jak odkłada miotłę na pakę pikapa i bierze łopatę. Potem podniósł głowę i rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Przez chwilę wpatrywał się w niebo. Nie mogliśmy wyjść z ukrycia - to byłoby zbyt ryzykowne - ale wiedziałam, że nieprędko się stąd wyniesiemy.

Obserwowaliśmy ich całe popołudnie. Robotnicy skończyli pracować koło piątej. Już w Wirrawee zauważyliśmy, że ta armia stosuje ściśle określone godziny pracy. A może wartownicy bali się ataku spadających niedźwiedzi. Jeńcy powlekli się gromadą ku budynkom rolniczym, które widzieliśmy po drodze. Były oddalone mniej więcej o kilometr. Żołnierze pojechali za nimi: jeden kierował pikapem, a drugi stał na pace. Podobnie jak większość wartowników, których ostatnio widywaliśmy, nie zdjął nawet karabinu z pleców. Broń nadal dyndała przewieszona przez jego ramię.

Nasza piątka przemieszczała się równoległe do nich, ale cały czas byliśmy dobrze ukryci wśród drzew. Ostatnio nie nosiliśmy żadnych metalowych gadżetów, w których mogłyby się odbić promienie słońca, zdradzając nasze położenie. Byliśmy niezwykle ostrożni. Nadażaliśmy bez większego trudu: robotnicy raczej się nie spieszyli i było wiadomo, dokąd idą.

Nie wiem, jak się nazywało to gospodarstwo - nie znaleźmy tych terenów - ale było widać, że jest dość stare, prawdopodobnie wybudowane w latach sześćdziesiątych, kiedy zaczęto uprawiać sporo ziemi w regionie Wirrawee i Fletcher. W zasadzie większość gruntów zajęła rodzina Fletcherów, ale to gospodarstwo nie było ich własnością. Kiedyś byliśmy na szkolnej wycieczce w ich posiadłości: ogromnej starej rezydencji z piaskowca zarządzanej obecnie przez Narodowy Fundusz na rzecz Renowacji Zabytków.

Jeńcy kierowali się w stronę parterowego wiejskiego domu z kamienia otoczonego licznymi budynkami gospodarczymi. Obok niego rosło sześć wysokich palm, a z przodu

sterczał wysoki biały maszt. Za domem w oddali widać było ogromny zbiornik wodny: jezioro, prawdopodobnie naturalne, powstałe w miejscu, gdzie rzeka rozlewała się na powierzchni paru hektarów. Ładny widok uzupełniały wiszące wysoko na niebie fioletowo-czarne zimowe chmury. To miejsce musiało być cudownym domem dla wielu różnych ludzi na przestrzeni lat. Teraz stało się schronieniem dla nowej grupy: widzieliśmy krzątających się po gospodarstwie osadników, którzy oglądali coś w ogrodzie i przyglądali się dwojgu dzieciom kopiącym piłkę. Takim to dobrze, pomyślałam z goryczą. Nie muszą pracować. Być może nigdy więcej nie będą musieli pracować.

Mieli mnóstwo służących do wyboru. Grupa Kevina liczyła ośmiu członków, którzy z daleka wyglądali na dość sprawnych ludzi. Szczupłych, ale sprawnych. Patrzyliśmy, jak na wysokości masztu odbijają lekko na południe. Szli boczną drogą w kierunku drugiego skupiska starych budynków: zniszczonych chat i szop. Zniknęli w środku. Pikap zatrzymał się za nimi i wysiedli z niego dwaj wartownicy. Jeden stanął przed budynkami, a drugi poszedł na tyły. Z odległości stu metrów po obu stronach mieli dobre pole rażenia, w razie gdyby ktoś spróbował uciec. Dwóch wartowników mogło bez trudu upilnować całą grupę.

Dziesięć minut później pod te same budynki podjechał stary wóz strażacki marki Commer. Z tyłu siedziało dwóch wartowników, którzy uważnie się rozglądali. Z kabiny wysiedli czterej jeńcy i ruszyli prosto do budynków. Wartownicy z wozu zamienili kilka słów z wartownikiem pilnującym budynków od frontu, a potem weszli do środka. Pół godziny później wrócili i przejęli wartę.

To, co zobaczyliśmy, bardzo nas ucieszyło. Nie mogliśmy się doczekać rozmowy z Kevinem. Chcieliśmy mu opowiedzieć o wszystkim, co nas spotkało, oraz usłyszeć, co się działo z nim. Mieliśmy nadzieję, że wie coś o naszych znajomych, nie tylko o rodzinach, lecz także o przyjaciółach, a zwłaszcza o Corrie. A przede wszystkim chcieliśmy, żeby do nas wrócił. Po śmierci Chrisa nasza grupa już nigdy nie mogła być kompletna, ale czuliśmy, że powrót Kevina byłby fantastyczny. Dawniej zdarzało się, że działał mi na nerwy, ale radość sprawiła, że zupełnie o tym zapomniałam. Zresztą ja też pewnie dość często działałam mu na nerwy.

Na początku myśleliśmy, że łatwo będzie do niego dotrzeć. Tutejsze zabezpieczenia wyglądały marnie w porównaniu z tamtymi, z którymi radziliśmy sobie w przeszłości. Gdy jednak czekaliśmy w nocy na swoją szansę, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że to nie będzie takie proste. Jeńców pilnowało tylko dwóch wartowników, lecz byli bardzo czujni. O północy zmieniło ich dwóch następnych, równie uważnych. Po mroźnej nocy musieliśmy dać za wygraną, a gdy zaczęło świtać, wycofaliśmy się między drzewami, by znaleźć bezpieczne

miejsce na sen.

Zrozumieliśmy, że musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Lee tylko się zdrzemnął, a potem wrócił na skraj lasu i obserwował gospodarstwo, chcąc zobaczyć, dokąd pójda robotnicy. Śledził ich aż nad jezioro, daleko w polu, a potem wrócił i powiedział, że zaczęli naprawiać zbiornik: był dość nowy, ziemny i najwyraźniej trochę przeciekał. Zostawiliśmy ich tam i cały dzień spędziliśmy w zimnym lesie, czekając na ich powrót.

Naszym pierwszym celem było oczywiście pokazanie Kevinowi, że jesteśmy w pobliżu. Również i tym razem myśleliśmy, że pójdzie łatwo. Około wpół do szóstej wrócili zmęczeni robotnicy, ale zamiast ruszyć drogą prowadzącą ku starym budynkom, w których spali, poszli inną, biegnącą wokół jeziora. Znaleźli się dość blisko naszej kryjówki, więc ruszyliśmy za nimi, cały czas ukryci wśród drzew. Piętnaście minut później zniknęli w głównym budynku. Pikap się zatrzymał i wysiedli z niego dwaj wartownicy.

- Jest okej! - zawołał jeden z nich.

Oparli się wygodnie o pikapa i wyjęli papierosy, a potem ze śmiechem obserwowali jeńców. Jeńcy też się śmiali, mówiąc do siebie coś, czego nie słyszałam. Potem poczułam, że lekko się czerwienię, bo zdałam sobie sprawę, co zamierzają zrobić.

- Ojej - zachichotała stojąca obok mnie Fi.

Właśnie zrozumiała, co się dzieje. Szybko zerknęłam w jej stronę. Jeśli ja się zarumieniłam, to Fi wyglądała jak poparzona słońcem. Połowa mężczyzn stała już w samych majtkach. Ubrania opadały na ziemię jak płatki róż i wszędzie ukazywała się różowa skóra. Ale nie aż tak różowa jak moja czy Fi. Nie odważyłam się zerknąć na Kevina. Wiedziałam, że jeśli choć raz rzucę na niego okiem, już nigdy nie będę w stanie spojrzeć mu w oczy.

To znaczy wstydziłabym się stanąć z nim twarzą w twarz.

Za moimi plecami rozległ się chichot Robyn oraz pełne oburzenia komentarze Homera i Lee.

- To tylko dla dorosłych - syknął Homer. - Zasłońcie oczy.

Zignorowałyśmy go i nagle ukazała nam się cała różnorodność męskich kształtów i rozmiarów. Bardzo ciekawy widok. Potem mignęło mnóstwo białych tyłków, bo mężczyźni z rozpędu wskakiwali do jeziora, krzycząc i klnąc w zetknięciu z lodowatą wodą. Niektórzy wyskoczyli z powrotem już trzydzieści sekund później, po pobieźnym ochlapaniu się, ale inni nurkowali. Wartownicy rzucili im kostkę mydła i kilku facetów z niej skorzystało, przekazując ją sobie jak piłkę. Nikt nie wytrzymał jednak w wodzie dłużej niż dziesięć minut.

Dobrze było zobaczyć, że mimo tego wszystkiego, co się stało, nadal potrafili się śmiać.

Nie mieli ręczników. Musieli się wytrzeć własnymi ubraniami. Zrobiło mi się ich żal. Nie cierpię wkładać mokrych ciuchów. Gra w piłkę mydłem, która rozpoczęła się w wodzie, przeszła w grę butem na brzegu, bo wszyscy próbowali się jakoś rozgrzać. Potem usłyszeliśmy, jak jeden z mężczyzn pyta wartownika:

- Możemy wrócić biegiem? Żeby zrobiło się cieplej?

Wartownik spojrzał na kolegę, a potem znowu na jeńca.

- Ilu?

Jeniec odwrócił się do pozostałych i zawołał:

- Kto chce wrócić do domu biegiem?

Uniosły się cztery dłonie. Jedna z nich należała do Kevina.

- Gazu! - szepnął Homer.

Nie musiał nam dwa razy powtarzać. Zaczęliśmy się wycofywać, lawirując w zaroślach. Gdy oddaliliśmy się od jeziora, odwróciliśmy się i pędem pobiegliśmy w stronę domu i szop, w których mieszkali jeńcy. Robyn pędziła przodem. Nie była najszybsza na krótkich dystansach, ale żadne z nas nie dorównywało jej wytrzymałością. Tuż za nią biegłam ja, potem Fi, Lee i na końcu Homer, który był za ciężki na duże odległości. Robyn nadała zabójcze tempo, a kiedy naszym oczom ukazały się budynki, nie miała nawet zadyszki. Wracała do formy szybciej niż ja.

Zatrzymała się za gęstymi jeżynami w małym rowie. Zaczęliśmy wypatrywać Kevina i jego kolegów.

- Tam są - powiedziała Fi, kiedy do nas dołączyła.

Wtedy ja też ich zobaczyłam. Zwalniali, zbliżając się do domu. Trzech nadal biegło, a dwaj pozostali - Kevin i jakiś drugi mężczyzna - szli. Chwilę później byli już między szopami i zniknęli nam z oczu.

- Ruszajmy - wysapał Homer. - Na drugą taką szansę możemy czekać całe wieki.

- Nie wszyscy - powiedziałam.

- Idź ty - zaproponowała Robyn. - Razem z Lee.

Pozostali nic nie powiedzieli, więc uznałam to za przyzwolenie. Z niepokojem zerknęłam w stronę jeziora, a potem przygarbiłam się i pobiegłam ku budynkom, wykorzystując je jako osłonę przed wzrokiem kogoś, kto mógłby patrzeć przez okna głównego budynku. Przemknęliśmy przejściem między szopą z blachy i wiatą dla samochodów i po chwili dotarliśmy do celu, dysząc ze strachu i trzęsąc się jak psy patrzące na nadchodzącego pana. Znaleźliśmy się na małym podwórzu, bardzo starym, porośniętym lakami, z ogromną studnią otoczoną lawendą. Kamienie, z których ją zbudowano, zaczynały

się kruszyć, ale było tam naprawdę malowniczo. Lee złapał mnie za rękę.

- Tędy - szepnął.

Poszłam za nim i wtedy zrozumiałam, że usłyszał czyjeś głosy. Okrążyliśmy biegiem stary mur i zobaczyliśmy uchylone drzwi. Usłyszałam, jak ktoś mówi: „Jasne, ale wiesz, na mistrzostwach miał średnią sześćdziesiąt”, a potem Lee popchnął drzwi.

## 4

Na początku nie zauważyłam Kevina. Zobaczyłam cztery zdumione twarze, cztery pary wytrzeszczonych oczu i czworo rozdziawionych ust. W końcu odezwał się niski facet w średnim wieku i z cienkim wąsikiem:

- Co tu się...?

Wtedy Lee zatrzęsął drzwiami i zobaczyłam Kevina, który wcześniej stał za nimi.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Czasami życie naprawdę przypomina film. Tym razem tak było. Kevin zrobił taką głupkowatą, zaskoczoną minę, jaką widuje się w komediach. Wyglądało to naprawdę uroczo. Chciał zapytać, o co chodzi, ale nie dokończył zdania. Opadła mu szczeka, a oczy wyglądały tak, jakby za chwilę miały wyleźć na wierzch. Jego usta próbowały coś powiedzieć, lecz dolna warga nie zdołała sprostać zadaniu i tylko drżała w niekontrolowany sposób. Jedynym dźwiękiem, jaki wydobył się z jego gardła, było coś w rodzaju: „O, o, o...”.

Zarzuciłam mu ręce na szyję. Przez chwilę był zbyt zszokowany, by cokolwiek zrobić, ale w końcu przypomniał sobie, jak należy witać przyjaciółkę. Dołączył do nas Lee i utworzyliśmy trzyosobową bryłę. Obejmowaliśmy się i mocno kołysaliśmy na boki. W tamtej chwili puściłam w niepamięć wszystkie dawne spięcia z Kevinem.

Kiedy już się wyściskaliśmy, spojrzałam na pozostałych mężczyzn. Patrzyli na nas z uśmiechem, lecz gdy przyglądałam włosy i wytarłam oczy, znowu odezwał się niski facet z wąsikiem:

- Przykro mi, że popsuję nastrój, ale musicie stąd uciekać. Oni za chwilę wrócą.

- Możemy zabrać Kevina? - zapytałam.

Nagle się wystraszyli.

- Nie, nie ma mowy - powiedział jeden z nich.

- Mają rację - przyznał Kevin. - Nie mogę iść z wami.

- Ale mieliśmy nadzieję... - zaczęłam.

- Słuchajcie - przerwał mi Kevin. - Musicie uciekać. Jutro pracujemy w chlewie. To jakiś kilometr...

- Wiemy, gdzie to jest.

- Dobra, schowajcie się w lesie za budynkiem, na szczycie małego pagórka, mniej



więcej w porze lunchu. Jakoś się wyrwę i na chwilę się spotkamy. Wtedy będziemy mogli porozmawiać.

- Dobra.

Wypchnął nas za drzwi i minęliśmy biegiem studnię, a potem blaszaną szopę. Kevin wyszedł na błotnistą drogę i dał nam znak.

- Szybko! - zawołał.

Kiedy go mijaliśmy, klepnął mnie po plecach.

- Uważaj na siebie, Ellie - szepnął.

Te słowa bardzo mnie poruszyły. Kiedy wbiegliśmy do lasu, odwróciłam się i pomachałam do niego. Po chwili od strony jeziora nadeszła mała procesja jeńców. Kevin natychmiast się odwrócił i jak gdyby nigdy nic wrócił do szopy.

Lee i ja popędziliśmy do pozostałych, którzy z niecierpliwością czekali na naszą relację. Wszyscy byliśmy niesamowicie przejęci. Chyba tak bardzo znudziliśmy się swoim towarzystwem, że szansa powrotu Kevina wydawała nam się cudowna.

- Co powiedział? Możemy go stamtąd wyciągnąć? Jak się zachowywał? Jak wyglądał? Zgubił parę kilo, no nie? Co mówili pozostali?

Upłynęła godzina, zanim w końcu się uspokoiliśmy, a potem przez pół nocy zastanawialiśmy się, co robić. Przynajmniej dzięki temu było nam ciepło - ta noc okazała się jeszcze zimniejsza niż poprzednia. Potem, około północy, zaczął padać deszcz. Zakradliśmy się do stodoły z sianem i zagrzebaliśmy się w nim, żeby pospać, ale to oznaczało konieczność wystawienia wartownika. Co za męka! Stałam na warcie jako pierwsza, ale potem i tak nie mogłam zasnąć. Gdy wzeszło słońce, wstałam i poszłam do Homera, bo była akurat jego kolej.

- Jeśli chcesz, możesz iść spać - powiedziałam. - Jestem zupełnie rozbudzona, więc równie dobrze mogę postać na warcie.

- Ja też nie mogłem zasnąć. Pogadajmy. Może nawzajem się zanudzimy i łatwiej będzie kimnąć.

No więc porozmawialiśmy, po raz pierwszy od dawna. Zawsze się przyjaźniliśmy - praktycznie razem się wychowaliśmy - ale w ciągu ostatnich miesięcy dusiłam się w towarzystwie Homera, więc dałam mu więcej przestrzeni. Czasami chciałam po prostu pooddychać własnym powietrzem. Tam, gdzie był Homer, nie było miejsca na wiele więcej. Ostatnio raczej nie mieliśmy czasu na pielęgnowanie związków międzyludzkich. Nie, nie chodziło o czas: zwyczajnie nie mieliśmy siły. To właśnie jej nam brakowało. Jednego byłam pewna: staliśmy się bardziej samolubni. Dawniej darzyłam Homera silnym uczuciem, ale

teraz najsilniejsze uczucia rezerwowałam dla siebie, żeby jakoś przetrwać.

Tym razem jednak rozmawialiśmy, głównie o tym, jak wyglądałby nasz świat, gdyby udało się odzyskać kraj. Zwycięstwo zawsze było dla nas dogmatem, ale ostatnio, widząc zadomowionych, wygodnie urządzonych osadników, musieliśmy przyznać, że szala zaczynała się przechylać na ich korzyść. Homer stawał się w tej sytuacji jeszcze bardziej bojowy.

- Kiedy to się skończy - powiedział - będziemy musieli przekształcić ten kraj w fortecę. Wszyscy powinni się nauczyć używania broni, walki. Jeśli ktoś znowu spróbuje nas napaść, musimy być przygotowani. A jeśli nas napadnie, będziemy walczyć o każdy dom, każdą ulicę i każdy hektar ziemi. Tak moim zdaniem powinniśmy działać.

Moja reakcja wyglądała zupełnie inaczej. Opowiedziałam Homerowi swoją ulubioną historię.

- Dawno, dawno temu była sobie wioska niedaleko urwiska. Prowadziła do niej niebezpieczna droga, wiele samochodów spadło z urwiska i roztrzaskało się o skały na dole. Ludzie zawsze wychodzili z tego poturbowani, niektórzy nawet ginęli. W końcu wieś dostała od rządu pieniądze, żeby rozwiązać ten problem. Kłopot polegał jednak na tym, że mieszkańcy podzielili się na dwie grupy: jedni chcieli zbudować płot biegnący wzdłuż urwiska, a drudzy woleli kupić karetkę, żeby stała u podnóża i odwoziła rannych do szpitala.

- Jasne, nie powinni byli czekać na pieniądze od rządu - wymądrzał się Homer. - Powinni byli sami coś z tym zrobić. To byłoby dobre rozwiązanie.

- Oj, Homer! Nie musisz się już wydurniać! Nie jesteśmy w szkole.

- A, czyli czegoś nie zrozumiałem? Czy to miał być jakiś szczególny płot?

- Bardzo śmieszne. Po prostu uważam, że nie ma sensu wpuszczać najeźdźców do kraju, a potem próbować temu zaradzić. Powinniśmy pomóc innym państwom zwiększyć dochody, żeby nie czuły palącej potrzeby wkroczenia na nasz teren.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Skąd wiesz? Tak naprawdę nigdy nie próbowaliśmy nic robić. W każdym razie zmienianie kraju w fortecę to beznadziejny pomysł. Nie mamy wystarczająco dużo ludzi, żeby zrobić to tak, jak trzeba. Nawet gdybyśmy chcieli, a ja na przykład nie chcę.

- Kiedyś myślałem, że mieszka tu za dużo ludzi. A teraz spójrz.

- Tak, pakują ich tu ile wlezie. „Zaludniaj albo giń”. Tak brzmiało motto pokolenia mojej babci. Ci ludzie je przejęli.

- Ale ty i Lee też robicie, co w waszej mocy.

- Co? Coś ty powiedział?! - Zaczęłam go okładać po głowie rękami w rękawiczkach. - Odwołaj to!

- No co? Chyba nie powiesz, że zostały mu jeszcze jakieś prezerwatywy?

- Homer!

Zdzieliłam go jeszcze parę razy. Kiedy rozbolały mnie ręce, powiedziałam:

- Zresztą moim zdaniem Fi tylko czeka, żebyś ją poprosił o to samo.

Zmieszał się.

- Nie chcę, żeby to się zrobiło zbyt poważne - mruknął.

- No wiesz, została ci albo ona, albo Robyn. Nie masz wielkiego wyboru.

- Robyn jakoś mi nie podchodzi. Zawsze jest taka doskonała. Uważa się za kogoś wspaniałego.

- Wcale nie - zaprzeczyłam lojalnie.

- Zresztą nieważne, nigdy nie chciałbym z nią chodzić. Ciągłe by mi mówiła, co mam robić. Każdy facet by przy niej ześwirował.

Byłam w szoku, słysząc, jak ktoś krytykuje Robyn. To jeden z moich wzorów do naśladowania - obok Marilyn Monroe i Emily Dickinson. Ale Homer nigdy nie mógł się dogadać z ludźmi o silnej osobowości. Ja byłam wyjątkiem. Chociaż nie, czasami nawet ze mną nie mógł się dogadać.

Usłyszeliśmy, że w głębi stodoły Robyn rozmawia z Fi, więc dołączyłam do dziewczyn.

- To siano strasznie kłuje - narzekała Fi. - W tych wszystkich książkach dla dzieci ludzie śpią na sianie i brzmi to tak, jakby było im bardzo wygodnie. Ale nie ma w tym nic wygodnego.

Musieliśmy poczekać do jedenastej, więc wślizgnęłam się z powrotem do śpiwora i przez chwilę pogadałam z dziewczynami, a potem zapadłam w lekki sen. Staraliśmy się jeść dwa razy dziennie, żeby oszczędzać zapasy, więc zazwyczaj odmawiałam sobie śniadania. Dlatego w zasadzie nic nie zachęcało mnie do ponownego wyjścia ze śpiwora.

Nadal padał deszcz i temperatura była bliska zera, więc nie wiedzieliśmy, czy robotnicy pójdą do pracy. Punktualnie o dziewiątej zobaczyliśmy jednak grupkę przemoczonych mężczyzn maszerujących przez pole, a za nimi strażników w pikapie. Patrzyliśmy, jak idą, i cieszyliśmy się, że przynajmniej jesteśmy susi. Bycie jeńcem wydawało się gorsze niż praca dla mojego taty.

Im bliżej była pora lunchu, tym większe czułam napięcie. Kevin znał odpowiedzi na wiele pytań, które od dawna nas nękały. Gdyby udało mu się wyrwać na kilka minut, moglibyśmy przeprowadzić pierwszą bezpieczną rozmowę z kimś, kto był na terenie wystawowym. Tak bardzo się przejęłam, że w pewnej chwili przyłapałam się na zuci

koniuszka śpiwora. Oczywiście wszyscy mieliśmy nadzieję, że Kevin do nas wróci, że znowu będzie nas sześcioro, ale wiedzieliśmy, że ucieczka nie jest taka prosta, bo w przeciwnym razie uciekłby z nami już wczoraj. Między innymi o to chcieliśmy go zapytać.

Zajęliśmy pozycję na wzgórzu grubo przed południem. Niedaleko stał zaparkowany pikap, więc zakładaliśmy, że wszyscy są w chlewie, ale dopiero po dwudziestu minutach oczekiwania zauważyliśmy jakiś ruch. Jeden z jeńców wyszedł na zewnątrz i wziął z paki dwa pędzle. Przez chwilę wpatrywał się we wzgórze, szukając nas wzrokiem - widocznie wszyscy robotnicy wiedzieli, że tam czekamy - ale nie odważyliśmy się wyjść z ukrycia. Wkrótce potem jeńiec wrócił do budynku.

Następnie pojawił się Kevin. Wyszedł szybko, niosąc łopatę na lewym ramieniu. Ruszył prosto do nas, z pochyloną głową, jak człowiek z misją. Kiedy się zbliżył, zobaczyłam, na czym polega ta misja. Trzymał w ręku rolkę papieru toaletowego. Zaczęłam się śmiać.

Gdy Kevin znalazł się parę metrów ode mnie, zawołałam cicho:

- Tylko nie tutaj, ani mi się waż!

Uśmiechnął się, ale nie zwolnił kroku ani nie podniósł głowy, dopóki nie znalazł się wśród drzew, które osłaniały go od strony chlewu.

Wtedy Robyn, Homer i Fi mieli okazję zrobić to, co ja i Lee zrobiliśmy dzień wcześniej. Było mnóstwo uścisków. Zakończył je dopiero strach o upływ czasu, ale nawet później, kiedy Kevin mówił, Fi stała obok niego, trzymała go za rękę i głaskała po dłoni. Bardzo się cieszyliśmy z tego spotkania. Po chwili na Kevina spadła jednak tak wielka lawina pytań, że musiał unieść rękę, żeby nas uciszyć.

- Zaraz, chwilę, ludzie, po kolei.

- Jak się czuje Corrie? - wypaliłam, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać.

- Zależy, kogo zapytasz. Nie widziałem jej od tamtej nocy, kiedy została postrzelona. Słyszałem za to, że wy widzieliście ją potem w szpitalu. Wydaje mi się, że jej stan się nie zmienił, nadal jest w śpiączce. Niektórzy mówią, że jej się pogorszyło, bo ciągle chudnie, ale inni są przekonani, że Corrie słyszy. Sam nie wiem. Ludzie gadają, co chcą. Nikt nie ma sprawdzonych informacji.

- Jak się czują nasze rodziny?

- Kiedy widziałem je po raz ostatni, czuły się całkiem nieźle. Od jakiegoś czasu mieszkam tutaj, z robotnikami, ale kilka tygodni temu wszyscy wyglądali w porządku. Tyle że to wszystko jest względne, prawda? Wy wyglądacie o wiele zdrowiej niż ktokolwiek na terenie wystawowym, ale teraz, kiedy ludzie zaczynają wychodzić i pracować, powoli

wracają do formy.

Kevin wydawał się starszy i dojrzały - a nawet inteligentniejszy. Wcześniej, gdy biwakowaliśmy w Piekło, nigdy by nie powiedział, że „wszystko jest względne” albo że „ludzie gadają, co chcą”. Ta wojna zmieniła nas wszystkich, nie zawsze na gorsze.

- Jak tam było? - zapytał Homer.

Nagle to proste pytanie sprawiło, że Kevin jakby się podłamał. Na chwilę się skrzywił i nie potrafił wydusić z siebie słowa.

Fi mocniej ścisnęła go za rękę, a ja poklepałam go po plecach. W zasadzie nie musiał nic mówić. Już odpowiedział na pytanie.

- Przepraszam - wybąkał. - Przepraszam.

- Aż tak strasznie? - cicho zapytała Robyn.

Kevin tylko pokiwał głową.

- Oni są w porządku, dopóki robisz, co każą. Ale gdy tylko zrobisz coś, co im się nie podoba...

Znowu zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo pobili Kevina, kiedy przywiózł Corrie do szpitala w Wirrawee. Nie znałam szczegółów, ale moja wyobraźnia nadrabiała te braki.

- Za chwilę muszę wracać - powiedział Kevin.

- Nie możesz uciec? - zapytał niecierpliwie Homer. - Co cię powstrzymuje?

Kevin pokręcił głową.

- Oni biorą zakładników. Członków twojej rodziny. Jeśli uciekniesz, rozstrzelają ich. Trzymają nas w garści. Pilnują nas tylko dlatego, żeby uniknąć sabotażu i kradzieży i żebyśmy lepiej pracowali. Nikt nie może uciec.

Odwrócił się, by ruszyć z powrotem. Było mi go rozpaczliwie żal. Wyglądał tak samotnie i smutno, kiedy przyszło mu wracać do tego paskudnego życia.

- Czy gdyby nie to, chciałbyś uciec? - zapytałam. - Chciałbyś znowu do nas dołączyć?

Wydawał się zszokowany takim pytaniem.

- Jasne. Ale jeśli uda ci się rozwiązać ten problem, uznam, że jesteś geniuszem, Ellie. Dam ci to nawet na piśmie.

Szeroko się uśmiechnęłam. Pomyślałam: „Szykuj długopis”. Nie powiedziałam tego jednak na głos, bo nie chciałam nadmiernie rozbudzać jego nadziei. Ale w mojej głowie kiełkował już pewien pomysł.

## 5

- No więc jestem geniuszem? - zapytałam pozostałych.

Po rozmowie z Kevinem wieczorem znowu ukryliśmy się przed deszczem w stodole z sianem. Było bardzo ciemno - pewnie koło dziesiątej wieczorem. W mroku widziałam tylko twarz Fi, ale czułam, że wszyscy są przejęci. Ja też byłam przejęta. Wiedziałam, że mój plan jest dobry.

- Nie wiem, czy od razu geniuszem - mruknął Homer - ale pomysł wydaje się całkiem niezły.

- Jak damy znać Kevinowi? - zapytała Robyn.

- Nie jestem pewna. Musimy po prostu poczekać na okazję. To nie powinno być zbyt trudne.

- Moglibyśmy to wszystko napisać - zaproponowała Fi - i jeśli uda nam się go złapać choćby na chwilę, przekazemy mu liścik.

Osobiście myślałam, że to trochę ryzykowne, bo liścik mógł trafić w niepowołane ręce, ale mimo to się zgodziłam. Napisałam liścik nazajutrz z samego rana, a pozostali co chwila dorzucali coś od siebie. Niektóre z ich sugestii były całkiem sensowne, więc je dodawałam. Pisanie liściku trochę mnie jednak zestresowało. Czułam się tak, jakbyśmy znowu ruszali do akcji, pierwszy raz po długiej przerwie. Ta akcja różniła się od wcześniejszych starć - bardziej przypominała bitwę umysłów - lecz wiele od niej zależało. W razie porażki rodzina Kevina na terenie wystawowym mogła wpaść w tarapaty. W zasadzie to właśnie jego najbliżsi podejmowali największe ryzyko, chociaż nawet o tym nie wiedzieli.

W końcu, gdy minęło półtora dnia oczekiwania i nie udało nam się skontaktować z Kevinem, dostarczyliśmy mu liścik w inny sposób. Kiedy robotnicy pracowali w polu, pilnowani przez wartowników, ja i Fi wymknęłyśmy się z lasu i tak jak poprzednio, wykorzystując stare budynki jako osłonę przed wzrokiem osadników w głównym gospodarstwie, zakradłyśmy się do kwater jeńców. Dość szybko znalazłyśmy łóżko Kevina: było najbardziej rozmemłane. Wzięłyśmy jedną z jego skarpetek i włożyłyśmy liścik do środka, a potem z grubsza zasłaliśmy łóżko, ukrywając skarpetkę pod kołdrą. Doszłyśmy do wniosku, że wartownicy nie zauważą zmiany, która jednak z pewnością nie ujdzie uwagi Kevina. Domyśli się, że dzieje się coś dziwnego.

Drugą rzeczą, którą musiałam zrobić, było przyjrzenie się starej studni na małym podwórzu. Należała do największych, jakie kiedykolwiek widziałam, ale podobnie jak wszystkie stare studnie była w fatalnym stanie. Kamienie kruszyły się i miejscami odpadały. Na studni leżała pokrywa: duży kawał stali, który można było otworzyć pośrodku, ciągnąc dwa uchwyty w przeciwnych kierunkach. Fi trzymała mnie za koszulę, a ja szarpałam za uchwyty, dopóki pokrywa w końcu nie ustąpiła ze zgrzytem. Stęchłe, wilgotne powietrze uderzyło mnie w twarz. Miałam nadzieję, że tak będzie. Gdy tylko poczułam ten smród, od razu zrobiło mi się niedobrze. Wstrzymałam oddech i pochyliłam się, zaglądając w głąb studni. Była cudownie mroczna i głęboka: nie widziałam dna. Rzuciłam kamień i minęło prawie sześć sekund, zanim usłyszałam plusk. Doskonale. Powoli się wycofałam. Od cuchnącego powietrza tak bardzo kręciło mi się w głowie, że musiałam nakłonić Fi, aby to ona zamknęła pokrywę. Nie chciałam się więcej zbliżyć do tego odoru.

Później nic się nie działo aż do następnego ranka, kiedy Kevin dał sygnał wskazany w liściku. Poprosiliśmy go, żeby włożył coś zielonego na tak, coś czerwonego na nie albo coś żółtego na znak, że chce się z nami spotkać i to omówić. Ja obstawiałam, że Kevin, który słynął z ostrożności, ubierze się cały na żółto. On jednak nas zaskoczył. Wyszedł w zielonej czapce, jaskrawozielonej koszuli i w oliwkowych spodniach. Wyglądał koszmarnie, ale wtedy zdałam sobie sprawę - nawet jeśli wcześniej sobie tego nie uświadamiałam - jak rozpaczliwie pragnie się stamtąd wyrwać i do nas dołączyć.

Obserwowaliśmy teren z zarośli, a kiedy zobaczyliśmy ten jego zielony kostium, spojrzeliśmy na siebie, czując strach zmieszany z radością. Tym razem nie mieliśmy zbyt dużo do roboty. Nasza rola sprowadzała się głównie do siedzenia i patrzenia. Musielibyśmy wkroczyć do akcji, tylko gdyby wartownicy zauważyli, że coś jest nie tak, i zaczęli nas szukać. W pewnym sensie wolałabym bardziej żywiołową wersję. Siedzenie i patrzenie nigdy nie było w moim stylu.

Czekało nas jednak pewne zadanie: musielśmy zdobyć owcę. Ewentualnie świnie, kangura lub cielę. Z owcą poszłoby jednak najłatwiej. Zaczekaliśmy, aż robotnicy wyjdą w pole, a potem ruszyliśmy w przeciwnym kierunku. Daleko na pastwisku znaleźliśmy małe stadko młodych owiec. Kręciliśmy się tam do popołudnia, a potem ja i Homer, wspomagani - choć nie do końca skutecznie - przez innych, złapaliśmy owcę. Postanowiliśmy, że nie zabijemy jej na polu, bo moglibyśmy pozostawić ślady. Dlatego związaliśmy jej nogi, a potem Homer z niemałym wysiłkiem zarzucił ją sobie na ramiona i chwiejnym krokiem poniósł do lasu. Czasami dobrze mieć pod ręką silnego faceta. Kiedy weszliśmy głębiej do lasu, Homer położył owcę na ziemi i pomogłam mu ją zabić. Poderżnęłam jej gardło, on

skręcił jej kark, a Fi stała nad nami, wydając z siebie ciche, płaczliwe odgłosy obrzydzenia, jakby ktoś splunął na podłogę pięknego salonu w domu jej rodziców.

- Przykro mi, Fi - powiedziałam z szerokim uśmiechem.

Zostawiliśmy krew dla much. Homer zarzucił sobie martwą owcę na ramię i poprowadził nas z powrotem w stronę gospodarstwa. To napięcie było nie do wytrzymania. Autor planu denerwuje się znacznie bardziej niż inni: poczucie odpowiedzialności jest prawie ponad jego siły. Postanowiłam, że już nigdy więcej niczego nie zaproponuję, chociaż dobrze wiedziałam, że nie będę w stanie wytrwać w tym postanowieniu. Po drodze przeprowadziłam jednak całkiem ciekawą rozmowę z Robyn. Podzieliła się ze mną swoją wspaniałą teorią religijną, twierdząc, że nasza owca jest barankiem złożonym w ofierze, by ocalić Kevina. Nie byłam pewna, co o tym myśleć.

Kiedy zbliżyliśmy się do gospodarstwa, musieliśmy działać bardzo ostrożnie. Homerowi nie było łatwo zanieść owcę aż do studni. Lee wdrapał się na drzewo, skąd miał dobry widok na gospodarstwo, i gdy zobaczył, że teren jest czysty, dał nam znak. Do tego czasu upłynęło dwadzieścia minut, a to oznaczało, że musimy się streszczać. Było już dwadzieścia pięć po czwartej. Muchy doprowadzały Homera do szału. To zadziwiające, jak szybko wyczuwają krew i zwłoki, nawet zimną. W końcu Homer mógł jednak podnieść owcę i zanieść ją do studni. Ja i Robyn otworzyłyśmy pokrywę, a on z westchnieniem ulgi wrzucił zwierzę do środka, głową do przodu, żeby spadło aż na dno. Szybko zamknęliśmy pokrywę i pobiegliśmy z powrotem do naszej kryjówki. Od tej chwili zostaliśmy sprowadzeni do roli widzów.

O piątej dziewiętnaście wrócili robotnicy. Poszli prosto do swoich kwater - najwidoczniej nie był to wieczór kąpieli. Zastanawiałam się, czy nie wyglądają na lekko zdenerwowanych. Czy Kevin nie idzie jakoś sztywno, ponuro? A może to tylko moja wyobraźnia? Ledwie mogłam oddychać. Czułam ucisk w piersi. Do piątej trzydzieści pięć nic się jednak nie działo. Potem Kevin przystąpił do odgrywania swojej oscarowej roli.

Najpierw pospacerował obok blaszanej szopy i trochę się jej poprzyglądał, jakby nigdy wcześniej nie widział szopy. Spojrzał na narożnik stojący najbliżej nas - i najbliżej wartownika - a potem obejrzał rynnę. Wartownik coś do niego krzyknął, pytając pewnie, co robi, a Kevin mruknął coś w odpowiedzi i powoli odszedł. Miał wyglądać jak znudzony nastolatek, który niechybnie wpakuje się w jakieś tarapaty, ale jak na mój gust wydawał się trochę skrępowany.

Potem straciliśmy go z oczu na dziesięć minut, ale wiedzieliśmy, co się za chwilę stanie. Kevin podejdzie do studni, zsunie pokrywę i zajrzy do środka. Ukruszone kamienie



ustąpią pod ciężarem jego ciała, a wtedy Kevin spadnie i się zabije. Albo skręci kark, albo wykończą go trujące opary - to nie miało dla nas znaczenia: byleby tylko zginął. Czekaliśmy w napięciu.

I rzeczywiście - pięć minut później usłyszeliśmy rozdzierający krzyk. Trwał bardzo krótko i gwałtownie się urwał, ale był wystarczająco niezwykły, by zwrócić uwagę wartownika. Mężczyzna wyprostował się i odwrócił w stronę, z której dobiegł krzyk, potem obrócił się wokół własnej osi i ostrożnie się rozejrzał. Nie był głupi. W podręczniku pod tytułem *Jak napadać na inne kraje* z pewnością ze dwa razy przeczytał rozdział o zasadzkach. Kilka sekund później zza szopy wybiegł jednak jeden z jeńców i rozpaczliwie zawołał wartownika. Nie czekając, aż żołnierz za nim ruszy, pobiegł z powrotem na podwórze. Ładnie mu to wyszło i wyglądało na to, że żołnierz w końcu połknął haczyk. Zawahał się tylko przez chwilę, a potem szybko pobiegł za jeńcem.

Czekaliśmy w ogromnym napięciu. Słyszeliśmy krzyki i w oddali migały nam sylwetki ludzi biegających tam i z powrotem. Trwało to z pół godziny, a później sytuacja trochę się uspokoiła. Upłynęła jednak ponad godzina, zanim wartownik wrócił, by ponownie zająć swoją pozycję. I na tym skończyły się emocjonujące wydarzenia wieczoru. Wszystko ucichło i tak już pozostało. Zakładaliśmy, że plan się powiódł, ale nie byliśmy pewni. Czekala nas kolejna wspaniała noc dla cierpiących na bezsenność.

Nazajutrz robotnicy długo nie wychodzili do pracy. Kiedy w końcu się pojawili, wyglądali na zrezygnowanych i przygnębionych. Oczywiście nigdzie nie było widać Kevina. Nagle nawiedziła mnie jednak okropna myśl.

- Boże - powiedziałam do Homera - mam nadzieję, że nie wpadł tam naprawdę.

Minęła kolejna długa godzina. Potem zauważyłam ruch za rogiem szopy. Cicho zawołałam innych, ale to nie było potrzebne. Oni też to zobaczyli. Wszyscy wyciągnęliśmy szyje. To była przejmująca chwila. Kevin czy nie Kevin? Sukces czy porażka? Życie czy śmierć?

Ruszył w naszą stronę biegiem, uśmiechnięty od ucha do ucha. Jakby pozbywał się miesięcy rozpaczliwym jednym krótkim sprintem ku wolności. Miałam ochotę radośnie zagwizdać, ale to nie byłby dobry pomysł. Nadal byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a co ważniejsze, groziło ono także rodzinie Kevina. Zrobiłam krok do przodu, żeby go powitać.

Żołnierz pojawił się nie wiadomo skąd. Chociaż oczywiście nie do końca. Nieopodal stał stary otwarty od góry zbiornik na deszczówkę, który umieszczono między budynkami a lasem. Stał tam tak długo, że zaczęły go porastać chwasty. Wtopił się w krajobraz i dlatego

nie zwróciliśmy na niego uwagi. Tuż przed świtem musiał się w nim jednak ukryć żołnierz. Spryciarz.

Stał plecami do nas. Kevin natychmiast się zatrzymał i stanął z otwartymi ustami. Krew odpłynęła mu z twarzy. Żołnierz mierzył do niego z karabinu, a karabin był odbezpieczony. Mieliśmy tylko jedną przewagę: żołnierz najwidoczniej nie wiedział, że za nim stoimy.

Nie wiedziałam, co robić, nie byłam w stanie wymyślić nic, co mogłoby nam pomóc. Wiedziałam tylko, że zawiodłam na całej linii i że przeze mnie zginą ludzie. Usłyszałam, jak żołnierz mówi:

- Ty myśleć, że ja głupi. Ty myśleć, że ja głupi. Ale ja nie głupi. Głupi ty.

Nadal nie wiedziałam, co robić. Za plecami usłyszałam cichy szmer, ukradkowy ruch. Lekko odwróciłam głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale moje ciało zastygło w bezruchu, by nie zwrócić uwagi żołnierza. Homer otworzył plecak i właśnie wyjmował z niego śrutówkę. Wyciągnął ją już do połowy. Kawalek dalej zobaczyłam, że Lee też szuka czegoś w plecaku. Zaczęłam dawać Homerowi gorączkowe sygnały twarzą, wytrzeszczyłam oczy i marszczyłam brwi. Nie wiedziałam, co mogłoby rozwiązać nasz problem, ale na pewno nie była to śrutówka. W głównym budynku było co najmniej dziesięciu osadników i z pewnością mieli lepszą broń niż my. Usłyszałam, jak żołnierz mówi do Kevina:

- Ty iść do dom.

W tym momencie Lee ruszył naprzód. Przerazona przecuciem, zmusiłam się, by spojrzeć na jego dłonie i zobaczyć, co niesie. Spodziewałam się noża, takiego jak tamten, którym zabił młodego żołnierza w dolinie Holloway. Ale to nie był nóż. Lee nie znalazł w plecaku tego, czego szukał, i teraz jego ręce gmerały na wysokości talii. To, po co sięgał, było gorsze niż nóż. Zdejmował swój skórzany pleciony pasek.

Oczy Lee były szeroko otwarte, przypominały reflektory punktowe. Poruszał się ze zwinnością dzikiego kota - tak cicho, że gdy robił kolejny krok, słyszałam jedynie leciutki chrzęst. Jakimś cudem znalazłam czas, żeby pozazdrościć mu takiej gracji i lekkości. Potem zrozumiałam jednak, że muszę zrobić coś więcej, niż tylko patrzeć.

Pod pewnymi względami pasek Lee był idealną bronią. Biegł przez dwa małe stalowe kółka, w które wsuwało się go z powrotem, żeby dobrze zacisnąć. Wszyscy nosiliśmy takie paski: przeważnie robiliśmy je sami na zajęciach praktyczno-technicznych. Tylko Lee wpadł jednak na to, żeby wykorzystać swój jako broń. Miałam okropne, obezwładniające poczucie, że prawdopodobnie jego plan uda się doskonale. Był tylko jeden poważny problem: Lee zamierzał spróbować udusić paskiem faceta, który trzymał karabin. Była to chyba

najodważniejsza i zarazem najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Czułam, że muszę mu pomóc.

Żołnierz szybko tracił cierpliwość.

- Odwrócić się! - krzyknął na Kevina. - Ty zły! Odwrócić się!

Kevin wydawał się przerażony. Widział, jak za plecami żołnierza skrada się Lee i nie jestem pewna, kto bardziej go przerażał: Lee czy żołnierz. Przynajmniej wartownik był pewien, że to on jest przyczyną bladości Kevina i drżenia jego ust. Nie przyszło mu jeszcze do głowy, że ktoś może stać za jego plecami, jeszcze nie wpadł na to, żeby się odwrócić. Zaczęłam się skradać tuż za Lee. Wiedziałam, co mam zrobić: odebrać facetowi karabin. Rozpaczliwie próbowałam poruszać się tak cicho jak Lee. Kevin wykonywał rozkaz i odwracał się. Powoli, ale jednak się odwracał.

- Ręce do góry, ręce do góry - krzyknął żołnierz.

Ja i Lee byliśmy już zaledwie parę kroków od niego i uznałam, że powinniśmy zaatakować, kiedy żołnierz się wydiera. Było mniej prawdopodobne, że nas usłyszy, gdy jego uszy wypełniają się krzykiem. Miałam paskudną chwilę wahania - myślałam, że jednak nie zdołam tego zrobić. Chciałam się zatrzymać, ale wiedziałam, że zwyczajnie nie mogę. Jediną rzeczą, która była w stanie zmusić mnie do działania, było liczenie. Bardzo szybko policzyłam w myślach: „Raz, dwa, trzy”, i rzuciłam się do przodu.

Lee skoczył ułamek sekundy później. Kevin padł na bok, rozpaczliwie pragnąc uniknąć kul. Żołnierz nie strzelił jednak odruchowo, czego najbardziej się obawiałam. Nikogo nie trafił. Nawet nie pociągnął za spust. Zrobił to, co chyba większość ludzi zrobiłoby w podobnej sytuacji: zaczął się odwracać, żeby zobaczyć, co się dzieje za jego plecami. Tak działały jego odruchy. Z całej siły rąbnęłam go w ramię, a potem złapałam lufę i szarpnęłam ją w górę. Liczyłam na to, że wypuści broń, zaskoczony ciosem. Nie wypuścił, ale trochę wysunęła mu się z rąk i musiał ją mocniej złapać. W tej chwili Lee stracił mu czapkę z głowy, zarzucając na szyję pasek. Teraz, tocząc dwie bitwy jednocześnie, mężczyzna stracił orientację. Próbował mnie odepchnąć i jednocześnie odwrócić się, żeby zaatakować Lee. Wtedy podbiegł Homer i wspólnymi siłami wyrwaliśmy karabin z zaciśniętych palców mężczyzny. Czuł, że jest w tarapatkach. Lee szybko zaciskał pasek. Żołnierz próbował odciągnąć ten pasek od szyi, ale ja i Homer złapaliśmy go za ręce i opuściliśmy je z powrotem. Lee ścisnął z całej siły. Żołnierz próbował wzywać pomocy. Za późno. Poczułam, że wpadam w histerię, ale jakaś wewnętrzna siła kazała mi wytrzymać do końca. Żołnierz osuwał się na prawą stronę. Jego ręka wyslizgnęła się z mojego uścisku i podniósł ją do gardła, ale nic mu to nie pomogło. Lee był nieprzejednany. Na twarzy żołnierza pojawiły się

plamy, ciemnoczerwone z białymi punkcikami, które z każdą chwilą stawały się coraz ciemniejsze. Z jego ust wydobył się okropny bulgot, jakby ktoś próbował wypłukać gardło, trzymając płyn w ustach. Nie byłam w stanie dłużej na to patrzeć. Odwróciłam wzrok ku pięknemu lasowi, ku moim ukochanym drzewom. Czy takie rzeczy dzieją się również w lesie? Czy zwierzęta, ptaki zabijają się nawzajem z zimną krwią, dlatego że walczą o terytorium. Założę się, że tak.

Znowu złapałam żołnierza za rękę i poczułam jej siłę: jej rozpaczliwą walkę, kiedy opadała z sił, wykręcała się i stawiała opór. Ta walka trwała znacznie dłużej, niż przypuszczałam. Czułam, jak w umęczonej ręce nabrzmiewają żyły. Potem nagle to się skończyło. Ręka sflaczała. Powietrze wypełnił paskudny odór i zdałam sobie sprawę, że żołnierz narobił w spodnie. Ukradkiem zerknęłam na jego twarz i szybko odwróciłam się z powrotem. To był najbardziej odpychający obraz, jaki kiedykolwiek widziałam. Język zwisał jak olbrzymia gruba kiełbasa z dzika. Skóra była fioletowo-czarna. A jego oczy... Widok tych oczu będzie mi towarzyszył do śmierci i jeszcze dłużej. Jakby wpatrywał się we mnie sam diabeł. Mężczyzna, który oszalał w ostatniej minucie życia, wiedząc, że umiera, i widząc, jak zginie. Zawsze, kiedy zamykam powieki, w mojej głowie otwierają się te oczy.

## 6

- Co teraz?

Chyba tylko Robyn i Homer byli w stanie jeszcze jakoś funkcjonować. Ja strasznie się trzęsłam i chociaż chciałam powstrzymać to drżenie, nie potrafiłam. Kevin leżał na ziemi. Miał poszarzałą twarz. Tylko raz widziałam ludzką twarz w takim kolorze: kiedy odwiedziłam w szpitalu panią O'Meara tuż przed jej śmiercią. Miała osiemdziesiąt osiem lat.

Fi stała za nami, w zaroślach, obejmowała drzewo i cicho płakała. Lee siedział na ziemi z głową między kolanami. Nie widziałam jego twarzy i nie byłam pewna, czy chcę ją zobaczyć. W porównaniu z resztą z nas Homer i Robyn przynajmniej wyglądali, jakby nadal mogli się poruszać i myśleć.

To Robyn zadała pytanie, a Homer na nie odpowiedział.

- Do studni?

- Co?

- To nasze jedyne wyjście, jedyna szansa. Słuchajcie. Musimy to zrobić. Kevin, zrobiłeś kukłę, tak jak ci kazaliśmy?

Zrozumienie pytania zajęło Kevinowi z pięć minut, a sformułowanie odpowiedzi następne pięć. W końcu wolno pokiwał głową.

- Wypchaliśmy moje ciuchy robocze poduszkami.

- I co było potem?

Kevin mówił jak staruszek, jak zmęczony staruszek.

- Udało się - wybełkotał. - Żołnierze poświecili latarką i zobaczyli je na dnie. Potem próbowali spuścić jednego z moich kumpli na linie, ale zaczął krzyczeć o trujących gazach i panikować, więc musieli go wciągnąć z powrotem.

- To dobrze - powiedział Homer. - Idealnie. Szybko, pomóżcie mi go przenieść. Fi, zabierz jego karabin, a potem wróć i trochę tu uprzątnij, żeby nie było śladów walki.

Poruszaliśmy się zbyt wolno, więc w końcu się na nas wkurzył.

- Szybciej, niech was wszystkich diabli. Ruszajcie się, do cholery.

Powlekliśmy się do zwłok i staraliśmy się je podnieść, trzymając za różne części ciała. Kevin próbował nam pomóc, ale z obrzydzeniem się odwrócił i wypuścił stopy, które trzymał. Nasza czwórka taszczyła upiornie cuchnące zwłoki w kierunku małego podwórza. Homer

kierował, a my manewrowaliśmy w stronę studni. Zostawiono ją otwartą, ale nasz problem polegał na tym, że musieliśmy wrzucić żołnierza do środka, unikając jednocześnie wpadnięcia do studni. Był znacznie cięższy i mniej poręczny niż owca. Kiedy już prawie udało nam się ustawić w odpowiedniej pozycji, Homer stracił równowagę i wypuścił jego głowę. Upadła na ukruszony murek z okropnym trzaskiem, który pewnie rozłupał czaszkę. Nawiedziła mnie chora myśl, że nawet jeśli wartownik jeszcze żył, to teraz na pewno go zabiliśmy. Robyn załkała i wypuściła zwłoki. Homer wpadł w szal. Wrzasnął na nią.

- Nic się nie stało - powiedziałam. - Podnieście go z powrotem.

Po chwili wszyscy dobrze się zaparliśmy i podźwignęliśmy ciało. Ześlizgnęło się z krawędzi studni, zahaczając na chwilę ubraniami, a potem się wyswobodziło, szybko przeturlało na drugą stronę, zsunęło jeszcze bardziej, wpadło do środka i runęło w otchłań.

Czekałam na plusk, ale się nie rozległ.

- Może utknął gdzieś po drodze? - powiedziałam.

- Jest tu jakaś latarka? - zapytał Homer Kevina.

Kevin chwilę się zastanawiał, a potem pokiwał głową.

- Dobra, biegnij po nią. - Kiedy Kevin ruszył się zbyt wolno, wrzasnął na niego: - Szybko! - Potem zwrócił się do nas: - Słuchajcie, to musi wyglądać tak, jakby facet się poślizgnął i wpadł do środka. Fi, rzuć karabin na trawę, jakby żołnierz poczuł, że spada, i wypuścił go z ręki. Potem wróć i uprzątnij tamto miejsce, gdzie... gdzie... gdzie się z nim szamotaliśmy. Lee, idź obejrzeć drogę, którą go tu przywlekliśmy. Zatrzyj ślady i uprzątnij bałagan, którego mogliśmy narobić.

- Skupmy się na tym miejscu - powiedziałam, wskazując najbardziej ukruszoną część studni. - Jeśli strącimy do środka kilka kamieni, żeby wyglądały, jakby się osunęły, kiedy na nich stanął...

- Dobrze, zrobimy tak.

Kevin wrócił z latarką. Wzięłam ją od niego i położyłam się na brzuchu, żeby zajrzeć do studni. Była naprawdę bardzo głęboka, znacznie głębsza niż studnie w Wirrawee. Nawet z latarką widziałam w czarnej głębinie w oddali jedynie niewyraźny zwałisty kształt, który mógł być ciałem człowieka. Smród był słabszy niż za pierwszym razem, ale znowu zaczynał mnie przyprawiać o zawroty głowy. Odsunęłam się.

- Zobaczyłaś coś? - zapytał Homer.

- Coś, coś, coś - powtórzyłam jak echo, przypominając sobie stary kawał o partyzantach ukrytych w studni.

Dlaczego zawsze tylko ja miałam ochotę na żarty w takich chwilach jak ta? Pewnie

byłam bardziej stuknięta, niż mi się wydawało. W każdym razie Homer spojrział na mnie tak, jakbym naprawdę była chora na umyśle.

- Nie jest źle - powiedziałam szybko. - Chyba wartownik wylądował na poduszkach Kevina. Ciężko tam cokolwiek zobaczyć, ale wydaje mi się, że pod tym wszystkim leży owca.

- Owca? - zdziwił się Kevin.

- Wczoraj wrzuciliśmy do studni martwą owcę - wyjaśniłam - żeby zapewnić miły zapaszek w nadchodzących dniach. Inaczej kukła straciłaby wiarygodność. Poza tym to ich zniechęci do usilnego próbowania wydobycia twoich zwłok na górę.

Kevin lekko się uśmiechnął - prawdopodobnie był to najśłabszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam, ale i tak podniósł mnie na duchu.

Wrócili Lee i Fi.

- Zrobione - zameldował cicho Lee. - Znaleźliśmy coś.

Pokazał nam czapkę żołnierza.

- Dobrze - powiedział Homer. Położył ją na trawie tuż obok zniszczonego murku studni. - Myślisz, że się uda? - zapytał Kevina.

Kevin lekko pokiwał głową.

- Chyba tak. Ten koleś był strasznym frajerem. Coś takiego byłoby w jego stylu: zajrzeć do studni dla zabawy. Pozostali wartownicy też uważali go za frajera, więc raczej nie będą tracić czasu na dochodzenie. Nikt faceta nie lubił.

- Zresztą to i tak już nie zależy od nas - powiedział Homer beznamiętnym tonem. - Nic więcej nie możemy zrobić. Odnieś latarkę na miejsce i wynośmy się stąd.

Po chwili już nas tam nie było. Minęła dopiero dziesiąta czterdzieści pięć. Nie mogłam uwierzyć, że tyle zdążyło się już wydarzyć. Mieliśmy przed sobą cały dzień. Jezu, gdybyśmy naprawdę się przyłożyli, do piątej po południu mogliśmy zabić jeszcze z tuzin osób.

Kevin chciał zabrać kilka swoich najcenniejszych rzeczy, ale zgodnie mu tego zabroniliśmy. Było ciężko, bardzo ciężko, ale nie odważyliśmy się ryzykować.

- Jeśli zauważą, że brakuje chociaż jednej rzeczy, jesteś ugotowany. Ty albo twoja rodzina - powiedział Homer.

- I my wszyscy, jeśli ruszą naszym tropem - dodałam.

- Pozostaje ci mieć nadzieję, że twoi koledzy przechowają te rzeczy do końca wojny - powiedział Lee.

Dla żadnego z nas nie brzmiało to zbyt pocieszająco, ale nic więcej nie udało nam się

wymyślić. Poza tym nas wszystkich czekały trudniejsze czasy, bo odtąd musieliśmy się dzielić z Kevinem takimi cennymi rzeczami jak jedzenie i ciepła odzież. Już i tak mieliśmy tylko niezbędne minimum. Zresztą czy to przypadkiem nie Kevin powstrzymał nas od wywożenia zbyt wielkich zapasów do Piekła, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nastąpiła inwazja? Nie, to był Homer. Chwilami się martwiłam, że pamięć zaczyna mnie zawodzić.

Wszyscy oprócz Kevina zarzuciliśmy plecaki na plecy i ruszyliśmy w drogę. Prowadził Homer. Narzucił mordercze tempo, ale wiedzieliśmy dlaczego i nikt nie protestował. Nie było czasu na szok, przerażenie czy smutek po zabójstwie. Musieliśmy przede wszystkim zabrać tyłki w troki i wynieść się daleko, daleko stąd, jeśli chcieliśmy, aby te tyłki pozostały przyczepione do naszych ciał - a przecież chcieliśmy. Przynajmniej tak mi się wydawało. Niektórzy z nas wyglądali, jakby przestało ich to już obchodzić.

Nie zatrzymaliśmy się na lunch, tylko ponuro maszerowaliśmy dalej. Nikt nic nie mówił i szliśmy ze spuszczoneymi głowami jak ludzkie zwierzęta juczne w długiej podróży. Jestem pewna, że wszyscy myśleliśmy o rodzinie Kevina, którą swoimi działaniami naraziliśmy na niebezpieczeństwo. Nikt nie zaproponował, żebyśmy zostali i poobserwowali żołnierzy, by zobaczyć, jak zareagują, kiedy zobaczą, że zniknął jeden z nich. Gdybyśmy odkryli, że uwierzyli w wypadek, byłibyśmy pewnie trochę spokojniejsi. Ryzyko wydawało się jednak zbyt wielkie. Zresztą już dawno porzuciliśmy nadzieję na spokój.

Późnym popołudniem zrobiliśmy sobie przerwę na przekąskę i toaletę. Byłam okropnie głodna i coraz bardziej wkurzona na Kevina, który nikomu jeszcze nie zaproponował, że poniesie jego plecak. To prawda, wydawał się przygnębiony - chyba przeżył szok - ale z nami było podobnie, a plecaki bardzo ciążyły. Rzuciłam więc kilka aluzji, a on odpowiedział paroma sarkastycznymi uwagami. Potem powiedziałam, że za żadne skarby nie pozwoliłabym mu nieść mojego plecaka i tak dalej. Typowe kłótnie zmęczonych ludzi. W głębi duszy ucieszyłam się, kiedy Robyn przystanęła i przywołała nas do porządku, a potem opracowała prosty grafik, dzięki któremu każde z nas od czasu do czasu mogło liczyć na chwilę wytchnienia od niesienia plecaka.

Las znowu zaczął się przeredzać i zdaliśmy sobie sprawę, że zbliżamy się do pól. Była to dla nas zła wiadomość, bo na otwartej przestrzeni znacznie trudniej się ukryć, zwłaszcza teraz, kiedy osadnicy już tak bardzo rozpanoszyli się w kraju. Wyglądało na to, że wszędzie przywrócono zasilanie, a to stanowiło następny problem. Nocą każdy dom zmieniał się w wyspę światła.

Nagle, około siódmej wieczorem, dotarliśmy na skraj lasu. Bez słowa zrzuciliśmy plecaki. Staliśmy na lekkim wzniesieniu. W ostatnich promieniach słońca zobaczyliśmy



piękne soczyście zielone równiny, które rozciągały się przed naszymi oczami. Krajobraz, na którego widok cieknie ślinka. Gleba, którą można by zjeść. Ponieważ jednak była taka żyzna, co kawałek znaczyły ją małe domki, w których paliło się światło. Zobaczyliśmy drogę biegnącą przez dolinę, którą właśnie opuszczaliśmy. Mniej więcej dwa kilometry dalej łączyła się z główną asfaltówką, która przecinała krajobraz z lewej strony. Tam, gdzie się spotykały, stała mała wioska z mniej więcej tuzinem domów i stacją benzynową. Od czasu do czasu drogą przejeżdżał jakiś pojazd: zobaczyliśmy dwa samochody i ciężarówkę. W czasie pokoju nie było tu pewnie większego ruchu.

- Przegrywamy tę wojnę - powiedział Homer beznamiętnym tonem.

- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem - odezwał się Kevin.

Rozumiałam, o czym mówią. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie, typowo, tak jak zawsze. Jakby nic się nie zmieniło. Jasne, nastąpiło chwilowe zamieszanie, mała zmiana w porządku rzeczy i oczywiście zmiana tych, którzy ten porządek ustanawiali, ale najważniejsze sprawy pozostały niewzruszone. Ptaki nadal fruwały, wiatr nadał dmuchał, rzeki nadal płynęły w stronę morza. Ziemia się nie zmieniła.

- Musimy iść dalej - powiedziała Robyn.

Ją też zrozumiałam. Musieliśmy maszerować przez większość nocy, może nawet przez całą. Na takim terenie nie mogliśmy się przemieszczać za dnia. Dla takich ludzi jak my jedynym bezpiecznym czasem była ciemna noc. Musieliśmy znaleźć jakieś zaciszne miejsce, żeby odpocząć między wschodem a zachodem słońca. Wiedzieliśmy, że to będzie trudne - trudne i niebezpieczne. Ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Oczywiście Robyn, jak to Robyn, miała jednak na myśli coś więcej niż tylko długi marsz.

W pewnym sensie ta nocna podróż była mi na rękę. Im dłużej trwała wojna, tym pewniej czułam się po zmroku. Wcześniej ciemność kojarzyła mi się ze strasznymi rzeczami. To była pora lisów, psów dingo i dzikich kotów. Czas czarownic i chochlików, wampirów, wilkołaków i duchów. Czas zła.

I właśnie dlatego tak nam teraz odpowiadał.

Z drugiej strony, w tamtą konkretną noc nie odpowiadał mi wcale. Byłam tak strasznie zmęczona, tak potwornie wyczerpana. Padałam z nóg. Wiedziałam, że nie jestem w stanie zrobić kolejnego kroku. Nienawidziłam Robyn, kiedy powiedziała, że musimy iść. Czekałam jednak, żeby zaprotestował ktoś inny - ja byłam na to zbyt dumna. Potem zobaczyłam, że nikt nie zamierza się odezwać. Albo byli równie dumni jak ja, albo nie byli równie zmęczeni. Z ponurą miną, nienawidząc ich wszystkich, zarzuciłam plecak na plecy.

- Jeszcze nie teraz, Ellie - łagodnie powiedział Homer. - Jeszcze za wcześnie.

- Jesteś niewiarygodna - zwróciła się do mnie Fi z podziwem w głosie. - Nie wiem, jak ty to robisz. Ja nie byłabym w stanie postawić następnego kroku. Muszę odpocząć.

- Ellie mogłaby maszerować tydzień - powiedział Lee takim samym tonem jak Fi.

Wtedy poczułam się trochę lepiej. Nie przyznałam się do tego, jak strasznie jestem wyczerpana. Niech dalej myślą, że jestem superkobietą, skoro tak bardzo tego chcą. Ja znałam jednak prawdę.

Zaczekaliśmy jeszcze godzinę. Nie rozmawialiśmy, każdy został sam na sam ze swoimi myślami. Nietrudno było zgadnąć, czego dotyczą. Zerknęłam w stronę Kevina. Wpatrywał się w dal i drżały mu usta, jakby ponownie przeżywał w myślach każdą chwilę. Ciekawiły mnie jego wrażenia. Jak teraz wyglądaliśmy w jego oczach? Jak bardzo się zmieniliśmy? Wiedziałam, że trochę musieliśmy się zmienić, ale przypomniawszy sobie, jaką miał minę, kiedy zabiliśmy tamtego żołnierza, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zmieniliśmy się bardziej, niż nam się wydawało. Patrzył na nas, jakbyśmy byli istotami z innej planety. No cóż, przynajmniej wiedziałam, że to nieprawda. Nie byliśmy istotami z innej planety. Byliśmy po prostu istotami z Piekła.

W końcu to ja dałam sygnał do wymarszu. Wszystko przez te głupie gadki o mojej wielkiej sile - chciałam sprostać oczekiwaniom. Był jednak jeszcze jeden powód. Nigdy nie lubiłam, kiedy Homer obejmował dowodzenie. W takich wypadkach musiałam dochodzić swego. Zawsze tak było, nawet gdy byliśmy mali.

Lee i Robyn spali, ale obudzili się, kiedy zaczęłam ich poszturchiwać. To była jedna z zalet naszego obecnego trybu życia - przyzwyczailiśmy się do krótkich drzemek i zrywania się na wartę. Wszyscy oprócz Lee zarzucili plecaki na plecy i wyruszyliśmy w drogę.

Tak zaczęła się okropna noc. Na noc po okropnym dniu nadawała się idealnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam bardziej zmęczona niż wtedy. Wlekliśmy się noga za nogą. Minuta po minucie, godzina po godzinie. Najpierw rozbolały mnie stopy, potem łydki, potem plecy i kark. Głowa opadała coraz niżej. Szybko zrezygnowałam ze sporadycznych prób nawiązania rozmowy. Człap, człap, człap. Bolały mnie mięśnie, bolały mnie stawy, bolały mnie kości. Chyba z godzinę poświęciłam na samo myślenie o tym, co wyrzuciłabym z plecaka, żeby był trochę lżejszy. Myśl o plecaku, który ważyłby dwa kilo mniej, zmieniła się w cudowne marzenie. Wydawało mi się, że życie nie mogłoby zaoferować słodszej obietnicy, większej nadziei. Roztrząsałam zalety i wady każdego niesionego przedmiotu, próbując zdecydować, który z nich mogłabym wyrzucić. Byłam pewna, że coś takiego znajdę, ale naprawdę nie potrafiłam. Wszystko miało jakieś zastosowanie. Nie wyobrażałam sobie życia

bez którejs z tych rzeczy. No więc szłam dalej.

Jedenasta wieczorem przysła i minęła. Maszerowaliśmy dalej. Kilka godzin później spojrzałam na zegarek. Było dwanaście po jedenastej. Miałam ochotę krzyknąć z rozczarowania. Czułam się strasznie oszukana. W końcu minęła północ i powłóczęc nogami, wkroczyliśmy w następny dzień. Właśnie minęły trzy godziny z mojego życia, pomyślałam. Trzy godziny, których nigdy nie odzyskam. Jestem trzy godziny bliżej śmierci, a przez cały ten czas nie robiłam nic - tylko szłam.

Wiedziałam, że stawiam coraz mniejsze kroki i że lepiej byłoby stawiać większe. Gdyby każdym krokiem udało mi się pokonać dwadzieścia centymetrów więcej, byłabym mniej zmęczona. Wiedziałam o tym. Nie potrafiłam tego jednak zrobić. Zamiast dłuższe moje kroki robiły się jeszcze krótsze. Zaczął padać lekki deszczyk i z początku się ucieszyłam, bo działał orzeźwiająco. Potem jednak przemokły mi ubrania. Zrobiły się lepkie i ciężkie. Zmarzłam. Pierwsza strużka zimnej wody, która spłynęła mi po karku, była okropna: jakby lodowaty wąż pełził po gołej skórze, w miejscu, gdzie nie mogę go dosięgnąć. Myślę, że zaczęłam płakać ze zmęczenia, ale nie jestem pewna, bo twarz miałam mokrą od deszczu. Słyszałam za to, jak z tyłu pochlipuje Fi, ale ją zignorowałam, bo całej energii potrzebowałam dla siebie. Nie odważyłam się poświęcić jej dla kogoś innego.

Przed pierwszą ciągle niecierpliwie spoglądałam na zegarek. Był wystarczająco oświetlony, bym mogła dojrzeć godzinę. Myślałam, że jeśli dotrwam do pierwszej, nastąpi coś wyjątkowego. Ale nic się nie stało.

Woda zaczęła wnikać mi do butów, forsując wodoodporną warstwę. Zaczęłam śpiewać w myślach *Ten Thousand Green Bottles*, ale szybko się tym znudziłam. W pewnej chwili Robyn próbowała namówić na śpiewanie nas wszystkich: zaśpiewała solo *Are You Lonesome Tonight*, które było zbyt dołujące, potem *Smoke Curls up Around the Old Gum Tree Trunk*, później zaczęła *Not for the First Time*, a potem dała sobie spokój. Po jakimś czasie zrobiliśmy postój, żeby Fi mogła się załatwić. Zdałam sobie sprawę, że to ja niosę papier toaletowy, ale nie wiedziałam, gdzie go włożyłam. Miałam wrażenie, że szukanie go trwa z pół godziny. Grzebałam w plecaku coraz głębiej, robiąc tam straszny bałagan, wystawiając zawartość na deszcz, aż w końcu sobie przypomniałam, że papier jest w bocznej kieszonce. Przesiąknięta rozpaczą, odrzuciłam głowę do tyłu i zawylałam. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, nikogo to nie obchodziło.

- Nie moglibyśmy gdzieś tu rozbić obozu? - jęknął Kevin, rozglądając się w ciemności.

- Nie ma mowy - powiedział Homer. - Nadal jesteśmy na otwartej przestrzeni.

Musimy iść dalej.

Zapadło ponure milczenie. Kiedy wróciła Fi, dźwignęliśmy plecaki i znowu ruszyliśmy przed siebie.

Im dłużej szliśmy, tym bardziej marzłam. Straciłam czucie w stopach. Wiedziałam tylko tyle, że są potwornie ciężkie i podnoszenie ich w marszu wymaga coraz większego wysiłku. Bolała mnie głowa i bez przerwy ciekło mi z nosa. Pociąganie nosem w ogóle nie pomagało i smarki mieszały się z kroplami deszczu płynącymi po twarzy. Nogi też miałam odrętwiałe. Brakowało mi siły, żeby podnieść rękę i spojrzeć na zegarek, choć pewnie i tak nie byłabym w stanie dojrzeć cyferek. Im dłużej szliśmy, tym większe miałam problemy z utrzymaniem równowagi. Gnębiło mnie niewyraźne poczucie, że ciągle zbaczam z linii prostej, ale najwyraźniej nie mogłam temu zaradzić. Nie miałam pojęcia, kto prowadzi, lecz zakładałam, że Homer, który niósł kompas. Tym razem - a był to jeden z bardzo nielicznych wypadków w moim życiu - nie potrafiłam mu dorównać.

Kiedy się zatrzymaliśmy, byłam zbyt zmęczona, aby odczuć jakąkolwiek ulgę, zbyt zmęczona, by cokolwiek poczuć. Stałam i czekałam, aż ktoś mi powie, co robić. Dobrze wiedziałam, że możemy się natknąć na patrol. Kilka minut później Homer wyszedł z ciemności i sięgnął po moją rękę. Podałam mu mokrą, zimną i ciężką dłoń. Pewnie poczuł się tak, jakby podniósł śniętą rybę.

- Chodź, Ellie, idziemy, stara - powiedział zmęczonym głosem.

Pozwoliłam się prowadzić jak bezradne dziecko. Szliśmy mniej więcej pięć minut, zbliżając się do jakiegoś budynku. Nagle zdałam sobie sprawę, że to silos na pszenicę, duży i betonowy. Nie obchodziło mnie, dokąd idziemy, ale pamiętam, że silos wydał mi się dobrym schronieniem, bo wiedziałam, że osadnicy zainteresują się nim dopiero w czasie żniw, w połowie lata.

## 7

Jednym z problemów podczas wojny był brak lekarstw. Na początku mieliśmy apteczkę z artykułami pierwszej pomocy, ale dość szybko je zużyliśmy. Teraz zostało nam pół opakowania plastrów z opatrunkiem i buteleczka Alka-Seltzer. A po tamtym mozolnym, okropnym marszu przez równiny byliśmy zmęczeni, przygnębieni i przemoczeni do suchej nitki. Mieliśmy mokre włosy i wodę w butach.

Idealnie nadawaliśmy się na bohaterów podręcznika medycyny: byliśmy na najlepszej drodze do choroby. I oczywiście się rozchorowaliśmy.

Robyn, Kevin, Fi i ja rozłożyliśmy się od razu. Zostali tylko Homer i Lee, a i oni nie byli w najlepszym stanie. Zaczęło się od przeziębień, kataru i ciekących nosów, a potem był kaszel i poważne kłopoty. Nie mieliśmy termometru, ale to i tak było bez znaczenia. Nie trzeba mieć czujnika dymu, żeby widzieć, że dom się pali. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na dwie czerwone plamy na białych policzkach Fi. Płonęliśmy, dygotaliśmy, dyszeliliśmy i niespokojnie przewracaliśmy się z boku na bok. Miałam tak silne halucynacje, że musieli mnie związać. Wydawało mi się, że jestem Wielkim Przystrzygaczem albo kimś w tym rodzaju. Wiedziałam, że mam ogromne nożyce i moje zadanie polega na chodzeniu od topoli do topoli i przycinaniu gałęzi. Wszystkie drzewa wyglądały dobrze tuż nad ziemią. Najwięcej problemów stwarzały wysokie gałęzie. Cały czas musiałam stawać na palcach albo nawet podskakiwać z rozpostartymi ramionami, żeby dosięgnąć ich nożycami i obciąć. Coraz wyraźniej zdawałam sobie sprawę, że gałęzie, które przycinam, są jak ludzie: niektóre miały pięknie wyrzeźbione ludzkie kształty. Ciachanie ich na pół nie było zbyt przyjemne, ale wiedziałam, że to mój obowiązek, więc się do tego zmuszałam. Wtedy gałęzie odwracały moją uwagę, zmieniając się w prawdziwych ludzi, a ja przez chwilę im się przyglądałam, a potem zaczynałam przycinać następne drzewa.

Właśnie w chwilach, gdy byłam Wielkim Przystrzygaczem, Homer i Lee mieli ze mną najwięcej kłopotu. Potem powiedzieli, że przypominało to oglądanie jakiegoś szalonego aerobiku: ciągle podskakiwałam, łapałam jakieś niewidzialne przedmioty, a potem szamotałam się i jęczałam, kiedy próbowali mnie zaciągnąć z powrotem na posłanie. Sami mieli tak mało energii, że musieli poszukać sznurka, aby w końcu mnie związać.

- Założę się, że to był twój pomysł - powiedziałam do Homera.

- Wierz mi, nie sprawiło mi to żadnej przyjemności.

- Jasne, jasne.

Muszę przyznać, że obaj byli wspaniałymi pielęgniarzami. Budziłam się rozpalona gorączką, a Homer i Lee już po chwili byli przy mnie, bez względu na to, czy działo się to o trzeciej w nocy, czy o trzeciej po południu. Chociaż właściwie straciłam poczucie czasu.

Możliwe, że antybiotyki uzdrowiłyby nas w ciągu jednej doby - pewnie tak. Nie mieliśmy ich jednak, więc cierpieliśmy i nasze ciała same musiały się wyleczyć, wspomagane jedynie przez dwóch chłopaków. Ocierali nam czoła mokrymi, zimnymi ręcznikami, dawali pić, a parę razy nawet karmili. Dbali, żebyśmy mieli suche ubrania, mówili do nas i głaskali po rozgorączkowanym czołach.

Pewnego dnia obudziłam się słaba jak papierowa chusteczka, ale całkowicie przytomna. Wiedziałam, że jest wcześniej rano i jak przez mgłę pamiętam chwilę, w której ustała walka w moim ciele. Potem ogarnęło mnie coś w rodzaju błęgiego spokoju, a następnie zasnęłam głębokim, ciepłym snem. Zjawił się Homer z kociołkiem do gotowania i butelką wody, a ja leniwie na niego spojrzałam.

- Jak jest na zewnątrz?

- O, widzę, że wracasz do świata żywych?

- Mhmm. Czuję się całkiem nieźle.

- To dobrze.

- Co z resztą?

- Od wczoraj Fi czuje się coraz lepiej. Jest z tyłu, je śniadanie razem z Lee. Robyn i Kevin nadal chorują.

Zerknęłam w stronę ich posłań. Rzeczywiście nie wyglądali dobrze. Obydwoje spali; Kevin mamrotał i ciągle się ruszał, a Robyn była przeraźliwie blada.

- Boże, ja też tak wyglądałam?

- Gorzej.

- Jak długo to trwało?

- Cztery dni.

- Jasne.

- Przysięgam! W ciągu czterech ostatnich dni ja i Lee spaliśmy najwyżej z godzinę.

Wreszcie zamilkłam. Byłam pod wielkim wrażeniem faktu, że z mojego życia wypadły cztery dni, a ja nawet tego nie zauważyłam. Może to przedsmak śmierci: ciągle wizje, sny i niewyraźne przeblęski rzeczywistości. Tyle że ze śmierci nie można się obudzić - dziwne obrazy pozostają z tobą już na zawsze. Oczywiście często rozmyślałam o śmierci i o

tym, jak ona może wyglądać. Nadal o niej myślę.

Kiedy spróbowałam wstać, okazało się, że to niezbyt dobry pomysł. Nie miałam siły w kończynach ani w umyśle, który nie umiał ich zmusić do posłuszeństwa. Zdziwiłam się, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się przejmować. Znowu zasnęłam.

Obudziłam się następnego dnia. To jeszcze bardziej mnie zaskoczyło. Homer i Fi przez pół godziny przekonywali mnie, że naprawdę tak długo spałam. Miałam dość leżenia. Poza tym musiałam się jak najszybciej wysikać i byłam okropnie głodna. Poczłapałam na zewnątrz i sobie ulżyłam, a potem schrupałam kilka herbatników i po raz pierwszy od blisko tygodnia zaczęłam się interesować otoczeniem.

Byliśmy teraz blisko wybrzeża. Czułam zapach morza. Na podstawie kierunku, który obraliśmy wcześniej, domyślałam się, że jesteśmy jakieś dwadzieścia kilometrów od Zatoki Szewca. Wiedziałam, że niedługo znowu będziemy musieli zacząć się poważnie zastanawiać nad portem. Na myśl o tym omal nie dostałam natychmiastowego nawrotu gorączki. Nadal byliśmy na dość otwartym terenie, który jednak nie przypominał równin przebytych pięć nocy wcześniej. Trawa była bardziej szorstka, a drzewa wydawały się potargane wiatrem i opuszczone. W zasięgu wzroku nie było żadnych domów, ale rząd drzew pięćdziesiąt metrów dalej wskazywał jakąś drogę. Deszcz ustał, jednak dzień był zimny i znowu zaczęło wiać. Kilka chmur pędziło po niebie, jakby dokądś im się spieszyło.

Wróciłam do silosu i pomogłam Lee w pracach domowych - a właściwie silosowych.

- Gdzie jest zapas wody? - zapytałam, podnosząc puste butelki.

- Pokażę ci.

Wydawał się zmęczony i zdenerwowany. Nic dziwnego, bardzo się z Homerem napracowali.

Podeszliśmy do drogi i pokonaliśmy kilkaset metrów. Czułam się dziwnie, idąc tak swobodnie w świetle dnia.

- Nie przejeżdżają tędy żadne samochody?

- W ciągu pięciu dni naliczyłem cztery. Zresztą mnóstwo tu krzaków, za którymi można się schować. Samochody słychać z daleka.

- Jak się czujesz? - zapytałam, ale nie bardzo mnie to interesowało.

Sama byłam zbyt zmęczona, zbyt osłabiona i chyba nadal zbyt wstrząśnięta tym, co zaszło przy studni.

- W porządku. Po prostu opiekowanie się wami kompletnie mnie wykończyło.

- Prześpij się, kiedy wrócimy. Ja i Fi możemy cię zastąpić, a ty sobie odpoczniesz.

- Tak, dzięki, chyba właśnie tak zrobię.

Zupełnie niespodziewanie i z pewnym zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że mój związek z Lee jest skończony. Już nic do niego nie czułam. Wydawał się obcy, a ta rozmowa przypominała uprzejmą pogawędkę, jaką ucina się z obcymi ludźmi.

Wtedy nie chciałam tego przed sobą przyznać, ale patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że przyczyna tkwiła między innymi w zabiciu żołnierza podczas ratowania Kevina. Oczywiście zabijaliśmy już wcześniej. Lee już wcześniej zabił z zimną krwią. Tym razem było to jednak zbyt okropne, zbyt obrzydliwe. Nie chciałam go więcej dotykać, a nawet niespecjalnie miałam ochotę z nim rozmawiać. Za każdym razem, kiedy mnie dotykał swoimi długimi palcami, robiło mi się niedobrze.

Wiem, to niesprawiedliwe. Jakbyśmy zmuszali Lee do odwalania za nas brudnej roboty, a potem go za to winili. Sprawiedliwość i niesprawiedliwość to jednak argumenty dla umysłu - emocje nie mają pojęcia o tym, co jest sprawiedliwe, a co nie.

Napełniliśmy butelki w szerokiej, płytkiej rzece, kucając w żwirze i patrząc na małe banieczki bulgoczącej wody. Było jednak zimno i butelki też były zimne, kiedy nieśliśmy je z powrotem.

Tamtego wieczora stan Kevina zaczął się poprawiać, a Robyn była już wystarczająco przytomna, żeby wiedzieć, co się dzieje. Silos okropnie cuchnął, wypełniony naszym ludzkim smrodem od blisko tygodnia. W tym samym rzędzie stały trzy silosy z betonu i dwa ze stali. Zajrzałam do tych dwóch z betonu, w nadziei, że moglibyśmy się przenieść do jednego z nich i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, ale w obydwu mocno cuchnęło chemikaliami. Prawdopodobnie pestycydami. W stalowych unosił się przyjemny zapach suchego ziarna, ale byłoby nam w nich niewygodnie.

Wróciłam do naszego silosu. W pierwszym pomieszczeniu nie było najgorzej. Najwidoczniej zarządca urządził tam sobie biuro, z którego mógł zaglądać przez metalową kratkę do głębokiej dziury i patrzeć, jak komora powoli wypełnia się ziarnem. Stała tam szafa na dokumenty, krzesło i biurko, przy którym Homer i Lee często grali w karty. W drugim pomieszczeniu spaliśmy my, cherlaki, a oprócz tego było jeszcze kilka małych betonowych cel - jak w średniowiecznym klasztorze.

Usiadłam przy biurku i przez chwilę stawiałam pasjansa.

Kevinowi się polepszyło, więc w końcu musieliśmy rozpocząć poważną rozmowę, na którą wszyscy czekaliśmy. Odbyła się nazajutrz po śniadaniu, w biurze. Robyn przeniosła tam swój śpiwór i leżała w nim, patrząc i słuchając, a reszta z nas dość wygodnie usiadła pod ścianą i raczyła się zimnym kakao Milo. Homer usiadł na krześle.

- No, Kevvy, opowiadaj - zaczął.



- Opowiadaj - zaśpiewałam, a Robyn i Fi natychmiast się przyłączyły:

Opowiadaj,

Opowiadaj,

Opowiadaj, pamiętasz, co mówiłeś?

Obiecałeś mi, przyrzekałeś mi,

Obiecałeś mi, przyrzekałeś mi,

Opowiadaj, pamiętasz, co mówiłeś?

- Od czego mam zacząć? - zapytał Kevin.

- Od początku - odpowiedzieliśmy chórem.

Po strasznych dniach, po dniach zabijania, często cofaliśmy się w rozwoju. Powiedziałabym, że w tamtej chwili zachowywaliśmy się jak siedmiolatki. Opowieść Kevina sprawiła jednak, że dość szybko znowu dorośliśmy. Nie była zbyt zabawna, ale po raz pierwszy usłyszeliśmy szczegółowy opis życia w niewoli.

- Dobra, w takim razie zacznę od początku. Po tym jak zabrałem Corrie i zostawiłem was w domu Ellie... Boże, mam wrażenie, że to było całe wieki temu. Po tamtej nocy wszystko się zmieniło. Jedna kula zmieniła wszystko.

Spuścił wzrok na swój kubek, ale się nie napił.

- Dotarliśmy do szpitala około drugiej w nocy. Jechałem bardzo wolno. Bałem się, że Corrie umrze na tylnym siedzeniu i ciągle się odwracałem, żeby sprawdzić, jak się czuje. Wyglądała coraz gorzej. Było widać, jak krew odpływa jej z twarzy. Ale kiedy tylko dodawałem gazu, jęczała. Nigdy wcześniej nie słyszałem takich okropnych, niskich jęków. Cholera, to było straszne. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nawet nie myślałem o wojnie i o żołnierzach. To głupie, ale taka jest prawda. Prawie zapomniałem, że doszło do inwazji. Potrafiłem myśleć tylko o tym, żeby zabrać Corrie do szpitala i żeby ją wyleczyli. Podjechałem do bramy z włączonymi reflektorami, migającymi światłami awaryjnymi i wyjąłym klaksonem. Wiedzieli, że się zbliżam. I chyba dlatego uznali, że nie stanowią zagrożenia. Wszyscy wybiegli z budynku: pielęgniarka, lekarka i facet z noszami. A oprócz nich dwaj żołnierze. Na ich widok od razu przypomniałem sobie o wojnie. Z początku nie było najgorzej. Żołnierze wiedzieli, że w tym regionie nadal są ludzie przebywający na wolności, więc nie byli zbyt zaskoczeni moim przyjazdem. Personel szpitala był stąd, więc zachowywał się w porządku. Kłopoty zaczęły się, kiedy żołnierze zobaczyli, że Corrie ma ranę postrzałową. Personel próbował to przed nimi ukryć. Udawał, że Corrie spadła z

urwiska, ale problem polegał na tym, że jeden z żołnierzy znał angielski i nikomu o tym nie powiedział. Specjalnie udawał, że nic nie rozumie, żeby łatwiej szpiegować ludzi. Personel szpitala swobodnie rozmawiał w jego obecności i tak wszystko się wydało.

Kevin na chwilę zamilkł. Oderwał wzrok od miło i spojrzał na lej silosu.

- Wtedy się zaczęło. Corrie została „zła, zła dziewczyna” i od razu próbowali nas wrobić w wysadzenie mostu. Dwaj żołnierze powalili mnie na podłogę w kącie i zaczęli tłuc kolbami karabinów. Celowali w nerki i bez problemu trafiali do celu. Potem przez dwa tygodnie sikałem krwią. Za każdym razem, kiedy szedłem do łazienki, przypominałem sobie tych gości. Później przyprowadzili trzech wartowników z mostu, tych, którzy najlepiej was widzieli, i kazali im nas zidentyfikować. Uratowało nas tylko to, że tamci żołnierze byli pewni, że most wysadził ktoś inny. Na nasze cholerne szczęście okazali się uczciwi. Wtedy żołnierze na chwilę przestali mnie kopać. Mimo to nie byli zadowoleni. Powtarzali lekarce, że Corrie musi natychmiast trafić na teren wystawowy, że nie wolno jej dłużej leczyć. Byli naprawdę wkurzeni. Ciągłe krzyczeli: „Koniec, koniec”. Wymachiwali karabinami i próbowali wypchnąć nosze ze szpitala. Ale mówię wam, ta lekarka okazała się bombowa: po prostu się sprzeciwiła, powiedziała coś w stylu: „Nie ma mowy, nie marnujcie mojego czasu i przestańcie mi zawracać głowę”. Chyba nie do końca wiedzieli, co z tym zrobić. O Corrie toczyła się zaciekle bitwa, a ona leżała nieprzytomna. Całkiem zabawne, tylko że jakoś nikt z nas nie był w nastroju do żartów.

- Mówisz o doktor Crassini? - zapytałam.

Kevin pokiwał głową.

- Tak, zgadza się, o niej.

- Domyśliłam się.

Widziałam, jak doktor Crassini zajmowała się moim ojcem. Była niesamowita. Młoda, ale silna.

- Potem - podjął Kevin - przyszło jeszcze dwóch żołnierzy. Tamci dwaj, którzy byli w szpitalu od początku, zobaczyli, że z lekarką nic nie wskórają, więc znowu skupili się na mnie. Jeszcze raz powalili mnie na ziemię i zaczęli kopać. Pielęgniarka krzyczała na nich, cały czas zajmując się Corrie, a ja zacząłem tracić przytomność. Bałem się, że mnie zabiją. Powiedziałem prawdę: że Corrie została postrzelona, kiedy próbowaliśmy się dostać do fretek mojego wujka, ale to ich nie przekonało. Cały byłem we krwi i czułem, że złamali mi nos. Miałem wrażenie, że oddycham krwią. Myślałem, że się nią udławię. Naprawdę się bałem, że już po mnie.

Rozejrzałam się i zobaczyłam cztery blade twarze skupione na tej opowieści. Kevin

znowu spuścił wzrok na kubek. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, jak wielkie robi na nas wrażenie.

- No więc przyszli jeszcze dwaj żołnierze. Ledwie kontaktowałem, ale sanitariusz wszystko mi później opowiedział. Zachował się jak mięczak i kiedy się nade mną pastwili, nie kiwnął palcem, żeby mi pomóc, ale nie jest złym człowiekiem. No więc ci dwaj żołnierze przyszli i jeden z nich był ranny. Kazali tej lekarce zostawić Corrie i zająć się nim. Zwichnął kostkę. Jak myślicie, kiedy to się stało? Gdy ścigał dwoje ludzi w lesie obok farmy mojego wujka! Jezu, mówię wam. Nie mogli się zjawić w lepszym momencie. Uratowali mi życie. Lekarka zawołała dwóch wartowników, którzy dawali mi wycisk, i kazała tamtym powtórzyć całą historię. Kiedy powiedzieli, że oddali kilka strzałów do jakichś postaci w zaroślach, żołnierze zrozumieli, jaki ze mnie uczciwy, porządny chłopak. I tak uznali, że zrobiliśmy coś złego, ale nie dopuściliśmy się sabotażu, a to było dla nich najważniejsze. Byliśmy tylko zwyczajnie niegrzeczni, a nie doskonale wyszkoleni i zawodowo niegrzeczni. „Niegrzeczny” to jedno z ich ulubionych słów. „Niegrzeczny chłopak” i „zły chłopak”. Zawsze mnie tak nazywali. Ale coś wam powiem: jeśli kiedykolwiek nas złapią, nie przyznawajcie się do żadnej z rzeczy, które zrobiliście: ani do mostu, ani do wysadzenia kosiarki, ani do wywiezienia Lee z Wirrawee. Nadal nie mogą tego przeboleć.

- A wysadzenia w powietrze Turner Street? - zapytał Homer z odrobiną przechwałki w głosie.

Kevin się wyprostował. Strasznie się ucieszył.

- To wy? To naprawdę wy? Niewiarygodne! Niektórzy mówili, że to wy, ale nie mogłem uwierzyć. Musieliście zużyć z tonę trotylu! Jak wam się to udało? Boże, ale wtedy huknęło! Myślałem, że ktoś zrzucił na Wirrawee bombę jądrową. Kurczę, mówię wam, jeśli kiedykolwiek was za to przyskrzynią, będzie po was.

- Wielkie dzięki.

Reakcja Kevina wzbudziła w nas jednak dumę i radość. Fajnie było trochę się poprzehwalać. Na tym właśnie polegała jedna z największych wad naszej izolacji: czuliśmy, że nikt nie docenia, a nawet nie zauważa stoczonych przez nas bitew i ryzyka, które podejmowaliśmy - ryzyka, na myśl o którym zawsze robiło mi się słabo. Widząc radość Kevina, poczuliśmy się - przynajmniej na kilka minut - jakbyśmy byli Legią Cudzoziemską, zielonymi beretami i szczurami Tobruku w jednym.

- Cholera, jak wam się to udało?

Wyjaśnialiśmy mu przez dziesięć minut, poprawiając się nawzajem i czasami sobie przecząc. Jako bohaterowie czuliśmy się cudownie. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo

musieliśmy dokończyć i powiedzieć mu o śmierci Chrisa. To dość szybko nas otrzeźwiło. Kevin nie wydawał się jednak aż tak wstrząśnięty. Chyba zaczynał się uodparniać na śmierć.

- Dobra - powiedziałam w końcu. - Opowiedz nam, co się stało po wyjściu ze szpitala, a wtedy my opowiemy ci resztę.

- Okej. Na czym to ja skończyłem? Na tym, jak prawie pobili mnie na śmierć? Dobra. Więc w końcu wspaniałomyślnie pozwolili Corrie zostać w szpitalu, ale musiała pojechać na oddział dla jeńców, gdzie raczej nie ma najwspanialszej opieki na świecie. Tam ją widzieliście. Pani Slater powiedziała, że byliście w szpitalu i miała okazję z wami pogadać.

- Tak, to prawda.

- Ja po raz ostatni widziałem Corrie tamtej nocy, kiedy zawiozłem ją do miasta. Nie pozwolili mi zostać. Wrzucili mnie do bagażnika kombi i zawieźli na teren wystawowy. Czułem się jak krwawa miazga. I tak też wyglądałem. Potem nastąpiło wielkie spotkanie z rodziną, z którego niewiele pamiętam. Zaopiekowali się mną i w końcu wyzdrowiałem. Trwało to ze trzy tygodnie. Ale nie było łatwo. Chyba byłem w rozsypce i przez jakiś czas do niczego się nie nadawałem. Na terenie wystawowym działo się coraz gorzej. Ludzie żyli w wielkim stresie. Na początku warunki prawdopodobnie nie były najgorsze, ale taka sytuacja nie trwała długo. Chyba nikt nigdy nie planował, że teren wystawowy będzie długoterminowym centrum mieszkaniowym dla tysiąca osób. Większość tamtejszych budynków jest z blachy, więc strasznie się nagrzewa. Za to z jedzeniem przeważnie było całkiem dobrze. Jezus, w regionie Wirrawee jest tyle żarcia, że można by wykarmić miliony. Tyle że te dupki szybko się rozleniwiły: przestały zawracać sobie głowę serwowaniem nam posiłków z trzech dań. Zresztą to chyba całkiem zrozumiałe. Ale tak naprawdę problem nie tkwił w jedzeniu.

- A w czym?

Kevin zastanowił się, próbując dojść do tego, co tak naprawdę wywołało wzrost napięcia.

- W zasadzie w mieszance wszystkiego po trochu - powiedział powoli. - Tłok był okropny. Brak pryszniców. Zwłaszcza w najgorętsze dni. I te wszystkie maty próbujące dyrygować innymi. Znacie pana Rodda, pana Nelsona i Troya Southa? I panią Olsen? Jezus, doprowadzali mnie do szału. Chyba wszyscy żyli w dużym stresie i dlatego tak często wybuchały kłótnie. Tylko że niektórzy w ogóle się nie starali. Miałem wrażenie, że ten przeklęty pan Rodd ciągle za mną łązi i próbuje mnie sprowokować. Chyba traktował to jak rozrywkę. Rozumiem, dlaczego zostawiły go dwie żony.

Kevin znowu zamilkł i zamyślił się. Czekaliśmy w ciszy, nie chcąc mu przeszkadzać.

- Nie, jednak chodziło o coś innego - powiedział w końcu. - Najgorsza była nuda. Mijał dzień za dniem i nie było nic do roboty. Absolutnie, totalnie nic. Ludzie próbowali coś organizować, ale chyba żaden z ich pomysłów do mnie nie przemawiał. Uruchomili na przykład zajęcia szkolne, które były dobre dla dzieci, ale dla ludzi w naszym wieku... No wiecie, szkoła jakoś nas nie zainteresowała. Potem kilka osób zorganizowało zajęcia dla dorosłych z kilku przedmiotów. Był kurs oceny bydła, lektorat z chińskiego i indonezyjskiego. Stary doktor Robbo prowadził kurs pierwszej pomocy. Był całkiem niezły. Ale tak naprawdę - dodał Kevin, opierając się plecami o ścianę i zakładając ręce za głowę - przez cały czas spędzony na terenie wystawowym nauczyłem się tylko jednej ciekawej rzeczy.

- To znaczy?

- Konstruowania bomb.

## 8

- Bomb? - nieśmiało zapytał Homer. - Powiedziałeś: bomb?

- Mhmm. Pomyślałem, że to może was zainteresować.

- Bomb. - Homer obracał to słowo w ustach, jakby je próbował, jakby chciał poznać jego smak. - Dużo się dowiedziałeś?

- Całkiem sporo. Uczył nas Jock Hubbard. Zdobył kiedyś licencję górnika strzałowego. Uznał, że taka wiedza może mu się kiedyś przydać. Zbudował atrapy i na nich ćwiczyliśmy. Oczywiście lepiej byłoby trenować na prawdziwym sprzęcie, ale żołnierze jakoś nie bardzo chcieli nam go pożyczyć.

- Dobra - powiedział Homer. - Wiem, że można skonstruować bombę z nawozu i ropy, bo pamiętam, jak tata wysadzał w ten sposób pniaki drzew. Problem w tym, że nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go zapytać, jak to się dokładnie robi. Teraz często tego żałuję.

- To proste. Azotan amonu. Inaczej saletra. Dla nas, w naszej sytuacji, to będzie chyba najłatwiejsze rozwiązanie.

Kevin przeszedł nagle przeobrażenie. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się tak zachowywał. To ciekawe, jak bycie ekspertem potrafi człowieka odmienić.

- W budynkach gospodarczych znaleźlibyśmy pewnie mnóstwo innych rzeczy, na przykład proch i dynamit. Tylko że żołnierze mogli je już zabrać. Tak, najlepsze będzie ANFO.

- ANFO?

- Tak, ANFO. Saletra nasączona płynnym paliwem. Właśnie o tym mówił Homer. Dla nas to idealna opcja, bo na większości farm można znaleźć całe góry saletry, którą wykorzystuje się jako nawóz. Z saletry uwalnia się tlen, więc to jest jeszcze lepsze niż benzyna, bo im więcej tlenu, tym większe bum.

- I niczego więcej nie potrzebujemy? Wystarczy saletra i olej napędowy? - zapytał Homer.

- To nie musi być olej. Nada się każde paliwo. Nawet węgiel drzewny.

- Ale niczego więcej nam nie potrzeba?

- Oczywiście musimy jeszcze zdobyć detonator. Ale na farmach znajdziemy ich pewnie mnóstwo. Jock pracował dla Imperial Chemical Industries i powiedział, że w samym

Wirrawee sprzedawali ich ponad tysiąc miesięcznie. Mogę skonstruować małą bombę z ANFO z detonatorem, a jeśli uda nam się ją zakopać w górze luźnego ANFO w zamkniętej przestrzeni, wybuch będzie większy niż w katastrofie w Texas City.

- Co się wydarzyło w Texas City? - zapytała Fi.

- Eksplozja zniszczyła cały port i zginęło czterysta osób. W porcie stał statek załadowany saletrą, a ładownię spryskano woskiem ziemnym, czyli paliwem. Potem ktoś wyrzucił niedopałek i ładunek zajął się ogniem. Robotnicy zamknęli ładownię, myśląc, że to odetnie dopływ tlenu, ale nie zdawali sobie sprawy, że z nawozu uwalnia się tlen. W zamkniętej przestrzeni wytworzyło się tak wielkie ciśnienie, że wybuch praktycznie zmiotł z powierzchni ziemi całe miasto. W Oklahomie też wybuchło ANFO. Pół tony rozłupało dziewięciopiętrowy budynek.

Słuchaliśmy w skupieniu.

- Dobra - powiedział w końcu Homer. - Jak już wspominaliśmy, kierujemy się w stronę Zatoki Szewca. Nie wiemy jeszcze, co tam zrobimy. Może nie będziemy mieli okazji nic zdziałać. Ale to chyba najważniejszy cel, jaki kiedykolwiek znajdziemy. Jedno jest pewne: nie ma co liczyć, że będą tam na nas czekały tankowce z benzyną. Jeśli skonstruujemy własną bombę, będzie o jeden problem mniej. Potem wystarczy ją tam umieścić i zdetonować.

- Boże - powiedziała Fi. - Czy ja wiem? Pamiętajcie, że nie jesteśmy zawodowymi żołnierzami. Chyba nie powinniśmy się rzucać na głęboką wodę. To najbardziej przerażająca rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadziliśmy.

- Możliwe, że nic z tego nie wyjdzie - uspokoił ją Homer.

Fi wydawała się zmieszana.

- Tak dobrze nam szło, kiedy trzymaliśmy się Wirrawee i robiliśmy, co w naszej mocy. Nie możemy załatwić wszystkiego. To brzmi zbyt poważnie.

- Nie jestem pewna, czy to w ogóle ma jakiś sens - włączyłam się. - Wojna wygląda beznadziejnie. Chyba bez względu na to, co zrobimy, nie uda nam się niczego zmienić.

- Tak, jesteśmy na straconej pozycji - powiedział Lee.

Brak woli walki był zupełnie nie w jego stylu, ale Lee znowu miał doła. Prędzej czy później musiało się na nim odbić to, co zrobiliśmy tamtemu żołnierzowi przy studni, i chyba właśnie nadeszła ta chwila. Poza tym nadal był potwornie zmęczony po kilku dniach opiekania się nami.

- Pamiętam, że niedawno mówiliście coś podobnego - zauważył Kevin. - Moim zdaniem wcale nie jest aż tak źle.

To zabrzmiało ciekawie.

- Wiesz coś, o czym my nie wiemy? - zapytałam.

- Jak zwykle są dobre i złe wiadomości. Ale ta dobra jest ważniejsza. Wojna jeszcze się nie skończyła i raczej nieprędko to nastąpi.

- Mów dalej - skwapliwie podchwycił Homer.

Wszyscy byliśmy coraz bardziej przejęci. Potrzebowaliśmy takich słów.

- Nie słuchacie już radia? - zapytał Kevin. - Co się stało z tranzystorem Corrie?

- Wyczerpały się baterie. Zostawiliśmy go w Piekło. Zresztą i tak rzadko mówili o wojnie, a to, co mówili, nie brzmiało najlepiej. Potem wszędzie zaczęli się zjawiać osadnicy. Nie zauważyliśmy żadnego ruchu oporu. Oprócz własnego.

- Wygląda na to, że sporo się dzieje. Na terenie wystawowym było ukryte radio, o którym nie wiedzieli nawet niektórzy jeńcy. Ale słuchał go mój tato, a potem przekazywał mi wiadomości. Bo nadają nie tylko stacje zagraniczne. Powstało też sporo partyzanckich rozgłośni, a oprócz nich są jeszcze te z wolnych stref.

- Co to są wolne strefy?

Kevin wydawał się zaskoczony.

- Jezus, naprawdę mało wiecie. Jest kilka wolnych stref.

- W buszu?

- Nie, niezupełnie. Busz też jest kontrolowany przez wroga, bo na takiej pustej przestrzeni łatwo wszystkich wyłapać. Używają tam radarów i samolotów. Nie, najważniejsze wolne strefy to przylądek Martindale, na którym wylądowały wojska Nowej Gwinei, i tereny od Newburn aż do gór, gdzie stacjonuje mnóstwo oddziałów. A do tego Newington i całe Burdekin, gdzie wylądowali Nowozelandczycy. Opanowali już tamten obszar.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której przyswajaliśmy sobie te informacje.

- Masz jeszcze jakieś pozytywne wiadomości? - zapytałam.

- Na przykład atak w Zatoce Szewca. Słyszeliście o nim?

- Opowiedz - poprosiłam uradowana. - Coś niecoś widzieliśmy. To znaczy Robyn i Lee słyszeli, a ja widziałam dym.

- Dobra, no więc dość mocno ją zbombardowali. W radiu mówili, że zatopiono siedem statków, ale do szpitala w Wirrawee trafili ranni jeńcy, którzy tam pracowali, i powiedzieli, że tak naprawdę zatopiono trzy. Tak czy siak, to całkiem spory sukces.

- Który może nam utrudnić zadanie - zauważyła Robyn.

- Racja. Na terenie wystawowym krążyły pogłoski, że w porcie instalują więcej wyrzutni rakiet ziemia-powietrze, ale to może działać na naszą korzyść. Nie będą się



spodziewali ataku z lądu.

- Czyli nadal korzystają z portu? - zapytała Fi.

- Najwidoczniej tak. To ważny element ich operacji.

- Na razie nie musimy się niczym przejmować - uspokoił nas Homer. - Niczego jeszcze nie postanowiliśmy. Jeśli po dotarciu do zatoki dojdziemy do wniosku, że to nas przerasta, najwyczejniej po cichu się wycofamy.

- Ładnie to brzmi w teorii - odparłam. - Ale znając ciebie, Homer... Na każdej imprezie urodzinowej to właśnie ty chodziłeś ze szpilką i przekłuwałeś balony. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że po cichutku się wycofujesz i nie próbujesz niczego wysadzić w powietrze.

- Powiedz nam coś więcej o naszych rodzinach - poprosiła szybko Robyn, zanim Homer zdążył się za bardzo nakręcić.

Kevin westchnął.

- No wiecie - powiedział. - Jak już wspomniałem, nie jest z nimi najgorzej. Szczerze, Ellie, skoro mowa o przekłuwaniu balonów, twój tata też nie potrafi usiedzieć spokojnie. Na widok wartownika od razu szykuje się do bójki. O co mu właściwie chodzi? Wpakuje się w kłopoty.

- Nie wiem, o co mu chodzi - powiedziałam. - Jeśli go kiedyś rozpracujesz, daj mi znać. Dla mnie mój ojciec jest tajemnicą.

- Twój brat też daje im się we znaki - zwrócił się Kevin do Homera.

- Tak, stary poczciwy George nie ma poczucia humoru.

- Jak się czuje Tori? - zapytała Fi.

Victoria, młodsza siostra Fi, cierpi na paskudną astmę.

Kevin się skrzywił.

- No wiesz, zabrakło ventolinu, więc miała kilka poważnych ataków. Twoi rodzice zdobyli pozwolenie na przeniesienie jej i dwóch innych osób do biura sekretarza festynu, bo okazało się, że wszystkie trzy mają alergię na coś, co znajduje się w pawilonach bydłych i w stajniach.

- Mhmm, końska sierść, słoma i nasiona trawy - powiedziała Fi. - Tori jest na wszystko uczulona.

- Od tamtej pory jej się poprawiło - powiedział Kevin. - Ale na terenie wystawowym wszyscy zaczynają chorować. To okropne. Nawet nie macie pojęcia. Co drugi dzień ludzie dostają nieżyty żołądka. Atakuje ich jak szarańcza lucernę. Mieliśmy świnkę, mieliśmy odrę, mieliśmy wszystko. Dlatego zgłosiłem się na ochotnika do pracy w gospodarstwie.

- No właśnie, o co chodzi z tymi grupami robotników? - zapytałam.

- O co chodzi? To po prostu szansa, żeby się wyrwać z terenu wystawowego. Na początku to była w zasadzie prowizorka, ale teraz grupy są dość dobrze zorganizowane. Ich członkowie muszą mieć rodzinę, którą można wziąć jako zakładnika, żeby nie pouciekali. Trzeba mieć jakieś umiejętności i dobrą kondycję. I to w zasadzie wszystko.

- Dlaczego w okolicy Wirrawee nie widzieliśmy nikogo znajomego? Byłeś pierwszą osobą, którą rozpoznaliśmy, a pracowałeś daleko od miasta.

- Tak, robią to celowo. Jak wspominałem, są teraz dość dobrze zorganizowani. Trzymają cię z dala od twojego regionu. Względy bezpieczeństwa. To chyba dlatego, że ludzie za bardzo się przejmują na widok osadników wprowadzających się do ich domów.

Opowiedzieliśmy Kevinowi o innych rzeczach, które nas spotkały, i przekazaliśmy mu więcej szczegółów na temat śmierci Chrisa. Nie było przyjemnie przypominać sobie o sprawach, o których zaczęłam już zapominać - i o których bardzo chciałam zapomnieć. Myślę jednak, że rozmowa o Chrisie wyszła nam na dobre, bo sami w zasadzie nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Śmierć naszego przyjaciela była strasznie głupia i bezsensowna. Spowodował wypadek po pijanemu - takie rzeczy zdarzają się również w czasie pokoju i wtedy też są okropne, ale teraz, kiedy tak wiele przeszliśmy, tamten wypadek wydawał się paskudnym marnotrawstwem. Poza tym chyba wszyscy mieliśmy lekkie poczucie winy z powodu tego, że zostawiliśmy Chrisa w Piekło - mimo że sam tego chciał.

No więc trochę o tym wszystkim pogadaliśmy. Od słowa do słowa, opowiedzieliśmy Kevinowi także o Bohaterach Harveya: o tej grupie ludzi w średnim wieku, którzy łazili po lesie, próbując zgrywać twardzieli, i przez których omal nie straciliśmy życia. Oraz o tym, jak później odkryliśmy, że ich przywódca, major Harvey, sprzedał się wrogom.

Wtedy Kevin bardzo się ożywił.

- Jak wygląda ten major Harvey?

- Jak dwustulitrowa beczka - odpowiedział natychmiast Homer.

- Z głową na górze - dodał Lee.

- Jak ogrodowy gnom - wtrąciła Robyn.

- Jak ohydna mała sarta owczej kupy - dokończyła Fi.

Byłam pod wrażeniem. Przynajmniej nauczyliśmy Fi czegoś o życiu na wsi: wiedziała, jak wygląda owcza kupa.

- Ma czarne włosy - wyjaśniłam Kevinowi.

Lekko zadrżałam na wspomnienie pierwszego spotkania z majorem. Natknęliśmy się na jego grupę przypadkiem i choć znaleźliśmy się znowu wśród dorosłych, poczuliśmy ulgę, od

początku czułam, że coś jest z tą zgrają nie tak.

- Ma dość puciołowatą twarz. Duży nos. I w dziwny sposób przekrzywia głowę, jakby zdrętwiała mu szyja albo coś w tym rodzaju.

- Tak, to on - powiedział Kevin. Odchylił się do tyłu i pokiwał głową.

- Co masz na myśli? Znasz go?

- No wiesz, nie jest moim bliskim przyjacielem ani nawet kumplem. Spotkałem go raz, przed wojną. Ale ostatnio dużo o nim słyszałem i kilka razy widziałem go z daleka.

- Co? To niemożliwe - powiedziała Fi.

- Kiedy go widziałeś po raz ostatni? - szybko zapytał Homer.

- Ze trzy tygodnie temu.

- O nie! - zawołałam.

- Jesteś pewny? - zapytał Homer.

- Tak, może nawet trochę mniej niż trzy tygodnie temu. Przyszedł z grupą wysokich rangą żołnierzy, żeby zobaczyć, jak pracujemy. Musieliśmy stać z poważnymi minami i udawać, że jesteśmy pod wrażeniem.

- Myśleliśmy, że załatwiliśmy go wieki temu - wyjaśniłam. - Byliśmy przekonani, że zginął, kiedy wysadziliśmy w powietrze Turner Street. Między innymi ze względu na niego przeprowadziliśmy ten atak.

- Mhmm, ale pamiętam, jak mówiłeś, że tamtej nocy nie zauważyłeś jego samochodu - zwróciła się Fi do Homera.

- Tak, to prawda, faktycznie tak powiedziałem.

- A więc Harvey żyje - powiedziałam.

Siedziałam oszołomiona. Nie chciałam w to uwierzyć, ale nie było innego wyjścia.

- Co o nim wiesz? - zapytałam w końcu Kevina.

- To dupek. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Wszystko.

- Jezu, od czego mam zacząć? Zjawił się chyba w kwietniu. Jest z Risdon. Wiem tyle, że to nauczyciel. Był nawet zastępcą dyrektora liceum w Risdon. Pamiętam, jak graliśmy z ich drużyną w piłkę. Podszedł do mnie w przerwie i nawrzeszczał, że kryję jednego z ich zawodników. Twierdził, że przesadzam. Kurczę, myślałem, że mnie walnie. Wydał mi się wtedy strasznym palantem, a teraz już wiem, że nim jest. To był ten jeden raz, kiedy spotkałem go przed wojną. Gdy zjawił się na terenie wystawowym, zwołali nas wszystkich i Harvey wygłosił wykład o tym, że inwazja wcale nie jest taka zła, jak nam się wydaje, że nasz kraj potrzebuje silnego bodźca i że jeśli będziemy współpracować z tymi bęcwałami, zamiast

działać przeciwko nim, na dłuższą metę odniesiemy większą korzyść. Żołnierze byli zachwyceni, szczerzyli się od ucha do ucha, ale kurczę, Ellie, żałuj, że nie widziałaś miny twojego ojca! Na szczęście Harvey go nie zauważył, bo twój staruszek byłby pewnie pierwszy na jego liście. Chyba nie wiecie, co się działo później: po tej przemowie zaczęli zabierać ludzi na przesłuchania. Przez chwilę było naprawdę ciężko. Najwidoczniej Harvey sporo wie o Wirrawee. Wybierał osoby z doświadczeniem wojskowym i wszystkich gliniarzy. Niektórym pozwolił wrócić. Pewnie tym, którzy udzielili właściwych odpowiedzi. Ale inni zwyczajnie zniknęli. Dopiero kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się, że zabrano ich do jakiegoś więzienia o zastrzonym rygorze. Plotka głosi, że kilku z nich zastrzelono. A raczej rozstrzelano. Podobno Harvey chce zostać jakimś gubernatorem albo kimś w tym rodzaju, chce być małym dyktatorem. Myślę, że to prawda. Szkoda, że go nie widzieliście wśród tych wszystkich palantów. Zachowywali się jak najlepsi kumple. Nie był to piękny widok.

- Po akcji w Zatoce Szewca wrócimy, żeby go zabić - powiedział do mnie Lee.

Odpuściłam sobie i nie złościłam się już na niego, kiedy mówił takie rzeczy. Ostatnio robił to bardzo często: za każdym razem, kiedy dołowała go jakaś zła wiadomość. Nagle zaczynał gadać jak robot zaprogramowany na zabijanie, chociaż wiedziałam, że wcale taki nie jest - ani trochę.

Nie zapominajmy, że sama zareagowałam podobnie, kiedy zobaczyłam Corrie w szpitalu.

Kevin nie miał już wiele do dodania. Siedzieliśmy jeszcze z godzinę, albo i dłużej, rozmawiając o problemach i szukając możliwych rozwiązań. Wieść, że Harvey nadal jest na wolności, bardzo nas przygnębiła i ostra reakcja Lee zyskała spore poparcie. W końcu miałam dość tego gadania, więc zostawiłam ich i poszłam szykować lunch.

## 9

Zatoka Szewca wyglądała jak plan filmu wojennego. Dobra, jestem tylko prostą dziewczyną ze wsi, która nigdy w życiu nie zapuściła się dalej niż do Stratton. Nawet widok świateł na skrzyżowaniu był dla mnie wielkim przeżyciem. Zawsze kiedy byliśmy w Stratton, wykorzystywałam każdą okazję, żeby pojeździć ruchomymi schodami w górę i w dół jak jakaś sześciolatka. Dlatego lotniskowiec, tankowiec, dwie małe łodzie patrolowe i trzy kontenerowce w Zatoce Szewca wydały mi się czymś niesamowitym. Zbudowano dwa wielkie długie mola i wszystkie statki oprócz lotniskowca i łodzi patrolowych były przy nich zacumowane. Pozostałe unosiły się przy bojach na morzu. Wzdłuż wybrzeża postawiono szopy z prefabrykatów i zbudowano ogromne stanowiska załadunkowe z asfaltu. Wszędzie było widać samochody i ciężarówki oraz ludzi zmierzających w różnych kierunkach. Na obrzeżach ciągnął się prowizoryczny wysoki płot z drutu kolczastego, a obok niego czekały trzy czołgi. Były tam również inne rzeczy, takie jak wielkie lufy wystające z gór piachu. Kevin doszedł do wniosku, że to wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze, o których wcześniej słyszał.

Jedno było jednak pewne: nalot zrobił tu prawdziwe spustoszenie. Zauważyliśmy długi kadłub niedaleko skał po lewej stronie - możliwe, że należał do niszczyciela - z którego został tylko wrak obrócony do góry dnem. Lee pokazał jakiś kształt, który połyskiwał pod wodą niedaleko wyjścia z portu i wyglądał na kolejny ogromny statek, zupełnie zatopiony. Na lewo od szop z prefabrykatów było widać ruiny budynków: same pocerniałe krokwie i kilka arkuszy zdartej blachy łopoczących na wietrze. Jeszcze bardziej w lewo, w lesie, dostrzeżliśmy dwa ogromne kratery w ziemi i poprzewracane drzewa w miejscu, na które spadł chybiony pocisk. Wyglądało to jak zaczątki nowego zakładu produkcji drzazg.

Jedyna droga do nowego portu w Zatoce Szewca wiodła przez strzeżoną bramę oraz szlaban, który wartownicy z pobliskiej budki podnosili i opuszczali ręcznie. Jestem pewna, że żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej zrobiliby to wszystko lepiej, dodając ogrodzenia pod napięciem, reflektory laserowe i elektroniczne kontrole bezpieczeństwa, ale tu niczego takiego nie było. Wyglądało to tak, jakby wszystko sklecono na poczekaniu i po jak najniższych kosztach. Z pewnością nie była to technologia XXI wieku.

Mimo to efekt robił wrażenie. Napędził mi porządnego stracha. Kiedy byliśmy młodszy

i taty nie było w pobliżu, czasami strzelaliśmy dla zabawy do gniazd os. Podchodziło się na bezpieczną odległość - mając nadzieję, że rzeczywiście jest bezpieczna - a potem opróżniało się magazynek dwudziestki dwójki albo strzelało ze dwa razy ze strzelby. Czasami robiło się naprawdę gorąco. A to miejsce było większe i bardziej niebezpieczne niż którekolwiek gniazdo os i wcale mi się nie spieszyło, żeby w nim namieszać.

Czułam jednak złość. Zatoka Szewca była jednym z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Chociaż w zasadzie nie powinnam tak mówić, bo przecież nigdy nie byłam dalej niż w Stratton. „Tak, panie i panowie, biorąc pod uwagę moje bogate doświadczenia zgromadzone w trakcie podróży po całym świecie, po obejrzeniu każdego zakątka globu mogę z ręką na sercu powiedzieć, że Zatoka Szewca to jeden z siedmiu najbardziej malowniczych cudów świata”.

Mimo to było pięknie. To takie miejsce, gdzie wzgórza spotykają się z morzem, zapewniając jedno i drugie w najlepszym wydaniu. Teren prowadzący na plażę był dość dobrze osłonięty, bo aż do drogi otaczającej zatokę ciągnął się gęsty las. Po przejściu przez tę drogę wystarczyło zrobić sześć kroków i docierało się do piasku: drobnego białego piasku, który przesiewa się przez palce i łaskocze w stopy. Można było iść dalej i wejść do wody albo skręcić w prawo lub w lewo i pójść plażą aż do skał. Tak czy siak, człowiek czuł się jak w raju dzięki tajemniczemu zielonemu lasowi w tle, błękitnemu niebu nad głową i roztańczonemu niebieskiemu morzu z przodu.

Odnosiło się wrażenie, że w Zatoce Szewca zawsze jest ładna pogoda.

Wiem, że postępuję zachłannie, chcąc tej zatoki tylko dla siebie, ale nawet w czasie pokoju, kiedy jeździliśmy do Szewca na kąpiel i piknik, czułam się zawiedziona, gdy spotykaliśmy tam innych ludzi. Jestem pewna, że oni reagowali podobnie. Dlatego przyjdzie tu w czasie wojny i zobaczenie tych wszystkich paskudnych narośli oraz ogromnych, potwornych statków unoszących się na tych niewinnych wodach jak duże metalowe pijawki, wzbudziło u mnie złość i smutek. Chciałam coś z tym zrobić, ale nie miałam pojęcia jak. Przede wszystkim ta forteca wroga wydawała się znacznie wykraczać poza nasze możliwości. Statki, mola, a nawet budynki z prefabrykatów sprawiały wrażenie solidnych i trwałych, a my kim byliśmy? Zgrają zwyczajnych dzieciaków, zgrają amatorów.

- Jak na razie mam tylko jeden pomysł - powiedział nieoczekiwanie Homer.

Byłam pod wielkim wrażeniem. Podczas gdy ja siedziałam i snułam czarne, przygnębiające myśli, Homer już analizował różne możliwości.

- Jaki?

- Las jest tak blisko tych budynków, że moglibyśmy wzniecić pożar, żeby odwrócić

ich uwagę. Będą musieli skupić wszystkie siły na gaszeniu go, bo jeśli wiatr powieje w odpowiednim kierunku, ogień błyskawicznie dotrze do stóp wzgórza i na dole też wybuchnie pożar.

- Niezły pomysł - zamyśliła się Robyn. - Możliwe, że pożar będzie czymś więcej niż tylko elementem odwracającym ich uwagę. Mógłby odwalić za nas większość roboty. Z łatwością zmiotłby te budynki. Gdy przejdzie przez drogę, nic go nie powstrzyma.

- Chyba że przy okazji sami spłonimy - dodała nerwowo Fi.

- Co konkretnie chcemy zniszczyć? - zapytałam. - Bo chyba nie damy rady zaatakować tych statków, prawda?

- Nie tych, które stoją na kotwicy - powiedział Lee. - Ale te przy nabrzeżu być może tak.

- To tankowiec, Ellie - zauważył Homer. - A ty jesteś specjalistką od benzyny, prawda?

- Mhmm, uwielbiam takie zadania. Pokaż mi tylko, dokąd iść, i daj pudełko zapalek.

Mimo tych słów poczułam nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Jakoś nie potrafiłam żartować o tym, co zrobiliśmy.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy. Pomysł z pożarem lasu był fajny, ale nie widziałam innych możliwości. Ogień nie zaszkodziłby statkom, chyba że dopisałoby nam szczęście i kilka iskieł wylądowałoby na tankowcu. Pożar mógł się sprawdzić jako element odwracający uwagę, ale istniało spore ryzyko, że jednak nie zda egzaminu. Poza tym musieliśmy opracować jakąś drogę ucieczki. To było najważniejsze i prawdopodobnie najtrudniejsze.

- Czy Jock uczył was o bombach podwodnych? - zwrócił się Homer do Kevina. - Na przykład o ładunkach głębinowych?

- Nie. Hej, to nie był kurs uniwersytecki, tylko kilka szybkich lekcji.

Usłyszałam warkot i podniosłam głowę. Ze wzgórza zjeżdżał konwój. Z przodu jechały dwie zielone ciężarówki wojskowe, ale za nimi ciągnęła się zbieranina samochodów do przeprowadzek, wywrotek, ciężarówek z naczepą i cystern. Wiele z nich miało wymalowane nazwy miejscowych firm, a nawet dużych ogólnokrajowych przedsiębiorstw. Na końcu jechała trzecia wojskowa ciężarówka.

Z zaciekawieniem obserwowaliśmy procedurę przejeżdżania przez bramę. Pojazdy zatrzymały się przed nią, a z najbliższej chatki wyszła grupka ośmiu żołnierzy i truchtem popędziła wzdłuż konwoju. Zaglądali do każdej ciężarówki, w której mogli jechać ukryci ludzie, ignorując jedynie wywrotki i cysterny. Nie była to zbyt rygorystyczna kontrola, ale wcale nas to nie pocieszyło, bo i tak nie mieliśmy pojęcia, jak moglibyśmy się dostać do

ciężarówki. Żołnierze nie musieli uważnie szukać, skoro wiedzieli, że konwój nigdzie się nie zatrzymywał.

Kiedy zapadł zmierzch, wycofaliśmy się. Wróciliśmy w góry, żeby znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Ta pierwsza noc ustaliła harmonogram, którego trzymaliśmy się przez sześć następnych dni. Dla bezpieczeństwa co noc obozowaliśmy w innym miejscu i zawsze wystawialiśmy wartownika, ale za dnia weszliśmy w Zatoce Szewca i omawialiśmy taktykę. Muszę jednak przyznać, że najważniejszy powód, dla którego zostaliśmy - sekretny powód - nie miał nic wspólnego z przypuszczeniem ataku na wroga. Zostaliśmy dlatego, że Lee, nie mówiąc nikomu ani słowa, włamał się do domku letniskowego i przyniósł sprzęt do wędkowania.

Od razu podłapaliśmy klimat. Mała kolekcja żyłek, haczyków i spławików zapewniła nam najlepsze chwile od początku inwazji. Jakbyśmy spędzali wakacje na plaży. Ledwie mogliśmy się doczekać wieczoru, żeby móc wyruszyć na ryby. Zarzucaliśmy wędki u ujścia rzeki i szybko znaleźliśmy miejsce, które było zarówno ładne, jak i niezawodne - a w dodatku bezpieczne. Ryby praktycznie natychmiast rzucały się na haczyki. Za przynętę służyły nam robaki, larwy i żuki, które zbieraliśmy w ciągu dnia. Dzięki nim łapaliśmy tołpygi, dorady, barweny oraz kilka innych gatunków, których nie znaleźliśmy. Nikt nie łowił tu ryb od wielu miesięcy, więc szło nam jak po maśle.

Samo wędkowanie było dobrą zabawą, lecz najważniejsze okazało się to, że nagle znowu mieliśmy mnóstwo jedzenia i przerwaliśmy monotonię, która tak długo nam towarzyszyła. Zostało nam strasznie mało zapasów. Wszyscy jedliśmy znacznie mniej niż zwykle, więc byliśmy ładni i szczupli - nie licząc Robyn, która była zbyt szczupła. Na szczęście teraz zaczęła znowu przybierać na wadze. Około drugiej, trzeciej w nocy rozpaliliśmy małe ognisko i albo od razu piekliśmy złowione ryby, albo z cieknącą ślinką czekaliśmy, aż płomienie spalą drewno, żebyśmy mogli upiec ryby w popiele. Po miesiącach braku świeżego mięsa nie mogliśmy się nimi nasycić. Nigdy nie mieliśmy dość. Nie zapomnę tamtych soczystych białych świeżych ryb, filetów odchodzących od ości i gorącego, wilgotnego smaku, który dawał mi nową siłę i energię.

Jeśli to prawda, że jesteś tym, co jesz, to po kilku dniach takiej diety mogłam spokojnie zamieszkać w Pacyfiku.

Zawsze piekliśmy na zapas, żeby w ciągu dnia móc coś przekąsić na zimno.

Spędziliśmy tak cztery dni, zanim w końcu znaleźliśmy lukę w zabezpieczeniach w Zatoce Szewca. Homer ciągle powtarzał, że luka musi gdzieś być, że trzeba tylko cierpliwości. Miał rację, mimo że odkryliśmy tę lukę przypadkiem. Szukaliśmy nowego



miejsca na wędkowanie i mniej więcej o dziesiątej wieczorem przeszliśmy przez drogę w stronę zatoki. Robyn ruszyła przodem, żeby sprawdzić, czy teren jest czysty. Zamiast nas zawołać, tak jak się spodziewaliśmy, wróciła na paluszkach i wyglądała na zaniepokojoną.

- Na zakręcie stoi ciężarówka - syknęła.

- I co?

- Nic. Ma zgaszone światła. Po prostu tam stoi.

Podkradliśmy się, żeby spojrzeć. Nietrudno było ją zauważyć: kształt odznaczał się w świetle księżyca. Wyglądała na jakiś van, mniej więcej czterotonowy. Byliśmy świadkami okropnej masakry, kiedy Bohaterowie Harveya dali się nabrać i zaatakowali rzekomo porzucony czołg, więc nie zamierzaliśmy podbiec do pojazdu, żeby mu się przyjrzeć. Zostawiliśmy go tam, gdzie był, i poszliśmy nad następną rzekę, żeby powędkować.

O świcie ja i Homer podkradliśmy się z powrotem. Ciężarówka nadal tam stała, zimna i samotna. Postanowiliśmy chwilę zaczekać i zobaczyć, co się stanie. Tak jak się spodziewaliśmy, o dziewiątej trzydzieści rozległ się zgrzyt skrzyni biegów i zaczął nadjeżdżać następny pojazd, mozoląc się pod górę. Kiedy nas mijał, ukryliśmy się w zaroślach. Był to samochód pomocy drogowej wiozący z tyłu dwóch żołnierzy, którzy uważnie się rozglądali. Zmieniliśmy pozycję, żeby lepiej widzieć. Samochód pomocy drogowej podjechał do vana i zaczął zawracać na trzy, co na wąskiej drodze zmieniło się w zawracanie na sześć.

Kiedy samochód ustawił się przed vanem, wszyscy wysiedli: dwaj żołnierze z tyłu i dwóch mężczyzn z kabiny ubranych w poplamione smarem kombinezony, niosących małe torby. Wyglądali jak typowi mechanicy: moim zdaniem ci fachowcy zawdzięczają swój charakterystyczny wygląd niedbałej postawie. Żołnierze trochę się pokręcili: przeszli wzdłuż jednej strony drogi, a potem wzdłuż drugiej, a mechanicy zaczęli oglądać silnik vana.

Najciekawsze było jednak to, że nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć na pakę.

Pół godziny później, po tym jak mechanicy wielokrotnie, lecz bezskutecznie, próbowali odpalić vana, wciągnęli go na lawetę. Żołnierz usiadł na miejscu kierowcy i odjechali.

Przez cały czas nikt nie zajrzał na pakę.

Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wrócimy do Fi i Kevina obserwujących bazę i dowiemy się, co zaszło, kiedy laweta dotarła do Zatoki Szewca.

# 10

- Tak, po prostu wjechali do bazy - powiedział Kevin.

- Jesteś pewny? - zapytałam.

- Nie, przysnąłem. A jak myślisz, do cholery? - Kevin stracił cierpliwość, co dość często mu się ostatnio zdarzało.

Powtarzałam sobie, że wiele przeszedł. My też, ale być może jego doświadczenia były gorsze niż nasze. Albo może nie umiał sobie z nimi radzić tak dobrze jak my. To żaden wstyd, każdy jest inny. Trudno mi było jednak pojąć, że ktoś mógłby sobie radzić gorzej niż ja, bo moim zdaniem szło mi raczej kiepsko.

- Od razu wjechali do środka - cicho potwierdziła Fi. - Podjechali do szlabanu, machnęli do wartownika, a on go podniósł. Zawieźli vana do tej dużej szopy po prawej. Do tej, przed którą stoją cysterny czy jak im tam. To chyba warsztat samochodowy, a w szopie obok jest generator prądu.

- Więc w ten sposób moglibyśmy się dostać do środka - powiedział z namysłem Homer.

- Nie możemy czekać pół roku, aż łaskawie zepsuje się jakaś ciężarówka - powiedział Lee.

- Ale sami moglibyśmy którąś zepsuć - powiedziała Robyn. - Prawda?

- Jak?

Troje z nas zadało to pytanie chórem i nikt nie znał odpowiedzi. Brak powietrza w oponie raczej by nie wystarczył, a trudno było wymyślić coś innego. Mimo to chyba zrobiliśmy jakiś postęp.

Zabrałam Kevina i poszliśmy poszukać materiałów wybuchowych. Możliwe, że tym razem czekało nas konstruowanie bomby, a zdaniem Jocka w szopach i budynkach gospodarczych można było znaleźć mnóstwo potrzebnych składników. Miałam nadzieję, że się nie pomylił, ale jednocześnie liczyłam na to, że był w błędzie. Gdyby się pomylił, zyskalibyśmy pretekst, aby odwołać tę szaloną akcję. Wszystko bardzo szybko przeradzało się w ogromne przedsięwzięcie. Prawdziwi bohaterowie na pewno nie myślą: „Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć dobrą wymówkę, żeby się z tego wykręcić”. Chciałam być bohaterką, ale jakoś mi nie wychodziło.

Wyruszyliśmy do innej części okręgu. Nie było tam jeszcze zbyt wielu osadników i nadal widywało się puste domy. Zajęto tylko najlepsze. Łatwo było poznać które i ominąć je szerokim łukiem. Na szczęście przed wojną intensywnie oczyszczano tu tereny pod uprawę i było widać, że często wysadzano coś w powietrze. Mieszkańcy wsi uwielbiają się bawić materiałami wybuchowymi i każdy duży uparty pniak jest dla nich dobrą okazją. To zadziwiające, że nie widuje się tysięcy rolników bez połowy palców i nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wysadził się w powietrze. Kiedy byłam młodsza, tata kilka razy próbował używać dynamitu, ale mama go przekonała, żeby dał sobie spokój. Żałowałam, że nie nauczył mnie, jak to się robi, ale po chwili przypomniałam sobie, że mam szukać wymówek, więc ostatecznie się ucieszyłam.

Wiodło nam się raz lepiej, raz gorzej. W pierwszym gospodarstwie nie znaleźliśmy niczego, w drugim było dwanaście worków saletry - prawie pół tony - i dwie dwustulitrowe beczki oleju napędowego. Postanowiliśmy je tam zostawić i sprawdzić pozostałe gospodarstwa. Trzecie było już dokładnie wyczyszczone. Czwarte okazało się wielkie, ale stare i zapuszczone. Ruszyliśmy prosto do szop, jak zawsze. Ku mojemu obrzydzeniu trafiliśmy na miniaturowe pole bitwy. W warsztacie leżały trzy szkielety w ubraniach poszarpanych przez kule. Z ciał zostało niewiele - głównie kości.

Najwidoczniej doszło tu do strzelaniny na dużą skalę. Zobaczyliśmy na ziemi mnóstwo pustych łusek, a w całej ciemnej szopie panował bałagan: dziury w ścianach, półki poszarpane przez pociski. Nawet na stalowych częściach starego traktora i na zbiorniku opadowym widać było ślady po kulach. Skala zniszczeń była przerażająca. Jedna z osób schowała się za zbiornikiem, druga za ciężką drewnianą ławą, ale trzecie ciało leżało na środku.

Trochę płakałam. Ostatnio coraz częściej mi się to zdarzało. Na szczęście Kevin ma pewną ważną zaletę: kiedy dziewczynie jest smutno, naprawdę smutno, on zachowuje się idealnie. Oczywiście też był wstrząśnięty widokiem ciał, ale gdy zobaczył mnie we łzach, wziął się w garść, by okazać mi odrobinę miłości i wsparcia. Myślę, że całkiem nieźle dbaliśmy o siebie nawzajem, nawet w najgorszych chwilach.

- Już dobrze, Ellie - powiedział, przytulając mnie. - Widziałaś gorsze rzeczy. Nic ci nie będzie.

- Tak, wiem - odpowiedziałam, pociągając nosem. - Ale do tego nie można się przyzwyczaić. Ci biedni ludzie próbowali tylko zatroszczyć się o swoją ziemię.

- Tak, paskudna sprawa.

- I nikt ich nie pochował, nie urządził im pogrzebu ani nic.

- Może kiedy ta wojna się skończy, sam się tym zajmę.

Nie odezwałam się, tylko jeszcze parę razy pociągnęłam nosem. Wreszcie odsunęłam się i powiedziałam:

- Chodźmy stąd. Nie możemy nic zrobić, a od tego widoku przechodzą mnie ciarki.

- Nie, zaczekaj - poprosił Kevin. - W takim miejscu na pewno znajdziemy to, czego nam potrzeba. Rozejrzyjmy się.

Opierałam się, ale on nalegał. Czasami Kevin miewa takie przyływy siły. Szybko przeszukaliśmy warsztat, ale nic w nim nie znaleźliśmy i z pewną ulgą poszliśmy do innych budynków. Minęliśmy betonowe wybiegi, które zbudowano dość niedawno dla psów. Zignorowaliśmy szkielety biednych, zrozpaczonych zwierząt, które tam zdechły, i pięćdziesiąt metrów dalej weszliśmy do starej, ciemnej chaty. Tam znaleźliśmy to, czego szukał Kevin.

- Kurczę - powiedział - popatrz na to!

Trzymał drewniane pudełko wielkości opakowania naboju do śrutówki i małą lśniąca rurkę z aluminium, która miała ze trzy centymetry długości i pięć lub sześć milimetrów średnicy. Z jednej strony była zatkana, ale z drugiej pusta w środku.

- Co to? - zapytałam.

- Detonator. Mówiłem, że coś tu znajdziemy. Patrz, jest ich dwanaście.

Sięgnęłam po jeden i ostrożnie zważyłam go w dłoni. Z boku widniał napis: „NIEBEZPIECZEŃSTWO: ŁADUNEK WYBUCHOWY”, ale przedmiot wydawał się dość nieszkodliwy.

- Niczego więcej nie potrzebujemy? - zapytałam.

- Oczywiście przyda się jeszcze saletra i olej napędowy. Ale to żaden problem. Poza tym jeszcze lont.

- Lont mogliśmy zrobić sami.

- Tak ci się tylko wydaje. W każdym razie na pewno go tu mają. Wszystko powinno być przechowywane w osobnych budynkach, ale większość rolników nie zwraca sobie tym głowy. Na pewno jest tu gdzieś zapasowy lont, który będzie lepszy niż to, co udałoby nam się zrobić. Patrz, oto on.

Wyjął szpulę szaro-białego sznurka, mniej więcej grubości tego w moich kąpielówkach, tyle że z czymś jakby smolistym biegnącym wzdłuż.

- To to?

- Tak, tak mi się wydaje. Coś w rodzaju wodoodpornej osłonki z prochem w środku. Wsuniemy lont do detonatora, a potem znajdziemy kawałek przewodu, żeby zrobić

miniaturową bombę. Na pewno trzymają coś takiego w warsztacie. Będzie potrzebna jeszcze piła do metalu, żeby go przyciąć.

Na moje oko, opuszczając farmę śmierci, mieliśmy wystarczająco materiału, żeby pomścić ludzi, którzy tam zginęli. Znaleźliśmy nie tylko przewód, detonatory i lont, lecz także sześć worków saletry. Łącznie mieliśmy trzy czwarte tony. Kevin twierdził, że gdybyśmy znaleźli sposób na wysadzenie tego w powietrze w Zatoce Szewca, moglibyśmy wywołać falę tsunami.

Mnie jednak nadal przypominało to sen. Nie wyobrażałam sobie, jak moglibyśmy coś takiego zrobić. Mimo wszystko pokrzepieni tym, co zobaczyliśmy - w pewnym chorym sensie nawet ciałami zabitych - wracaliśmy do pozostałych i snuliśmy śmiałe plany.

- Słuchaj - powiedziałam w końcu - a gdyby tak wjechać ciężarówką załadowaną tymi materiałami na molo i tam wysadzić ją w powietrze? Co ty na to?

- Sam nie wiem. Pewnie byłoby wielkie bum, spowodowałybyśmy spore zniszczenia na cumujących niedaleko statkach i rozwalilibyśmy molo. Ale gdyby się udało wjechać ciężarówką na pokład statku, a potem zjechać do ładowni, czyli do zamkniętej przestrzeni, rozbilibyśmy ten statek w drobny mak.

- Serio? Cały statek?

- Tak! A co myślałaś? Nie masz pojęcia, co działo się w Texas City: ten jeden statek rozwalił cały port, miasteczko i chyba wszystkie inne statki, które tam cumowały. Wiesz, to coś więcej niż pierdnięcie w wannie.

- Powoli zaczyna to do mnie docierać.

Plan nabierał kształtów, ale nadal miał kilka ważnych luk. Streściłam Kevinowi to, co dotychczas ustaliliśmy:

- Dobra, psuje się ciężarówka. Stoi opuszczona całą noc, a w tym czasie my ładujemy na nią trzy czwarte tony ANFO. Jedno albo dwoje z nas chowa się na pace. Z tym nie powinno być problemu, bo jeśli ciężarówka będzie wystarczająco duża, nie zauważą dodatkowego obciążenia. Zresztą mechanicy prawdopodobnie nie będą wiedzieli, czy ciężarówka ma być pusta, czy załadowana. Holują ją do portu. W lesie wybucha pożar. Na szczęście ostatnio znowu zrobiło się sucho. Ogień stacza się ze wzgórza i odwraca ich uwagę. Wjeżdżamy ciężarówką na statek, podpalamy lont i wynosimy się stamtąd. Bum! Koniec historii, stajemy się legendą, a po wojnie natychmiast sprzedajemy prawa do ekranizacji.

Kevin milczał. Może w jego uszach też ciągle brzmiało to jak sen.

- Widzisz jakieś wady tego planu? - zapytałam.

Roześmiał się.

- Tylko kilka. Jak sprawimy, żeby ciężarówka się zepsuła? Jak wjedziemy nią na statek? Jak później uciekniemy? To tyle na początek.

- Chyba przynajmniej z ucieczką nie będzie problemu. Ja i Homer dobrze pływamy. Jeśli pojedziemy ciężarówką, będziemy mogli wskoczyć do zatoki i przepłynąć na drugą stronę.

Kevin trochę się rozchmurzył. Oczywiście wiedziałam dlaczego: po raz pierwszy zobaczył promyk nadziei - nadziei, że to nie on będzie musiał odwalić najbardziej niebezpieczną robotę. Żałowałam, że nie mogę liczyć na to samo, ale nie umiałam nie myśleć logicznie. Pływanie było naszą największą szansą, a tylko dwoje z nas pływało na długie dystanse.

Gdy dołączyliśmy do reszty, okazało się - ku mojemu cichemu przerażeniu - że chyba znaleźliśmy rozwiązanie drugiego problemu. W ciągu dnia do portu przyjechały dwa konwoje ciężarówek i przywiezione przez nie kontenery trafiły prosto do ładowni dużego statku towarowego, który przyplłynął rano. Teraz stał przycumowany do mola, tuż obok tankowca.

- Na pewno przyjadą następne konwoje - ucieszył się Homer. - Statek połknął te dwa jak słoń fistaszki. A obok niego stoi tankowiec. Oj, Ellie, czy na ten widok nie cieknie ci ślinka?

- Cieknie mi - odpowiedziałam gruboskórnie. - Tyle że nie ślinka.

- Ale co zrobić, żeby zepsuła się któraś z ciężarówek? - martwił się głośno Lee.

Chodził w kółko między drzewami. Siedzieliśmy ukryci w dość gęstym lesie, skąd widzieliśmy jedynie skrawki Zatoki Szewca. Robyn leżała na plecach i jadła wyschnięte żelki, które znalazła w domku letniskowym, Fi patrzyła na port, Homer siedział pod drzewem, wodząc wzrokiem za Lee, a ja i Kevin próbowaliśmy się skupić na stawianiu szybkiego pasjansa.

- Co może się stać z pojazdem silnikowym? - zapytał Lee małego, przyjaznego eukaliptusa. - Dziurawa opona, zagotowanie płynu w chłodnicy, wyciek oleju, problemy z paliwem, akumulatorem, zapłonem, alternatorem, gaźnikiem, hamulcami. To strasznie dobijające. Może wy też spróbujecie coś wymyślić, zamiast zostawiać wszystko na mojej głowie?

To było tak niesprawiedliwe, że nikomu nie chciało się nawet odpowiedzieć.

Kevin położył dwójkę na czwórkę i spojrzał na mnie ukradkiem, żeby zobaczyć, czy zauważyłam. Zauważyłam, a jakże. To małe oszustwo naprawdę mnie rozwścieczyło. Cisnęłam cały plik kart w krzaki jeżyn, obrzuciłam Kevina przekleństwami, kopnęłam jego karty i uciekłam w las.

Chyba wszyscy mieliśmy zszarpane nerwy.

# 11

Rozpoczęliśmy noc od własnego małego konwoju. Wyglądał bardzo dziwnie. Nadal daleko nam było do opracowania dobrego planu, ale postanowiliśmy przynajmniej wykonać następny ruch.

- Każda podróż zaczyna się od jednego kroku - oznajmił ponuro Lee, pozując na starożytnego filozofa.

Tak właściwie nasza podróż zaczęła się od toczenia. Chcieliśmy przetransportować saletrę i olej napędowy, a potem ukryć je w zaroślach niedaleko drogi, żeby w dogodnej chwili można było od razu wziąć się do roboty. Poszukaliśmy zatem taczek - po jednej dla każdego - którymi chcieliśmy przewieźć worki. Znalezienie sześciu taczek zajęło nam trochę czasu, a potem musieliśmy jeszcze poszukać pompki rowerowej, bo ze wszystkich opon uszło powietrze. Następnie zaczęła się ciężka praca. Musieliśmy przewieźć nie tylko worki, które znalazłam z Kevinem, ale także kolejny zapas odkryty przez Robyn i Lee podczas poszukiwania taczek. Znaleźli dwadzieścia worków, czyli mniej więcej drugie trzy czwarte tony. Jeden worek ważył czterdzieści kilo. Byliśmy na dobrej drodze.

Pchanie taczek nocą przez las to straszna mordęga. Problem w tym, że nikt nie produkuje taczek terenowych. Nie odważyliśmy się wyjść na drogę. Nie widzieliśmy w okolicy żadnych patroli, ale pewnie dlatego, że ich nie szukaliśmy. Trzymaliśmy się więc z dala od drogi. Nasz konwój szybko się rozdzielił i każde z nas podążało własnym tempem, od czasu do czasu wyprzedzając się nawzajem.

Aby zająć czymś umysł podczas tego pchania, rozmyślałam o naszym problemie z ciężarówką. To skutecznie odwracało uwagę od ciężkiej, mozolnej pracy. Tylko gdy taczka przechylała się na boki - czyli dość często - wracałam do rzeczywistości. Ale choć bardzo się starałam, nie mogłam wymyślić niczego, co dawałoby najmniejszą szansę powodzenia. Oblać przednią szybę olejem? Przestrzelić silnik? Skupić się na napędzie i zepsuć hamulec pneumatyczny? Było mnóstwo powodów, dla których każdy z tych pomysłów mógł zawieść, i żadnego dobrego powodu, dla którego miałyby one zdać egzamin.

Pomyślałam: w porządku. A może wykopię dół w drodze, położę się w nim, a kiedy nadjedzie ciężarówka, złapię się podwozia, podciągnę, przetnę jakieś kabelki, a potem się puszcze? To powinno zadziałać bez problemu. Podzieliłam się tym pomysłem z Fi, która



pchała taczkę tuż za mną. Przez chwilę myślała, że mówię poważnie. Czasami naprawdę mnie zaskakiwała.

Potem Kevin na chwilę skręcił w stronę jednego z gospodarstw i wrócił, niosąc jakiś biały przedmiot wielkości piłki do tenisa. W ciemności trudno było rozpoznać, co to takiego.

- Co tam masz? - zapytałam.

- Timer kuchenny.

Trochę mnie zaskoczył, ale szybko doszłam do siebie.

- O co chodzi? Jajka na śniadanie nie są ugotowane tak, jak powinny?

- Zgadłaś. Słuchaj, w tym gospodarstwie były jakieś pojazdy, prawda?

- Mhmm, chyba tak. Traktor i dwa motorowery w szopie w ogrodzie. Zdaje się, że poza tym przy zbiorniku stał polny gruchot, no nie?

- Rzućmy okiem. Zostaw na chwilę taczkę.

- Nie możemy przewieźć saletry samochodem, jeśli to masz na myśli. Za dużo hałasu.

Kevin nie wysilił się, żeby odpowiedzieć. Nie miałam pojęcia, co mu chodzi po głowie. Zaprowadził mnie do polnego gruchota. To był stary pikap falcon, biały, ale mocno zardzewiały, jak wszystkie samochody blisko wybrzeża. I jak wszystkie polne gruchoty, miał kluczyk w stacyjce. Kevin go przekręcił, ale usłyszeliśmy jedynie zmęczone jęknięcie, kiedy akumulator otworzył jedno oko, a potem natychmiast znowu zasnął.

- Popchnij mnie - powiedział.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i zaczął pchać z boku. Nadal nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale pochyliłam głowę i pchnęłam. Teren był płaski, więc musieliśmy się trochę napocić. Pięćdziesiąt metrów dalej samochód zaczął się jednak toczyć, a po kilku sekundach Kevin wskoczył na fotel kierowcy i dodał gazu. Silnik zakaszłał i obudził się do życia. Kevin zatrzymał pojazd, a kiedy podbiegłam do okna, powiedział:

- Wskakuj. Zrobimy rundkę.

- Kevin! To zbyt niebezpieczne. Nie możemy się rozbijać po wsi. Jeśli ktoś nas usłyszy...

- Ellie, przestań mnie traktować jak idiotę - powiedział tylko.

Przygryzłam dolną wargę i podeszłam do samochodu od drugiej strony. Drzwi nie chciały się otworzyć, nawet kiedy Kevin próbował je popchnąć od środka. Dlatego usiadłam z tyłu, na pace. Zawróciliśmy, przemknęliśmy po równym terenie, a później wjechaliśmy pod górę, minęliśmy milczący dom, wyjechaliśmy bramą (którą musiałam otworzyć) i ruszyliśmy dalej starą pylistą drogą, aż w końcu dotarliśmy prawie do połowy wzgórza. Wtedy Kevin jeszcze raz zawrócił w stronę podnóża i wysiadł, zgasiwszy silnik. Podniósł maskę, a ja

podeszłam z drugiej strony. Trzymał kombinerki i zaparkował tak, żeby jak najlepiej wykorzystać światło księżyca. Kombinerkami przeciął przewód łączący cewkę zapłonową z rozdzielaczem. Patrzyłam zafascynowana. On oczywiście nie był w nastroju na odpowiadanie na pytania, ale nie miałam mu tego za złe. Po przecięciu przewodu podłączył go z powrotem przez tylną część timera, tak że przewód biegł teraz okrężną drogą. Potem przekręcił tarczę timera, ustawiając ją na pięć minut.

- Dobra - powiedział. - Odpalmy.

Wskoczył do samochodu i znowu przekręcił kluczyk, ale akumulator nadal był zbyt słaby, żeby uruchomić silnik. Pikap stał w połowie wzgórza, więc wystarczyło go pchnąć i szybko zaczął się staczać. Kevin z gracją wskoczył do środka, wrzucił bieg i puścił sprzęgło. Silnik ożył.

Za moimi plecami rozległ się hałas i ogarnięta paniką, gwałtownie się odwróciłam. Z ciemności wynurzał się Homer.

- Co wy wyrabiacie? - zapytał zdenerwowany, kiedy Kevin wyszedł z pikapa i stanął obok chodzącego pojazdu, gapiąc się na maskę. - Mamy sami pchać taczki? Robicie mnóstwo hałasu.

- Daj nam szansę - powiedziałam wkurzona. - Odbębniłszy swoją część. Kevin wpadł na pomysł, jak rozpocząć atak w zatoce.

Homer trochę bardziej się zainteresował.

- Co to za pomysł?

- Nie wiem. Podłączył timer kuchenny między cewką zapłonową a rozdzielaczem.

- Timer kuchenny? Poważnie? Zamierza upiec ciasto? Kevin, co ty wyrabiasz?

Homer pomaszerował w stronę pikapa. Poszłam za nim. Kiedy zbliżyliśmy się do samochodu, Kevin, nie patrząc na nas, powiedział:

- Zaczekajcie. Zobaczycie. Mam nadzieję.

Czekaliśmy jakieś dwie minuty. Gdy w końcu Homer zaczął mówić: „Chyba naprawdę nie powinniśmy tak tu hałasować...”, silnik pikapa nagle zgasł. Bez ostrzeżenia. W jednej chwili warczał sobie jak gdyby nigdy nic, a w następnej w zimnym nocnym powietrzu zapadła cisza. Ja i Homer zaskoczeni spojrzeliśmy na Keva.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał Homer. - Miałeś tylko timer?

- Kiedy wy objajaliście się na lekcjach fizyki, ja słuchałem - oznajmił z dumą Kevin. Wydawał się wręcz zachwycony. - Stworzyłem po prostu drugi obieg obok tego, który już był pod maską. Nowy obieg jest regulowany przez timer, rozumiecie? Dlatego gdy na minutniku pokazuje się zero, obieg przestaje działać, a wraz z nim cały silnik.

Zatkało mnie. Z podziwem spoglądałam na Kevina.

- To takie proste - powiedziałam w końcu. - I takie sprytne.

- Tylko jak to zrobić w ciężarówce? - zapytał Homer. - Bo o to ci chodzi, prawda? Żeby sfingować awarię?

- Właśnie. Istnieje pewien sposób. Musimy przygotować jakąś przeszkodę na drodze konwoju, żeby samochody zatrzymały się na kilka minut. Wtedy podkradnę się, podłączę timer w ciężarówce i nastawię taki czas, jaki uzgodnimy: pięć minut, dziesięć albo i dwadzieścia. Muszę się tylko upewnić, że to silnik benzynowy, a nie diesel. Dwadzieścia minut później, kiedy ciężarówka stanie, nie skojarzą tego z wcześniejszym postojem. Myślę, że jeśli to nastąpi wieczorem, a kierowcy nie będą się znali na mechanice, szybko dadzą za wygraną. Wątpię, czy zdołają wykryć, co się stało. I nie zechcą tracić czasu. Powinno się udać.

- Tak - powiedziałam. - A kiedy załadujemy nawóz na pakę, wyjmemy timer i wszystko będzie wyglądało tak, jakby awarię wywołało coś innego.

- Właśnie - potwierdził Kevin.

Gdy sobie uświadomiłam, że powoli rozwiązujemy kolejne problemy, uderzyła mnie fala strachu. To oznaczało tylko jedno: że w końcu ruszymy do ataku. Zakręciło mi się w głowie. Boże, czy to możliwe? Już i tak posuwaliśmy się za daleko, za często igraliśmy z losem. Zamiast się wycofać, kiedy mieliśmy przewagę, robiliśmy coś wręcz odwrotnego. Nie powiedziałam do chłopaków ani słowa więcej, nie byłam w stanie. Zeszłam ze wzgórza, złapałam taczkę, wypełniłam ją następnym ciężkim ładunkiem i ruszyłam w długą, mozolną drogę z powrotem do naszego składowiska saletry. Kevin był w doskonałej sytuacji. To nie on miał wjechać do Zatoki Szewca. Dlaczego największe ryzyko zawsze spadało na mnie? Bałam się i to mnie wkurzało.

Przy stercie worków z nawozem spotkałam Fi. Siedziała w swojej taczce.

- Och, Ellie - westchnęła. - Czemu to wszystko jest takie trudne? Przysięgam, że nie jestem już w stanie przepchnąć tego choćby o centymetr.

- Hmm. Chciałabym mieć tylko takie problemy.

Opróżniłam taczkę i usiadłam w niej obok Fi, a potem przedstawiłam plan Kevina. Podczas rozmowy usłyszałyśmy, jak przejeżdża następny konwój, i wkrótce między drzewami ukazały się duże ciężarówki z naczepami, które mimo przyciemnionych świateł toczyły się całkiem szybko. Prawie wszystkie wiozły kontenery, a ich prędkość uświadomiła mi, że muszą one być puste. Było ich czternaście. Z przodu i z tyłu eskortowały je wojskowe ciężarówki.

- Jak je zatrzymamy, żeby podłączyć timer? - zapytała Fi.

- Nie wiem - odpowiedziałam rozdrażniona. - I nie chcę wiedzieć. Chyba nam odbiło.

To nas przerasta.

- Och, nie byłabym taka pewna - powiedziała Fi, jakby patrzyła na trudną kwestię z *Makbeta*, którego czytaliśmy w ubiegłym roku.

- W porządku, w takim razie spróbuj mnie namówić, żeby to zrobiła i zginęła, a potem przez resztę życia będziesz mogła mieć wyrzuty sumienia.

To były okrutne słowa i gdy tylko wyszły z moich ust, poczułam skruchę. Mimo to naprawdę uraziłam Fi i przez dziesięć minut musiałam się starać, żeby znowu się do mnie odezwała.

- Chciałam tylko powiedzieć, że mali ludzie potrafią robić wielkie rzeczy - oznajmiła w końcu naburmuszona.

- Pewnie tak - przyznałam skromnie.

- Wydaje nam się, że to coś wielkiego - powiedziała, już nieco udobruchana - dlatego że te statki, ciężarówki i mola są wielkie. Ale w porcie pracują zwykli ludzie i są tacy jak wszyscy. Nieuważni, leniwi i popełniający błędy. Za to ty będziesz bardzo czujna i skupiona, czyli zyskasz nad nimi przewagę.

- Mhmm. - Pragnęłam, żeby zapomniała o tym, co powiedziałam, ale równocześnie chciałam uwierzyć w jej słowa.

- To dobry plan, Ellie, naprawdę. Wystarczy wykiwać tych ludzi. Przestań myśleć o wielkiej eksplozji, ona nie ma z tym nic wspólnego. Tu chodzi tylko o to, żeby przechytrzyć kilkudziesięciu żołnierzy.

Raczej kilkuset, ale zaciśnęłam usta i jej nie poprawiłam. W tej chwili przyszli Homer i Kevin oraz Lee i Robyn, którzy przewieźli taczkami ostatnie worki z nawozem. Wszyscy byliśmy wyczerpani, lecz Homera to nie obchodziło.

- Myślę, że powinniśmy to zrobić dzisiaj - oznajmił.

- Jezu, Homer, jest druga w nocy.

- Tak, ale ten statek przewożący kontenery to dla nas idealna szansa, a teraz jest już prawie pełny. Musimy wykorzystać ładownię, zanim zaczną ustawiać kontenery na pokładzie. Gdybym dostał się z Ellie do takiego kontenera razem z tymi wszystkimi workami i gdybyśmy trafili na statek, mielibyśmy bombę nad bombami. Jak inaczej wejdziemy na pokład, jeśli nie w kontenerze?

- Możliwe, że dziś w nocy nie będzie już konwojów.

- Tak, ale równie dobrze mogą przyjechać. Wszystko wskazuje na to, że kursują

dniami i nocami.

Nastąpiła długa cisza.

- Wykombinowaliście, jak zatrzymać ciężarówkę? - zapytałam.

- Robyn wpadła na pewien pomysł.

Spojrzałam na Robyn. Wyglądało na to, że za chwilę wyda na mnie wyrok śmierci.

- Dobra, więc o co chodzi?

- Wszystko musi wyglądać naturalnie i nie może budzić podejrzeń - powiedziała. -

Drzewo zwalone na drogę byłoby zbyt oczywiste. Spodziewaliby się zasadzki.

- Zgadzam się.

- No, Ellie, chyba najwyższa pora, żebyś odświeżyła znajomość ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami.

## 12

To było duże pastwisko i pasło się na nim wiele owiec, prawdopodobnie ze sto pięćdziesiąt sztuk. Wyglądało tak, jakby przed inwazją było mocno eksploatowane, bo znaczyły je małe smutne kupki wełny i kości. Lisy, dzikie psy, orły, choroby - one wszystkie zebrały tu żniwo. Owce, które przeżyły, były w złym stanie, dreptały niepewnym krokiem i użalały się nad sobą. Na pewno nie zostało im wiele pożywienia - z daleka wyglądało w porządku, ale tak naprawdę była to tylko marna sucha trawa, pozbawiona wszelkiej wartości.

Na tak wielkim pastwisku trudno było okiełznać zwierzęta. Owce od dawna nie widziały ludzi i trochę zdziczały. Wypłaszając je z krzaków jeżyn i zza drzew, dziesięć razy żałowałam, że nie mamy psa do pomocy. Zamiast tego mieliśmy Lee, Robyn i Fi, z których było tyle pożytku, ile z dwóch niewytresowanych papużek nierozłączek. Oczywiście nie potrzebowaliśmy wszystkich owiec - i całe szczęście, bo w przeciwnym razie nadal byśmy tam tkwili, klnąc, pocąc się i próbując je zmusić, żeby zrobiły to, na czym nam zależało. W końcu spędziliśmy ze sto dwadzieścia sztuk.

Po półgodzinie pracy wypędziliśmy je na drogę. Potem trzeba było je zagnać między drzewa i czekać na warkot konwoju. To może się wydawać łatwe, ale nic bardziej mylnego. Gdy tylko owce wyszły za bramę, rozbiegły się wzdłuż drogi i zaczęły jeść. Powoli pchaliśmy je naprzód, ale kiedy w końcu wygnaliśmy je z pola i zapędziliśmy do lasu, trawa nagle zniknęła. To zasmuciło owce, które ruszyły biegiem, żeby poszukać lepszego miejsca. Ja i Kevin musieliśmy je szybko wyprzedzić, a potem, z pomocą Homera, który wspierał nas na tyłach, nakłonić owce, żeby zostały tam, gdzie były. Potrzebowaliśmy tych zarośli jako osłony, więc owce musiały zrezygnować z otwartej przestrzeni.

Robyn była ubrana na czarno i poczerniła sobie twarz pastą do butów znaną na farmie. Pasta do butów należała do tych rzeczy, które najwyraźniej nie interesowały szabrowników. Kilka miesięcy temu doszlibyśmy pewnie do wniosku, że poczernianie twarzy, kamuflaż i synchronizowanie zegarków to lekka przesada w stylu hollywoodzkich filmów, ale teraz robienie takich rzeczy wydawało nam się czymś oczywistym.

Nie jestem pewna, jak to się stało, że zadanie przecięcia przewodu i podłączenia timera przypadło w udziale Robyn. Oczywiście kandydatem do tej roboty był Kevin i w pewnej chwili zgłaszał się nawet na ochotnika, ale w końcu kombinerki jakimś cudem

wylądowały w dłoni Robyn. Ktoś napomknął, że Robyn dobrze sobie radzi z pracami ręcznymi, a Kevin będzie potrzebny przy owcach, póki nie pokażą się ciężarówki, ale chyba wszyscy wiedzieliśmy, że taka robota po prostu nie jest w jego stylu. Nie miał mocnych nerwów. Szybko się okazało, że nie chce tego robić, a wtedy zgłosiła się Robyn i tak już zostało.

Myślę, że Robyn zawsze z chęcią podejmowała się zadań, które nikomu nie wyrządzały bezpośredniej krzywdy.

Kiedy owce się uspokoiły, a ja i Kevin w końcu nad nimi zapanowaliśmy, Homer i Lee zniknęli na kilka minut, oddalając się w kierunku plecaków. Nie zwróciłam na to większej uwagi, dopóki nie wrócili. Wtedy zobaczyłam, że każdy z nich trzyma obrzyna. To była zupełna nowość, której się nie spodziewałam.

- Co wy robicie? - zapytałam wkurzona.

Homer skruszony odwrócił wzrok, ale Lee w zasadzie zachował spokój.

- Ellie, nie wygłupiaj się - powiedział. - Będziemy osłaniać Robyn.

- Jak to?

- Ellie, to niebezpieczne zadanie, naprawdę niebezpieczne, nie róbmy sobie jaj. Konwoje są chronione z przodu i z tyłu. Jeśli ktoś zaskoczy Robyn podczas pracy przy przewodach, nie będzie miała żadnych szans. Chyba że zastrzelimy napastników.

- Jasne, a co będzie potem?

- Wszyscy wycofamy się do lasu. Możliwe, że będą do nas strzelać, ale w ciemności nie odważą się nas ścigać. Odwołamy akcję i pójdziemy gdzieś indziej. Niczego nie stracimy, ale ocalimy życie Robyn.

- Czy Robyn nie powinna mieć czegoś do powiedzenia w tej sprawie?

Lee się zawahał.

- No tak, dobra, masz rację. Robyn, co ty na to? Chcesz, żebyśmy cię osłaniali, czy nie?

Robyn nie patrzyła na żadne z nas. W zaroślach świeciły białka jej oczu na tle czarnej twarzy. Zdziwiłam się, że tak długo się zastanawia. Myślałam, że od razu im powie, co mają zrobić z tymi obrzynami.

- Tak - odezwała się w końcu, nadal nie patrząc w naszą stronę. - Chyba chciałabym, żebyście mnie osłaniali. Dzięki.

Nic nie powiedziałam. Wróciłam do owiec, próbując zachować kamienną twarz. Nie podobało mi się to. Nie lubię być zaskakiwana przez ludzi, zwłaszcza przez Robyn, o której myślałam, że już dawno ją poznałam.

Poza tym lubię stawiać na swoim.

- Co myślisz o tych obrzynach? - zapytałam Fi, szukając wsparcia.

- Chłopaki chyba mają rację - odpowiedziała. - W przeciwnym razie Robyn byłaby łatwym celem. Gdyby ją zastrzelili, nigdy byśmy sobie nie wybaczyli.

Wtedy się poddałam. Mimo to nadal uważałam, że ich pomysł jest głupi: że jeśli kiedykolwiek wdamy się w strzelaninę, zginieemy w masakrze. Zostałam jednak przegłosowana.

Czekaliśmy mniej więcej czterdzieści minut, a potem usłyszeliśmy charakterystyczny warkot konwoju. Boże, pomyślałam, zaczyna się. Był jeszcze daleko, ale dość szybko się zbliżał. W pewnej chwili prawie zdołałam sobie wmówić, że to wcale nie konwój, tylko nisko lecący samolot. Nocą z dźwiękami dzieją się dziwne rzeczy.

- Chyba nam odbiło - powiedziałam do Fi.

Odpowiedziała mi nerwowym, lekkim uśmiechem.

- Myślisz, że ktoś się kiedyś dowie, co zrobiliśmy? - zapytałam ją.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała. - Byłoby okropnie, gdyby nikt o tym nie usłyszał. Chcę, żeby moi rodzice wiedzieli, jak bardzo starałam się pomóc i zrobić coś ważnego. Czułabym się strasznie, gdyby nie dostali takiej szansy.

Poczułam się lepiej, widząc, że to rozumie, że podziela moje odczucia.

Byliśmy przy dość prostym odcinku drogi, więc widzieliśmy światła ciężarówek ze sporej odległości. Tym razem konwój mnie jednak zaskoczył, bo pojazdy miały włączone światła postojowe. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to dobry znak: widocznie żołnierze obawiali się ataków z powietrza. Wcześniej widzieliśmy mnóstwo konwojów z przyciemnionymi reflektorami, ale jeszcze nigdy nie jeździły na światłach postojowych. W dodatku dzięki temu poruszały się wolniej, co pewnie ucieszyłoby owce.

Teraz na drodze było nas już tylko dwoje: Kevin na jednym końcu stada, a ja na drugim. Pognaliśmy owce, starając się wypędzić je na drogę. Nie szło nam idealnie, ale rozproszyły się wystarczająco, by zająć sporo przestrzeni. W ostatniej chwili zaszyliśmy się w zaroślach i dołączyliśmy do pozostałej czwórki. Usłyszeliśmy pisk hamulców pierwszej ciężarówki i zobaczyliśmy, że słabe światła postojowe nagle nieruchomieją. Pozostałe samochody szybko zatrzymały się z tyłu. Było ich mnóstwo, jak okiem sięgnąć. Konwój okazał się duży. Zobaczyłam, jak Robyn rusza naprzód, a za nią idą Homer i Lee ze swoimi obrzynami. Zrobiło mi się słabo. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi ciężarówki, czyjeś kroki, głosy krzyczące na owce. Doszliśmy do wniosku, że zyskamy sporo czasu, bo najprawdopodobniej ci faceci nie mieli wcześniej do czynienia z owcami, które w dodatku rozumiały tylko po



angielsku. A przecież nie mogli ich zostawić na drodze, gdzie wałęsałyby się dalej, stwarzając zagrożenie dla następnych konwojów.

Nagle rozbłysło jasne światło i kołysząc się, podążało w naszą stronę. Może i bali się samolotów, ale nie byli głupi. Najwidoczniej rozważyli wszystkie za i przeciw i doszli do wniosku, że warto zaryzykować włączenie reflektora. Ja i Fi cicho przywarłyśmy do ziemi. Nie widziałam Kevina, który ukrył się gdzieś za nami, ale przypuszczałam, że on też całuje glebę. Leżałam i słuchałam, jak serce wali mi w piersi. Owce beczwały na drodze jak szalone i zaczęły uciekać przed żołnierzami. Słyszałam, jak ich twarde nóżki tupią coraz szybciej, stepując na asfalcie. Wieki temu mieliśmy na farmie popłoch bydła. Wyglądało na to, że teraz nastąpił popłoch owiec. Zachichotałam i zobaczyłam, że zdziwiona Fi zerka na mnie z ukosa. Wtedy sama się zdziwiłam: nie przypuszczałam, że chichotałam tak głośno. Zaczęłam się martwić, że mogli mnie usłyszeć żołnierze.

Reflektor nadal przeczesywał zarośla. Świecił tak mocno, że miało się wrażenie, jakby wypalał powietrze, a wraz z nim gałęzie i liście. Z gniazda po mojej prawej wyleciał jak strzała mały ptaszek, który odfrunął w pospiesznej, pozbawionej wdzięku panice. Na niebie zauważyłam snop światła z drugiego reflektora, który przeczesywał zarośla po przeciwnej stronie drogi.

Potem rozległy się strzały. Owładnięta czystym strachem, o mało nie zerwałam się na równe nogi. Dziwię się, że nie osiwiłam. Poczułam się nieswojo, jak naelektryzowana. Strzały rozlegały się w regularnych odstępach, jeden po drugim, po obu stronach drogi. Na początku po naszej lewej, ale stopniowo się zbliżały. Zaczęłam rozumieć, co się dzieje: podejrzliwi żołnierze metodycznie strzelali w las, żeby wypłoszyć kogoś, kto mógł się przycziąć i szykować atak. Jeszcze bardziej przywarłam do ziemi, czując zimną glebę na ustach i na czole. Nad głową z przeraźliwą prędkością i siłą śmignęła mi kula i pomknęła w ciemność. Miałam nadzieję, że nie ma tam zbyt wielu misiów koala. Okropnie martwiłam się o Homera, Lee i Robyn, ale nic nie mogliśmy zrobić, a jak dotąd nie słyszałam żadnych okrzyków, których można by się spodziewać, gdyby żołnierze ich zauważyli. Nie śmiałam się ruszyć.

Strzelanie trwało kilka minut. Musieli mieć tony amunicji. Było widać, że unikają ryzyka. Potem nagle usłyszałam, jak jedna z ciężarówek kaszle i jej silnik budzi się do życia. Potem druga, potem trzecia. Warkot stopił się w jeden głośny dźwięk i usłyszałam przenikliwy zgrzyt skrzyń biegów. Konwój ruszał w drogę.

Ale ja nie. Leżałam, czekając, aż noc znowu będzie cicha i spokojna. Zanim to jednak nastąpiło, zjawili się Homer i Lee - dwie duże ciemne i niezdarne postacie, które przedarły się

przez zarośla obok mnie. Ja i Fi podźwignęłyśmy się z ziemi, strzepując z siebie gałązki, liście i piach.

- Co się stało? - zapytałam niecierpliwie.

Kevin stanął za moimi plecami.

- Co się stało, do cholery? - powtórzył jak echo.

- Po prostu dostali paranoi - powiedział Homer. Zarówno on, jak i Lee byli tak przejęci, że dostali wytrzeszczu oczu. - Nie byliśmy w stanie nic zrobić. Kiedy zaczęli strzelać, schowaliśmy się za drzewami i modliliśmy się, żeby nas nie znaleźli.

- Zauważyli was? - zapytał Kevin.

- Nie, nie, po prostu byli ostrożni.

- Gdzie jest Robyn?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że gdzieś na drodze. Nie odważyliśmy się wyjść z drzew. Raczej jej nie złapali, bo byśmy usłyszeli. Nie wiem tylko, czy udało jej się podłączyć timer. Na pewno było ciężko.

Powoli ruszyliśmy w stronę drogi. Nie było tam śladu Robyn ani nawet owiec. Zaczęłam wpadać w panikę. Potem zauważyłam parę białych oczu i błysk białych zębów zbliżających się w naszą stronę. Okazało się, że to nie wilk, tylko Robyn.

Zasypaliśmy ją pytaniami i emocjami.

- Zaraz! Stop! - powiedziała. - Pogadamy po drodze. Nie możemy tracić czasu.

Ruszyliśmy za nią jak stado gęsi. Wkrótce zobaczyliśmy pole, na które żołnierze zapędzili owce. Ja i Homer zatrzymaliśmy się zniesmaczeni.

- Nie możemy ich tam zostawić! - zawołał Homer.

- Nie mamy czasu - powiedział Lee.

- Będziemy musieli go znaleźć - uciełam. - Te owce bardzo nam dziś pomogły. Jesteśmy im to winni.

Ja i Homer pobiegliśmy do bramy i otworzyliśmy ją. Zdałam sobie sprawę, że trzeba to zorganizować tak, jakby owce uciekły same.

- Spróbuj przewrócić kawałek ogrodzenia - zawołałam do Lee. - Niech wygląda tak, jakby zniszczyły je owce.

Narzekając, poszedł zrobić to, o co prosiłam. Potem razem wbiegliśmy na pole i ostatkiem sił jeszcze raz okrążyliśmy oglupiałe zwierzęta. Pastwisko było bardzo małe i pozbawione jakiegokolwiek roślinności. Już wcześniej głodowało na nim trzydzieści owiec, a teraz dołączyły do nich te, które przepędziliśmy. Wygoniliśmy je za bramę tak szybko, że cudem się nie stratowały. Kilka upadło, ale potem się podniosły. Pozwoliliśmy im rozbiec się

wzdłuż drogi i skubać, co tylko chciały. W tym miejscu droga była znacznie szersza, a ponieważ owce trzymały się na uboczu, miałam nadzieję, że żołnierze pozwolą im tam zostać. Zresztą i tak nie byliśmy w stanie nic więcej zrobić dla tych zwierząt. Przynajmniej wyruszały na spotkanie następnej przygody z pełnymi brzuchami.

Pobiegliśmy za Robyn i Fi, które szły już drogą i rozmawiały.

- Co się stało? - zapytałam Robyn, dysząc ze zmęczenia.

Uśmiechała się. Odniosłam wrażenie, że mimo niebezpieczeństwa dobrze się bawi.

- To było czyste szaleństwo.

- Dobra, dobra, wierzę, ale co się stało?

- Zatrzymali się i od razu upatrzyłam sobie pojazd: ciężarówkę z naczepą wiozącą kontener. Była krótka, mogła mieć jakieś sześć, siedem metrów długości. Wydaje mi się, że długie były same diesle. W ciemności ruszyłam prosto do niej, jeszcze zanim żołnierze zaczęli wychodzić z kabin, i dostałam się od spodu, tak jak ustaliliśmy. Nie było trudno znaleźć ten przewód, ale gdy tylko go przecięłam, obok przeszli dwaj faceci. Wtedy zrobiło się gorąco. Pozostało mi jedynie zastygnąć w bezruchu i modlić się. Na szczęście bardziej interesowały ich zarośla niż to, co mogło się dziać w ciężarówkach.

- Nic dziwnego - powiedziałam. - Pewnie obawiali się ataku partyzantów, a nie jednej osoby, która podepnie timer pod przewód rozdzielacza.

W tej chwili dołączyli do nas pozostali i szybko szliśmy naprzód z nadzieją, że znajdziemy zepsutą ciężarówkę. Konwój jechał powoli, ale wiedzieliśmy, że czeka nas daleka droga.

- Wtedy zaczęli strzelać - ciągnęła Robyn. - To było okropne. Myślałam, że was zauważyli. Struchlałam ze strachu. Wcześniej wydawało mi się, że to ja jestem w niebezpiecznym miejscu, ale wyszło na to, że jednak wy. Nie byłam w stanie myśleć ani działać. Zauważyłam jednak, że nie słyhać żadnego poruszenia: nikt nie krzychał ani nie biegał tak jak wtedy, kiedy żołnierze nabierają jakichś podejrzeń. Potem obok mnie przeszedł jeden z żołnierzy strzelających w zarośla i zdałam sobie sprawę, że do nikogo konkretnego nie celują. Strzelali na wszelki wypadek. Miałam nadzieję, że nikogo z was nie trafiła zbłąkana kula. Przewyciężyłam paraliż i wzięłam się do roboty. Było naprawdę ciężko, bo miałam mokre i spocone dłonie. Nie mogłam porządnie złapać przewodu. Kable nie chciały mnie słuchać, a potem w dodatku upuściłam kombinerki. W zasadzie jestem jednak pewna, że podłączyłam to jak trzeba. Potem nastawiłam timer i próbowałam się wycofać. Wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty: żołnierze wracali do ciężarówek, ale część z nich nadal krążyła wokół. Kierowca uruchomił silnik i ruszył, a ja ciągle nie mogłam uciec. Pomyślałam, że

najlepiej położyć się na ziemi i tak też zrobiłam. Zaczekałam, aż ciężarówka odjedzie, a potem jak najszybciej sturlałam się z drogi. Byłam przerażona. Ciężarówki jechały jedna za drugą. Szkoda, że mnie nie widzieliście. Mimo wszystko jakoś przeżyłam. Siniaki, zadrapania i blizny do końca życia, ale nic gorszego mnie nie spotkało.

- Jesteś pewna, że dobrze wszystko podłączyłaś? - zapytał Homer.

- Tak. W przeciwnym razie ciężarówka by nie zapaliła - zauważył Lee.

- To prawda. Jeśli timer zadziała poprawnie, na pewno się uda - potwierdził Kevin. - Za to gdy go znajdą, będzie problem. Ale nie wydaje mi się, żeby o tej porze i po jednym przymusowym postoju mieli jeszcze cierpliwość, aby zatrzymać cały konwój i szukać przyczyny awarii. Już kiedy przeganiali owce, wydawali się dość zmęczeni.

- Myślałam, że zaszyłeś się głęboko w lesie - powiedziałam.

- Nie, nie, stałem naprawdę blisko - przekonywał, ale nie byłam tego taka pewna.

- Jeśli znajdą timer, wpakujemy się w zasadzkę - zauważył Lee cichym, spokojnym głosem.

Zwolniliśmy i wstrząśnięci spojrzeliśmy na siebie. Osiągnęliśmy ten poziom wyczerpania, w którym nie zauważa się oczywistych rzeczy.

- Ale nie ma czasu, żeby skradać się przez las - powiedziała Fi. - Niedługo wzejdzie słońce.

- Nie mamy innego wyjścia - powiedział Homer. - Nie zapominajcie, że ten atak to szansa jedna na milion. Jeśli coś pójdzie nie tak, możemy odwołać akcję i nikomu nic się nie stanie. Nie będzie czego żałować. Zresztą jak na nas to i tak za duże wyzwanie. Myślę, że powinniśmy stawiać własne bezpieczeństwo wyżej niż wykonanie planu za wszelką cenę.

Naprawdę osłupiałam. Jestem pewna, że Homer się nie bał. Mówił spokojnym, silnym głosem. Chyba po prostu analizował ryzyko i dokonywał naukowej oceny. Jak na w gorącej wodzie kąpanego Homera była to naprawdę chłodna kalkulacja. Z jakiegoś powodu sprawiła mi wielką przyjemność - i to nie tylko dlatego, że odrobinę zwiększała moje szanse na przeżycie. Chyba dawało mi to nadzieję, że być może Homer nie czuje już potrzeby zgrywania wielkiego macho, który chce dowodzić swojej wartości, rzucając się w wir działania przy każdej okazji.

Dobrze pamiętałam innych żołnierzy amatorów, z którymi współpracowaliśmy - dorosłych z tak zwanych Bohaterów Harveya, których wystrzelano jak kaczki, podczas gdy my bezradnie patrzyliśmy na to z zarośli. Oni też podchodzili do rzekomo popsutego pojazdu wroga, pewni, że został porzucony.

Dlatego weszliśmy do lasu, przestaliśmy rozmawiać i skradaliśmy się wśród drzew,

potykając się o korzenie i skały, smagani po twarzy wystającymi gałęziami. Och, było ciężko. Zastanawiałam się, czy życie będzie jeszcze kiedyś takie łatwe jak dawniej.

Mniej więcej za piętnaście piąta rano zauważyliśmy niewyraźny błysk unieruchomionej ciężarówki, która stała na poboczu, odbijając delikatne światło księżyca.

## 13

Patrząc na nią, zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przyglądam się własnej trumnie. To było okropne uczucie: myśl, że za chwilę zamknę się w tym wielkim metalowym pudle. Podkradliśmy się do ciężarówka bardzo ostrożnie, ale wszystko wyglądało zwyczajnie. Wiem, że gdybym ja kierowała ciężarówką, która popsuta się o tej porze nocy, nie chciałabym przy niej zostać i próbować ją naprawić. Powierzyłabym to mechanikom.

Kevin zdjął timer i znowu spiął przecięty kabel, a potem odłączył plusowy przewód od cewki zapłonowej. Zapewnił nas, że mechanicy pomyślą, że to on spowodował awarię. Na wszelki wypadek pomajstrował też przy przewodzie paliwowym - chyba wlał do niego trochę wody. Powiedział, że w takiej sytuacji będą musieli wezwać lawetę. Trzymałam go za słowo. Znam się na mechanice na poziomie podstawowym, ale głębsze tajemnice silników to dla mnie czarna magia.

Otworzyliśmy kontener, przesuwając jedną zasuwę w prawo, a drugą w lewo. Myślałam - miałam nadzieję - że będzie lepiej zabezpieczony, ale w zasadzie jego otwarcie okazało się najłatwiejszą częścią całej operacji. Można go było otworzyć także od środka. Wcześniej nie dawało mi to spokoju. Nie chciałam skończyć jak opos w pułapce.

Wnętrze przypominało metalową jaskinię. Wydawała się znacznie większa niż z zewnątrz. Odgłos naszych kroków odbijał się echem, kiedy nerwowo stąpaliśmy na paluszkach aż do samego końca. Oczywiście nie znaleźliśmy tam jednak niczego ciekawego. Obydwa końce wyglądały tak samo.

- Chodźmy - powiedziałam, wiedząc, że Homer właśnie otwiera usta, aby powiedzieć to samo. Postanowiłam go prześcignąć. Jak zwykle nie chciałam, żeby poczuł się naszym panem i władcą. - Pora na trochę ciężkiej roboty.

Bo rzeczywiście robota była ciężka. Nasz skład nawozu i oleju napędowego był oddalony o jakieś dwa kilometry. Dość dobrze obliczyliśmy czas i prędkość konwoju, ale i tak narzekałam. Ucieszyłabym się, tylko gdyby ciężarówka zaparkowała elegancko obok naszego składu, a - jeszcze lepiej - podjechała do niego tyłem. Homer powiedział Kevinowi, że nie powinien być psuć paliwa, bo wtedy mogłabym podjechać ciężarówką do składu, a po jej załadowaniu wrócić na miejsce awarii. Oczywiście było to niemożliwe. Takimi pojazdami trudno się wycofuje, a na wąskiej drodze, gdzie brakuje miejsca, by zawrócić, musiałabym

pewnie pojechać aż do Zatoki Szewca, żeby poszukać miejsca na manewrowanie. Coś takiego na pewno nie spodobałoby się żołnierzom.

Wróciliśmy więc do taczek i znowu rozpoczęło się mozolne toczenie w zimnym nocnym powietrzu. Ciężkie ręce usiłowały utrzymać ciężkie uchwyty, ciężkie nogi drżały, kiedy próbowaliśmy utrzymać równowagę. Tym razem szliśmy drogą, nasłuchując konwojów i patroli, ale jednocześnie wiedząc, że musimy pokonać także innego wroga: poranek. Wszystko wskazywało jednak na to, że nie nadjeżdżają kolejne konwoje, a na tym terenie nie ma żadnych patroli.

Najtrudniejszą częścią zadania było władowanie worków i beczek do kontenera. Muszę przyznać, że i pod tym względem Homer spisał się świetnie. Może i był wielką górą kości i mięśni, ale odwalił kawał dobrej roboty. Fi miała największe problemy z podniesieniem worków i Homer ją wyręczył. Wiedziałam, że jest silny, ale nie miałam pojęcia, skąd czerpie energię.

Nagle - jak dla mnie stanowczo zbyt szybko - byliśmy gotowi do dalszych działań. Stałam na drodze za ciężarówką i patrzyłam na pozostałych, próbując poradzić sobie z napływem emocji. Czułam się jak ktoś, kto widzi, że za chwilę rura doprowadzająca wodę pęknie na łączeniu. Co robić? Próbować połączyć ją z powrotem? Pobiec do zaworu? A może do pompy? W mojej głowie kłębiły się dylematy. Już myślałam, że za chwilę zaliczymy ckliwą scenę pożegnania, w której wszyscy zaczną się całować, ścisnąć i wygłaszać przemówienia. Powinnam była wiedzieć, że nic takiego się nie stanie. Kevin podał mi lont i detonator, oddaliśmy pozostałym nasze buty, skarpetki, ciężkie ubrania i całą zawartość kieszeni, żeby łatwiej przepłynąć zatokę. Potem staliśmy i patrzyliśmy na siebie, czując lekkie zakłopotanie. W końcu Homer powiedział:

- No dobra, do zobaczenia nad strumieniem.

Właśnie tam mieliśmy się później spotkać.

- Tak, do zobaczenia - powiedział Kevin.

Puściłam oko do Fi, pomachałam Robyn, a potem weszliśmy do kontenera i zamknęliśmy za sobą ogromne drzwi.

Gdy tylko znaleźliśmy się w ciemnościach, miałam ochotę wybiec z powrotem i rzucić się na przyjaciół jak jakiś emocjonalny boa dusiciel, ale postanowiłam, że choćby nie wiem co się działo, będę równie opanowana jak Homer.

W kontenerze panowała całkowita ciemność. Uniosłam dłoń jakieś pięć centymetrów od twarzy i zobaczyłam jedynie leciutki błysk bladej skóry. Na zewnątrz miałam przynajmniej dowód, że na świecie zostało jeszcze trochę światła, bo nad horyzontem

ciągnęła się szara smuga, ale w środku trudno było w to uwierzyć. To wszystko było bardziej przerażające niż cokolwiek, co przeżyliśmy do tej pory. Zupełnie nowy rodzaj wyzwania. Wcześniej w zasadzie działaliśmy lokalnie: robiliśmy to, co byliśmy w stanie zrobić w najbliższej okolicy, wykorzystując benzynę i gaz, czyli substancje, z którymi wcześniej mieliśmy do czynienia praktycznie codziennie. Teraz trwała wojna i byliśmy żołnierzami. ANFO, detonatory, lonty, próba infiltracji portu w celu wysadzenia cumujących w nim statków - to nie byle co. Zamierzaliśmy dokonać wielkiego aktu sabotażu. Szykowała się bitwa o Zatokę Szewca, poważna wojna, prawdziwa wojna, coś, co powinny robić setki uzbrojonych żołnierzy w mundurach - ludzie szkoleni przez lata.

- Homer - powiedziałam, bo nagle przeraziła mnie myśl, że Homer zniknął i zostałam zupełnie sama na świecie. - Homer, gdzie jesteś?

- Spokojnie, jestem tutaj.

Usłyszałam, jak się do mnie przysuwa, i uniosłam rękę. Moje palce natrafiły na jego twarz. Dotknęłam szorstkiej skóry na brodzie. Objął mnie, a ja z wdzięcznością przyjął ten jego wielki, silny uścisk. Czułam się dziwnie: Homer nieczęsto kogoś obejmował i wyczuwało się wtedy jego skrzepowanie. Był bardzo sztywny, nie odprężony czy swobodny, ale i tak miło było znowu poczuć tę odrobinę bliskości. Ostatnio bardzo go podziwiałam, chociaż nigdy nie dałam mu tego poznać.

Siedzieliśmy naprzeciwko worków z saletrą i rozmawialiśmy szeptem. Mimo że zdobyliśmy zadziwiająco dużo materiałów, w kontenerze zostało jeszcze mnóstwo miejsca. Byłam pewna, że nikt nie zauważy dodatkowego obciążenia. Normalnie w takich ciężarówkach przewoziło się ładunki o wadze co najmniej dwudziestu pięciu ton.

Rozmawialiśmy o wszystkim: o balu maturalnym, transferach embrionów u owiec, heavymetalowym albumie grupy o nazwie Bigger than Boeing, o tym, dlaczego Robyn czasami tak bardzo denerwuje Homera, i o tym, czy stalaktyty zwisają z sufitu, czy może wyrastają z ziemi. Rozmawialiśmy o naszych marzeniach na przyszłość. Kurczę, one wszystkie strasznie się ostatnio zmieniły. Nikt już nie wspominał o zamorskich podróżach w ramach wymiany uczniów, o podrasowanych pikapach, którymi można by jeździć na wiejskie imprezy, o kursach hotelarstwa czy biologii morskiej. Teraz interesowały nas wyłącznie przyziemne sprawy. Odzyskanie rodziny. Możliwość przemieszczania się w świetle dnia. Jedzenie świeżych owoców. Powrót do szkoły. Patrzenie na dzieci bawiące się na huśtawkach. Tylko tego pragnęliśmy. Przyziemnych spraw.

Kiedy na zewnątrz zrobiło się jaśniej, zobaczyliśmy, że w ścianach są pęknięcia i maleńkie otworki. Słońce świeciło coraz jaśniej i mocniej. Nawet gdyby nie było nic widać,



poczuliśmy ciepło kontenera, który dość szybko się nagrzewał. Zapowiadał się ładny zimowy dzień. Ciągłe zerkałam na zegarek, próbując dojrzeć godzinę i zastanawiając się, kiedy przyjdą żołnierze, ale usłyszeliśmy ich dopiero około dziesiątej. Ostrzegło nas powolne zgrzytanie pojazdu jadącego na niskim biegu. Przestaliśmy rozmawiać i czekaliśmy, napinając wszystkie mięśnie, jakby nasze ręce, nogi i żołądek były równie zaangażowane w słuchanie jak uszy. Pojazd się zatrzymał. Otwarto i zatrzaśnięto z powrotem dwoje drzwi. Przycupnęliśmy za workami, chociaż w zasadzie było to bez sensu. Homer uważał, że najbardziej niebezpieczny będzie moment wjechania bramą do portu. Ja byłam innego zdania: wartownicy najprawdopodobniej uznaliby, że mechanicy zajrzeli już do kontenera. Przewidywałam, że największe niebezpieczeństwo będzie nam groziło podczas umieszczania kontenera na statku, bo operator dźwigu może zwrócić uwagę na ciężar ładunku. Homer się z tym nie zgadzał. Powiedział, że operator dźwigu na pewno nie jest przyzwyczajony do samodzielnego myślenia. Nikt nie zadaje sobie trudu, żeby cokolwiek mu wyjaśniać. Facet po prostu siedzi w kabinie przez cały dzień i przyciska guziczki. Jeśli jeden kontener będzie cięższy od pozostałych, operator uzna, że dzieje się tak z jakiegoś powodu, o którym go nie poinformowano.

Później czekały nas niebezpieczeństwa innego rodzaju: związane z samą akcją i zagrożeniami natury fizycznej. Ale teraz - kiedy tak siedzieliśmy i czekaliśmy w ciemności - najbardziej obciążone były nasze umysły.

Gdy na zewnątrz rozległy się ciche dźwięki, głucho łomotanie i stukot, gdy poczułam, jak kontener się trzęsie, przestałam się martwić przyszłymi zagrożeniami. To aktualne w zupełności mi wystarczało. Modliłam się, żebyśmy przeżyli. Słyszałam głosy, ciche głosy, które od czasu do czasu coś do siebie mamrotały. Rozległ się szcęk metalu. Pobrękiwanie narzędzi. Przekleństwo - w obcym języku, ale nie miałam wątpliwości, że to jednak przekleństwo. Potem ktoś zapuścił silnik. Pojazd odpalił, ale nie chodził tak, jak powinien: rozległo się kilka strzałów z gaźnika i brzmiało to naprawdę nieciekawie. Usłyszałam krzyk, silnik zgasł, a potem nastąpiła cisza - długa cisza. Po chwili przeszły mnie ciarki. Wyobraziłam sobie, jak tamci mężczyźni w milczeniu okrążają kontener i unoszą karabiny. Po chwili byłam już pewna, że drzwi zaraz się otworzą, zostaniemy złapani, wywleczeni na zewnątrz, a potem będziemy torturowani i zginiemy. W całym moim ciele nie pozostał ani jeden rozluźniony mięsień. Czułam, że przechodzą mnie dreszcze, jakbym została podłączona do dwunastowoltowego generatora i ktoś włączył prąd. Jedynie dłoń Homera na moim ramieniu powstrzymała mnie od tego, by zerwać się na równe nogi i zacząć krzyczeć. W końcu ponownie rozległ się warkot tamtego pojazdu.

- I jak? - szepnęłam Homerowi do ucha.

Poczułam, że zniecierpliwiony wzrusza ramionami. Nie lubił zgadywać, spekulować.

Słyszałam, jak tamten pojazd wycofuje i zawraca. Miałam wrażenie, że hałas otacza nas ze wszystkich stron. Rozległo się kilka krzyków, potem silnik zwolnił obroty. I nagle kontener się poruszył. Mimo że w zasadzie się tego spodziewałam, tak mocno złapałam Homera za ramię, że poczułam kość. Kontenerem szarpnęło, a potem zaczął powoli i miarowo przesuwać się do przodu i lekko w górę, a w końcu przechylił się pod kątem, który sprawiał wrażenie czterdziestopięciostopniowego, choć pewnie nie był aż tak duży. Bezcza oleju napędowego niezabezpieczona workami z nawozem zaczęła powoli sunąć w dół. Złapałam ją, jakbym tonęła, a ona była kołem ratunkowym. Chwyciłam ją mocno i miałam nadzieję, że mężczyźni na zewnątrz nie słyszeli hałasu. Z kolei Homer złapał się mnie i wtedy zdałam sobie sprawę, że na skali strachu jesteśmy mniej więcej w tym samym punkcie. Wreszcie ruszyliśmy w drogę. Rozległ się szcęk i poczuliśmy, że podskakujemy, powoli sunąc naprzód. Chciałam wydać okrzyk radości, ale się powstrzymałam. Wiedziałam, że Robyn, Lee, Kevin i Fi obserwują nas z oddali. Zastanawiałam się, czy wiwatują, czy może są zbyt wystraszeni. Nie rozmawialiśmy o osłonie ogniowej, ale byłam pewna, że mieli obrzyny w pogotowiu. Gdybym wcześniej o tym wspomniała, straciłabym twarz, ale teraz modliłam się, żeby trzymali lufy wymierzone prosto w ciężarówkę.

Podróż do portu w Zatoce Szewca była niewygodna i nieprzyjemna. Oczywiście nie widzieliśmy zakrętów, więc każdy z nich był dla nas zaskoczeniem. Oparliśmy się o worki z nawozem, żeby trochę mniej nami rzucało. Daleko im było do poduszek powietrznych, ale w zasadzie zdały egzamin. Nie sposób było zgadnąć, jak daleko jesteśmy ani ile jeszcze zostało nam drogi. Myślałam, że dotarliśmy do zatoki jakieś dziesięć minut przed tym, zanim naprawdę to nastąpiło. Zdążyłam nawet sobie wmówić, że popełniliśmy fatalny błąd i kontener wcale nie jedzie do Zatoki Szewca - że wylądujemy w jakimś dalekim mieście i nawet nie będziemy wiedzieli, gdzie jesteśmy.

Ciężarówka zwolniła i usłyszałam, jak kierowca redukuje bieg, gdy po raz pierwszy wyjechaliśmy na prostą drogę. Potem pojazd zakołysał się i zatrzymał. Tak bardzo zaschło mi w ustach, że nie byłam w stanie ich zamknąć. Musiałam wyglądać jak ryba: w suchej trumnie rozpaczliwie łąpałam powietrze, lecz byłam zbyt spanikowana, żeby normalnie oddychać. Czułam pustkę w głowie. Chyba nie potrafiłam już myśleć. Słyszałam głosy i warkot silnika, ale te dźwięki straciły dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Siedziałam i czekałam, aż coś się wydarzy. Po chwili się doczekałam: znowu ruszyliśmy naprzód i znowu sunęliśmy prostą, równą drogą. Skręciliśmy w prawo, potem w lewo, a potem podskakiwaliśmy na regularnych

wybojach, jakby samochód jechał po torach kolejowych.

- Jesteśmy na nabrzeżu - szepnął do mnie Homer.

Jego głos był tak nieoczekiwany, że natychmiast przywrócił mi zdolność myślenia. Zdałam sobie sprawę, że ma rację: nagle znaleźliśmy się tak blisko celu, że aż zapierało nam dech. Nawet nie zauważyłam, kiedy wjechaliśmy bramą obok wartownika, który tak bardzo mnie wcześniej przerażał.

Po szoku wywołanym tą szybką zmianą sytuacji przez trzy godziny nic się nie działo. Czas płynął bardzo powoli. Siedzieliśmy w milczeniu, pot płynął mi z twarzy i szczypał w oczy. Kark, pachy i pachwiny coraz bardziej mi dokuczały: były swędzące i mokre. Czułam, że włosy wbijają mi się w skórę. Oczywiście nic nie mogliśmy na to poradzić. Byliśmy zdani na łaskę żołnierzy. Tylko co z nami będzie, jeśli postanowią przetrzymać nas na nabrzeżu przez tydzień? Mój umysł nadal nie pracował wystarczająco dobrze, by rozważyć jakiegokolwiek możliwości. Chyba w głębi duszy czułam, że musielibyśmy się wydostać, skoczyć z mola i popłynąć. Za każdym razem, kiedy pozwalałam sobie na myślenie o wodzie, ogarniało mnie tak rozpaczliwe pragnienie napicia się, że musiałam siłą tłumić je innymi obrazami. Pragnienie okazało się najgorsze ze wszystkiego, spychało na dalszy plan nawet niebezpieczeństwo postrzału.

Głuche uderzenie o dach było pierwszym znakiem, że coś się zmienia. Gruchnęło tak mocno, że podskoczyłam wystraszona, zduszając krzyk. Myślałam, że za chwilę coś wpadnie przez dach. Spojrzałam na Homera i zobaczyłam ciemny zarys jego ciała. Był równie wystraszony jak ja i patrzył na cienki płat metalu nad naszymi głowami, który nadal drżał od niedawnego uderzenia.

Unieśliśmy się i wtedy cicho krzyknęłam. Strasznie dziwnie było sunąć w powietrzu i lekko się przy tym kołysać. Kontener przechylał się i kolebał. Spojrzałam na Homera. Zobaczyłam błysk jego zębów, kiedy się uśmiechnął, ale nawet w tak słabym świetle widziałam, że to wymuszony uśmiech, który najprawdopodobniej miał na celu powstrzymanie szczekania zębami. Odpowiedziałam mu uśmiechem, równie sztucznym. Bałam się, że zwymiotuję od tego kołysania poprzedzonego wyboistą drogą przez góry i długim oczekiwaniem w upale. Mogliśmy być metr albo i sto metrów nad ziemią - nie sposób było tego stwierdzić. Nie wiedziałam nawet, czy nadal się unosimy, czy może opadamy.

I nagle z jasnego światła wpadliśmy prosto w wielki mrok. Zrobiło się ciemno i zimno. Przez jedną głupią chwilę myślałam, że trafiliśmy do piekła.

## 14

Tym razem mocno złapałam Homera. Na zewnątrz panowała cisza, która w połączeniu z nagłym zimnem sprawiła, że poczułam się nie jak w piekle, lecz jak w chłodni. Chwilę wcześniej kontener znieruchomiał, wylądowawszy twardo na ziemi. Coś hałaśliwego i ciężkiego przesunęło się po dachu i zniknęło. Nadal ściskałam Homera, który w końcu odsunął się, żeby wyrzeć przez wąską szparę w ścianie kontenera. Już wcześniej próbowaliśmy coś w ten sposób zobaczyć, ale przekonaliśmy się jedynie, że mocno świeci słońce. Szczeliny były po prostu zbyt wąskie. Teraz Homer przez dłuższą chwilę był pochłonięty patrzeniem, ale nie wydaje mi się, żeby cokolwiek zobaczył. Nie było nic, co mogłoby nam podpowiedzieć, co się dzieje - nic oprócz ciszy w naszym grobie.

Siedzieliśmy tak przez następne półtorej godziny. Szybko zaczęliśmy marznąć i już wkrótce mimowolnie dygotaliśmy. Po gwałtownych atakach silnych drgawek wracałam do normalnych dreszczy, które jednak ani na chwilę nie ustawały. Były to oczywiście codzienne problemy: strach i zimno. Powinnam była już do nich przywyknąć.

W ciągu tej półtorej godziny nie dobiegł nas żaden dźwięk i osiągnęłam stan, w którym uznałam, że musimy coś zrobić, bo inaczej nie zdołamy się ruszyć. Zimno w zasadzie nie zmniejszyło mojego pragnienia, ale pomyślałam, że odrobina wysiłku fizycznego mogłaby odwrócić uwagę, chociaż wiedziałam, że po takim treningu nie mogę liczyć na butelkę zimnej pepsi. Podeszłam do Homera i dotknęłam jego łokcia, a potem szepnęłam:

- Pójdę się rozejrzeć.

Nie odpowiedział, więc uznałam, że się zgadza, i zaczęłam przełazić przez worki z nawozem. Podeszłam do drzwi i zdrętwiałymi palcami pogmerałam przy rączce. Gdy ją przekreśliłam, głośno skrzypnęła. Czekałam z walącym sercem. Nic się nie stało, więc przekreśliłam rączkę do końca, aż przestała stawiać opór. Potem zaczęłam ją opuszczać. Jeden skrzypiący centymetr po drugim. Nie oglądałam się za siebie, ale czułam napięcie Homera. W końcu zasuwa ustąpiła z ostatnim zgrzytem. Pochyliłam się nad nią, oparłam czoło o zimny metal i zamknęłam oczy, trzymając drążek obiema rękami, żeby drzwi nie mogły się gwałtownie otworzyć. Za chwilę mieliśmy wyjść w nieznane. To mogły być ostatnie chwile naszego życia.

- Jeszcze nie - mruknął mi do ucha Homer.

Odczekałam następne trzy, cztery minuty i dopiero wtedy uchyliłam wysokie drzwi.

Przecisnęłam się przez jak najwęższą szczelinę i znalazłam się w dużej ciemnej przestrzeni wypełnionej takimi samymi kontenerami jak nasz. Lekkie kołysanie pod nogami - w kontenerze nieodczuwalne - uświadomiło mi, że naprawdę jesteśmy na statku. Słyszałam skrzypienie i zgrzytanie stalowego kadłuba. Rozejrzałam się z niedowierzaniem. Zamierzaliśmy to wszystko zniszczyć. Gdybyśmy osiągnęli ten cel, nasze niewinne blaszane pudło zmieniłoby się w potężną bombę i w ciągu kilku godzin cały ten majdan wylądowałby na dnie morza.

Wzięłam głęboki oddech i zrobiłam krok do przodu. W ładowni unosił się taki zapach, jakby świeże powietrze nigdy tu nie docierało. Woń oleju napędowego mieszała się z zapachem soli, lin, farby i środków dezynfekujących. Nie było to przyjemne, ale tak właśnie wyobrażałam sobie zapach statku. Przynajmniej różnił się od saletrowej woni kontenera.

Co do jednego mieliśmy pewność: w ładowni nikogo nie było. Właz nad nami został zamknięty i nie słyszeliśmy niczych głosów ani nie wyczuwaliśmy niczyjej obecności. Odwróciłam się do Homera i w końcu mogłam go lepiej zobaczyć.

- Co o tym myślisz? - zapytałam.

- Szykujmy się. Przygotujmy to tak, żeby wystarczyło potrzebę zapalną, a gdy tylko zapadnie noc, podpalimy lont i wyjdziemy.

- Dobra. Boże, chętnie bym się czegoś napiła.

- Ja też. Nie mogę uwierzyć, że nie zabraliśmy wody.

Wróciliśmy do kontenera, przymknęliśmy drzwi i wzięliśmy się do pracy, by z zimną krwią przygotować największą broń, o jakiej kiedykolwiek nam się śniło. Czułam się jednak dziwnie: robiłam to wszystko, nawet nie myśląc o bombach. Równie dobrze mogłabym szykować paszę dla młodych owiec w domu. Nie mieliśmy dużo roboty. Rozcięliśmy worki i wysypaliśmy ich zawartość, żeby mogła nasiąknąć olejem, a potem przesunęliśmy beczki i wylaliśmy olej. Kevin obliczył, że trzeba to robić w proporcji wagowej sześć do stu. Rozlaliśmy olej na nawozie. Zupełnie jakbyśmy szykowali sałatkę. Zanurzyłam rękę w proszku i podniosłam garść. Małe żółte granulki były tłuste, ale nie przemoczone. Wyglądały jak trzeba.

Woń oleju napędowego robiła się coraz bardziej nieprzyjemna. Starłam się nie zwracać na nią uwagi. Zaczęłam przygotowywać lont i detonator. Homer się przyglądał. Musiałam skonstruować małą bombę, która odpali tę większą. Wykorzystałam kawałek rurki, którą znaleźliśmy na farmie: wypełniłam ją ANFO i detonatorem. Musiałam ścisnąć końcówkę, co było dość niebezpieczne. Nie udało nam się znaleźć specjalnych kombinerek,

których powinniśmy byli użyć według instrukcji Kevina, więc musieliśmy się zadowolić zwykłymi. Problem polegał na tym, że jedna iskra mogła wywołać eksplozję. Musiałam być cholernie ostrożna. Bardzo delikatnie poruszałam kombinerkami i co dziesięć sekund wycierałam dłonie, żeby pozbyć się potu, od którego zaczynały się ślizgać. Chodziło o to, żeby nie stuknąć kombinerkami w rurkę. Z pustą rurką to byłaby łatwizna.

W końcu się udało. Potem nie mieliśmy już nic więcej do roboty. Dlatego zatrzasnęliśmy drzwi kontenera, znaleźliśmy róg ładowni, położyliśmy się i czekaliśmy. Opierałam się o Homera, a on obejmował mnie ramieniem. Żadne z nas się nie odzywało. Wtulona w jego silne ciało, poczułam się dobrze i nawet na chwilę przysnęłam. W którymś momencie Homer wyciągnął nasz prowiant: opakowanie połamanych herbatników Morning Coffee, zwietrzałych i rozmiękłych, oraz dwie paczki żelków: cytrynowych i ananasowych.

Pozwolił mi wybrać, więc wybrałam ananasowe.

Wadą takiego lunchu było to, że zwiększył moje pragnienie do rozpaczliwego poziomu. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym i im bardziej myślałam o picciu, tym gorzej się czułam. Zastanawiałam się, czy nie można by się napić oleju napędowego i bardzo żałowałam, że cały zapas wykorzystaliśmy do skonstruowania bomby. Moje usta były gorące i suche, a język wydawał się ogromny i gruby. Nawet mówienie sprawiało mi problem, ale i tak nie mieliśmy już o czym rozmawiać. Znowu oparłam się o żebra Homera, czując jak unoszą się i opadają z każdym oddechem, i próbowałam zmusić się do zaśnięcia siłą woli. Potrafiłam jednak tylko marzyć o wieczorze.

Stopniowo, z odmóżdżającą powolnością, mijała godzina za godziną. Mniej więcej o wpół do szóstej - według starego, nakręcanego i zawodnego zegarka Homera - zaczęliśmy się niecierpliwić. Powietrze jeszcze bardziej się wychłodziło, więc doszliśmy do wniosku, że niedługo zapadnie zmrok. Oszacowaliśmy, że lont będzie się palił od dwudziestu do dwudziestu pięciu minut, więc margines błędu był niewielki. Znaleźliśmy wyjście z ładowni: stalową drabinę, która pięła się w ciemności ku metalowej klapie. Oczywiście nie był to główny wjazd, ale mniejszy, przeznaczony dla ludzi. Chyba korzystali z niego marynarze na morzu, kiedy chcieli zajrzeć do ładunku. Homer ostrożnie wszedł po drabinie i szturchnął klapę. Podniosła się. Zatem wyglądało na to, że wyjście z ładowni nie nastreczy problemów. Problemem mogło być to, co zastaniemy na zewnątrz.

Zegarek Homera wskazał siódmą. Czas na ABC News, pomyślałam. To był jeden z naszych rodzinnych rytuałów. Tata codziennie musiał obejrzeć ABC News. Teraz nie było już ABC News - za to nadeszła pora, by wysadzić w powietrze statek w Zatoce Szewca. Nasze życie dość mocno się zmieniło.

- I jak? - zapytał Homera, czując suchość w spierzchniętych ustach i na spuchniętym języku.

Homer wyglądał równie okropnie jak ja.

- Dłużej tego nie wytrzymam - powiedział. - Do roboty.

Było znacznie wcześniej, niż zaplanowaliśmy, ale całkowicie zgadzałam się z Homerem, więc można uznać, że podjęliśmy tę decyzję jednomyślnie.

Wróciliśmy do kontenera. Czułam się dziwnie. Jakbym nic nie ważyła i unosiła się w powietrzu.

- Gotowa? - zapytał Homer.

Pokiwałam głową.

- Byłoby śmiesznie, gdybyśmy zapomnieli zapalek - szepnęłam.

Homer się nie roześmiał. Stał przy drzwiach kontenera, a ja rozwijałam lont.

- Nie ma sensu, żebyśmy oboje tu czekali - powiedziałam. - Wejdz po drabinie i przygotuj klapę.

Oddalił się posłusznie, a ja wyjęłam pudełko i wybrałam zapalną. Musiałam ją potrzeć kilka razy, zanim w końcu się zapaliła, a potem poraził mnie nagły blask płomienia.

- No to jazda - powiedziałam na głos, ale zaczekałam, aż płomień trochę urośnie i dopiero wtedy zbliżyłam go do lontu.

Ogień był już przy moich palcach i zanim przeszedł na lont, lekko sparzył mi opuszki. Szybko zgasiałam zapalną i stałam wpatrzona w płomień, upewniając się, że lont nie zgaśnie. Palił się. Pobiełam do drabiny.

W ładowni było chłodno, ale kiedy Homer lekko uniósł klapę, nocne powietrze wydało nam się naprawdę lodowate. Byliśmy lekko ubrani - w szorty i koszulki - więc nic nas nie chroniło przed chłodem.

- Gotowa? - zapytał Homer, opuszczając klapę z powrotem.

Staliśmy ściśnięci na górze drabiny, trzymając stopy na tym samym szczebelku. Pokiwałam głową. Nie mogłam tego widzieć, ale domyśliłam się odpowiedzi.

- Prosto do barierki po lewej stronie, a potem do wody - szepnął.

- Na bakburtę - powiedziałam, ale chyba tego nie usłyszał.

Jeszcze raz podniósł klapę, a ja znowu zadrżałam w zetknięciu z zimnym, nieprzyjaznym powietrzem, które szybko wpadło do środka. Zobaczyłam ciemne niebo. Nie świeciła ani jedna gwiazda. Homer już prawie wystawił głowę na zewnątrz i ostrożnie się rozglądał. Mogłam jedynie przycupnąć za nim i czekać. Nienawidziłam takiej bezsilności, takiego uzależnienia od drugiej osoby. Denerwowałam się, że tak długo to trwa, że tak długo

zwlekamy w tej ogromnej tykającej bombie zegarowej. Ale nagle Homer ruszył. Ruszył tak szybko, że przez chwilę myślałam, że ktoś pociągnął go w górę za kołnierz. Ale nie, miał własny napęd. Przekonałam się o tym, gdy ruszyłam za nim. Przebiegł przez pokład i schował się za stalowym masztem. Najostrożniej, jak umiałam, zamknęłam klapę, nienawidząc go za to, że zostawił tę robotę na mojej głowie, a potem do niego dołączyłam, próbując zyskać orientację w terenie. Gdzie był przód statku, a gdzie tył? A właściwie dziób i rufa czy jak je tam zwą. Spojrzałam w prawo - na sterburtę - i zobaczyłam długi szeroki pokład zwężający się i niknący w ciemności. Więc przynajmniej wiedziałam, gdzie jestem. Nadal jednak dzieliła nas spora odległość od bocznej barierki. Homer ruszył biegiem, a ja od razu popędziłam za nim, kierując się jednak nieco w bok, ku innej części barierki.

Byliśmy już w połowie drogi i właśnie wtedy zaczęły się kłopoty.

Czując okropny ucisk w żołądku, zobaczyłam, że nagle z lewej strony wychodzi wartownik z karabinem na plecach. Szedł szybko wzdłuż barierki. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. Homer zobaczył wartownika ułamek sekundy później, ale ten już go dostrzegł. Mężczyzna poruszał się z zadziwiająco szybkością. Obróciwszy się tyłem do barierki, zaczął zdejmować karabin. Skupiał wzrok na Homerze, ale to ja byłam bliżej. Biegiem ruszyłam w jego stronę. Bardzo szybko podnosił karabin i myślałam, że strzeli mi z bliska w brzuch. Ostatnie trzy metry pokonałam szaleńczym susem, nie mając zielonego pojęcia, co za chwilę zrobię, pragnąc jedynie powstrzymać tego żołnierza od pociągnięcia za spust. Ostatecznie rąbnęłam go z bańki gdzieś pomiędzy klatką piersiową a brzuchem. Poczułam twarde ciało, zabolęła mnie głowa i szyja, ale przede wszystkim doznałam ulgi, bo żołnierz runął do tyłu. Nie zdążył strzelić. Czułam, jak spada, ale ku mojemu przerażeniu leciałam razem z nim. Zdałam sobie sprawę, że obydwójce wypadamy za barierkę. Spanikowana machałam rękami, próbując się od niego odsunąć. Lecieliśmy i lecieliśmy. Nie mogłam uwierzyć, że tak długo to trwa. Jak wysoki był ten statek? Pomyślałam, że być może stoimy w suchym doku i za chwilę wyląduję na stali i na betonie.

Usłyszałam zdławiony krzyk i zrozumiałam, że wydobywa się on z gardła żołnierza. Potem tuż obok mojej głowy padła seria pocisków. Wyleciały z jego karabinu, chyba przez przypadek. Ten dźwięk kompletnie mnie ogłuszył. Potem uderzyliśmy o taflę wody. Była twarda jak beton. Rąbnęłam w nią ramieniem i pomyślałam, że chyba złamałam obojczyk. Od wartownika dzielił mnie jakiś metr. Instynktownie obróciłam się i odpłynęłam w bok, żeby zwiększyć tę odległość. Kiedy wypłynęłam na powierzchnię, zobaczyłam, jak mniej więcej piętnaście metrów dalej do wody wskakuje idealnie wyprostowany Homer. Drań - pomyślałam, zazdroszcząc mu tak łatwej przeprawy. Niezdarnie popłynęłam w jego stronę,



rozglądając się w poszukiwaniu żołnierza, którego jednak nigdzie nie było widać. Może od razu utonął. Może przez przypadek się zastrzelił. A może płynął pod wodą, by za chwilę wynurzyć się tuż przede mną.

Ból w ramieniu zaczął ustępować, ale nadal bolała mnie szyja. Gdy zbliżyłam się do Homera na odległość dwóch metrów, na wodzie po lewej stronie nagle pojawiła się bryzgająca, spieniona linia. Pomyślałam o rekinach.

- Co to? - krzyknęłam do Homera.

Wydawał się równie wstrząśnięty i zaskoczony jak ja. Potem wykonał dziwny ruch i gwałtownie szarpnął głowę do tyłu, jakbym dała mu w twarz.

- Kule! - wrzasnął.

Jego głos w moich przytkanych wodą uszach wydawał się niewyraźny i stłumiony. Rozejrzałam się, ogarnięta paniką. Czyżby żołnierz się wynurzył? Strzela do nas? Nie, przecież to niemożliwe.

- Nurkuj! - krzyknął Homer i zniknął.

Zaczerpnęłam powietrza i zanurkowałam, a potem płynęłam coraz niżej i niżej, aż rozboleły mnie uszy. Wtedy zdałam sobie sprawę z czegoś, co właściwie było oczywiste: że kule sypią się z pokładu statku albo z nabrzeża. Płynęłam najszybciej, jak mogłam, nie zważając na ból szyi, ale nie byłam w stanie rozwinąć zbyt wielkiej prędkości. Brakowało mi powietrza, ścisnęło mnie w piersi i kurczył mi się żołądek. Musiałam się wynurzyć. Zrobiłam to: wychyliłam głowę na nocne zimne powietrze i chrapliwie łapiąc powietrze, szybko się rozejrzałam. Nikogo nie widziałam: ani żołnierza, ani Homera. Nic nie słyszałam. Potem zauważyłam jaskrawe światło. Wznosiło się ku niebu. Z nabrzeża startował helikopter, który zmierzał w moim kierunku. Nie marnowali czasu. Tymczasem następny rząd rozbryzgów dziesięć metrów po mojej prawej dowiódł, że kule nadal się sypią, nawet jeśli tego nie słyszę. Słyszałam za to helikopter i widziałam, jak gruby snop światła z jego podwozia przesuwają się w moją stronę. Zakląłam i znowu zanurkowałam. Nie było czasu szukać Homera. Musiałam uciekać. Za piętnaście minut miał wybuchnąć statek i przebywanie w jego pobliżu było cholernie niebezpieczne. Znowu płynęłam najszybciej, jak umiałam, wynurzając się dopiero wtedy, kiedy z mojego ciała ulotniła się ostatnia molekula powietrza. Czułam, że jeśli zostanie pod powierzchnią choćby sekundę dłużej, wciągnę w płuca wodę.

Widziałam biel reflektora w morzu i unikałam jej, ale helikopter był dokładnie nad moją głową i obniżał lot, gwałtownie młóćąc wodę. Powstawały przez to fale i było mi jeszcze zimniej. Złapałam powietrze, zadrżałam z przerażenia, zaczerpnęłam tchu i znowu zanurkowałam. Odkryłam w sobie dodatkowe pokłady energii i mogłam się przemieszczać

szybciej, ale nie przypominało to pływania w basenie w Wirrawee. Miałam wrażenie, że nasiąkam wodą i nie płynę tak szybko, jak bym chciała. Moja energia uciekała w różnych kierunkach: martwiłam się o eksplozję, martwiłam się o Homera, byłam przerażona kulami i śmigłowcem, a w dodatku próbowałam płynąć. Masakra. Może gdybyśmy więcej jedli i pili, miałabym trochę siły.

Wynurzyłam się jeszcze raz, z dala od światła helikoptera, i spojrzałam na statek. Wzdłuż barierki stali żołnierze z karabinami wymierzonymi w wodę. Jeden z nich mnie zobaczył, krzyknął i pokazał palcem. Byłam w szoku, bo myślałam, że w ciemności jestem niewidoczna. Światło reflektora odbijało się jednak w powierzchni wody. Lufa żołnierza zwróciła się w moją stronę, więc szybko głęboko zanurkowałam. Pomyślałam, że pewnie założą, że będę chciała się od nich oddalić, więc zawróciłam w stronę statku z nadzieją, że do eksplozji pozostało jeszcze sporo czasu. Światło z helikoptera przesunęło się po wodzie i ominęło mnie. Padało prawie pionowo, więc wiedziałam, że śmigłowiec jest bardzo blisko. Zawróciłam jeszcze raz i skierowałam się w stronę sterburty statku, a potem szybko zaczerpnęłam powietrza i popłynęłam przez zatokę, w nadziei, że ich zgubiłam. „Gazu, Ellie - błagałam się w myślach. - Płyn szybciej, nie przejmuj się bólem”. Wiedziałam, że brakuje czasu na opracowanie strategii: tamto nagłe zawrócenie było moim ostatnim pomysłem. Doszłam do wniosku, że jeśli teraz mnie zobaczą, to trudno. Musiałam po prostu jak najbardziej oddalić się od statku, zanim nastąpi wybuch.

Ponuro parlałam naprzód. Po przepłynięciu jakichś osiemdziesięciu metrów o mało nie straciłam głowy. Wynurzałam się na powierzchnię, czując, jak eksplodują mi płuca, bo w ciele nie została już ani odrobina powietrza, a wtedy ogromny, szary kształt z warkotem przeorał wodę zaledwie kilka metrów przede mną. Znowu jak głupia pomyślałam, że to rekin, ale poruszając się z taką prędkością, pobiłby chyba rekini rekord świata. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to kadłub łodzi, prawdopodobnie wojskowej i uzbrojonej. Gdyby przepłynęła trochę bliżej, naprawdę urwałaby mi głowę. Wywołana przez nią fala uderzyła we mnie i odrzuciła do tyłu. Zaczerpnęłam powietrza, ale połowa z niego okazała się wodą. Kątem oka zauważyłam następne reflektory, a potem obróciłam się i znów zanurkowałam. Nie widziałam żadnej wyraźnej drogi prowadzącej na drugą stronę zatoki, ale czułam, że muszę płynąć w tamtym kierunku, choćby nie wiem co. Wiedziałam, że jeśli Kevin miał rację co do mocy naszej bomby, w chwili jej wybuchu powinnam być już na brzegu, i to dość głęboko w lesie. Wątpiłam, żeby mogło mi się to udać - straciłam zbyt dużo czasu - musiałam jednak odpłynąć jak najdalej. Oczami wyobraźni widziałam, jak tamten kontener coraz bardziej wypełnia się tlenem, jak lont niczym wąż powoli ku niemu pełźnie i jak następuje potężny wybuch, od

którego dzieliły mnie już tylko chwile.

Wtedy pomogło mi i równocześnie przeszkodziło coś innego, na co wcześniej nie liczyłam. Jakaś siła przypominająca cichą, niewidoczną podwodną falę, uderzyła we mnie i pociągnęła do przodu. Nie mogłam płynąć ani z nią, ani pod prąd - była zbyt potężna. Z początku pomyślałam, że wybuchł statek i to jest fala uderzeniowa. Turlałam się w wodzie jak plastikowa reklamówka w czasie burzy. Machałam rękami i nogami, usiłując odzyskać trochę kontroli, ale mi się nie udawało. Zapomniałam o oddychaniu, lecz na szczęście pozostało mi wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by spróbować wypłynąć na powierzchnię. Nie miałam pojęcia, jak mi się to udało: nagle zdałam sobie sprawę, że wypłynęłam na górę i leżę na wodzie, łapiąc powietrze i popłakując. Czułam się dziwnie, byłam całkiem zdrtwiała i oszołomiona. Kołysząc się na falach, kątem oka zauważyłam statek, który wydawał się ogromny i całkowicie bezpieczny. Nie wyglądał, jakby przed chwilą wyleciał w powietrze.

Obok mnie znowu rozprysła się spieniona woda. Znowu posypały się kule, zaledwie parę metrów dalej. Ostry, zimny podmuch, który wywołały, przywrócił mi zmysły. Przekręciłam się na brzuch i zanurkowałam. Nie miałam siły, żeby zejść głęboko, ale przynajmniej ruszyłam w odpowiednim kierunku, w stronę zalesionego brzegu. Poczułam uderzenie w plecy, jakby ktoś zdzielił mnie kijem albo kamieniem, ale płynęłam dalej.

Szary kadłub znowu przemknął obok, tym razem po prawej, trochę dalej niż poprzednio. Pomyślałam, że pewnie wrzucają do wody bomby, granaty albo coś w tym stylu. Może ładunki głębinowe. Gdy ponownie się wynurzyłam, zaryzykowałam i szybko się rozejrzałam. Wyglądało na to, że szuka nas tylko jedna łódź patrolowa, która w dodatku odwróciła się do mnie tyłem. Helikopter wściekle ryczał nad wodą sto metrów po mojej prawej stronie. W świetle jego reflektora widać było każdą białą plamkę, każdą szarozieloną zmarszczkę na wodzie. Miałam nadzieję, że nie znaleźli Homera. Znowu spojrzałam na kontenerowiec i zobaczyłam, że nie widać żadnych oznak eksplozji. Statek wyglądał bardzo spokojnie. Po raz pierwszy poczułam jednak, że robię postępy. Brzeg wprawdzie się nie przybliżał, ale statek był już dość daleko. Z przykrością zauważyłam, że stoi tam samotnie. Tankowiec musiał już opuścić port. Ta krótka obserwacja stała się dla mnie jednak zachętą, której potrzebowałam, żeby ponownie podjąć wysiłek. Przeplłynęłam kraulem dwadzieścia metrów, a potem znowu głęboko zanurkowałam. Czułam tępy ból w plecach, ale to mnie nie spowalniało. Największym problemem była szyja, nadwyrężona w starciu z piersią wartownika na statku.

Teraz najbardziej bałam się rekinów. Jeśli krwawiłam - co wydawało się całkiem

prawdopodobne - mogłam przyciągnąć rekiny jak łąjno muchy. Jak na ironię helikopter i ścigająca mnie łódź patrolowa były najlepszą gwarancją, że rekiny będą się trzymały z daleka. Coś tak głośnego, wielkiego i obcego z pewnością przerażało rekiny równie mocno jak mnie. Kurczowo trzymałam się tej ponurej nadziei, prac do przodu w lekko wzburzonej wodzie.

Płynęłam na zmianę kraulem i pod wodą. Byłam zbyt zmęczona, żeby cały czas nurkować. Kiedy znowu usłyszałam za sobą warkot łodzi, zanurkowałam najgłębiej, jak mogłam. Tym razem fala pozostawiona za łodzią nie była aż tak silna: musiała przepłynąć dalej niż poprzednio.

Wynurzyłam się, drżąc z zimna, wyczerpania i strachu. Przewróciłam się na plecy i znowu spojrzałam w stronę kontenerowca z nadzieją, że będzie już wystarczająco daleko, bym poczuła się bezpiecznie i znalazła w sobie siłę pozwalającą dopłynąć do brzegu. Przez chwilę nie widziałam statku, bo zbliżała się do mnie fala. Po chwili woda mnie uniosła, zapewniając idealny widok. Zobaczyłam statek i helikopter, który wykonywał zwrot nad rufą i najwidoczniej szykował się do kolejnej rundki nad wodą w poszukiwaniu uciekinierów.

Dokładnie w tym momencie statek najzwyczajniej wyskoczył z oceanu. W jednej milisekundzie był na wodzie, a w drugiej już w powietrzu. Wyglądał tak, jakby na chwilę zawisł w górze, a potem zobaczyłam, że jego burta zaczyna się rozrywać. Wtedy pojawiło się światło: ogromne jaskrawe światło przypominające fosforyzujący kwiat - tak białe i oślepiające, że zabolowały mnie oczy. Na chwilę noc stała się najjaśniejszym dniem. Uderzył we mnie potworny hałas, trzask przypominający strzelenie z największego bata we wszechświecie. Miałam wrażenie, że niebo pęka. Tak jakby ten trzask wibrował w moim ciele. Zupełnie jak na koncercie w Wirrawee, kiedy stałam tuż obok głośników i czułam, że moje ciało dudni muzyką.

Milion spadających gwiazd - niektóre wielkie - leciało we wszystkich kierunkach. Nie mogłam uwierzyć, że potrafią się wzbić aż tak wysoko. Kilka z nich ze świstem przemknęło mi nad głową, a potem z sykiem wpadło do oceanu. Inne poszybowały w powietrze.

Rozległ się paskudny pomruk, jakby morze miało za chwilę wyrzygać swoje najciemniejsze sekrety. Potem trzask, który trwał w nieskończoność. Drzewa, brzeg, woda - wszystko zdawało się kołysać, jakby następowało jakieś totalne przemeblowanie. Przerazona otworzyłam usta. Coś przykuło mój wzrok - było wysoko, prawie poza zasięgiem wzroku. Uniosłam głowę. To helikopter wirował pod niebem. Wyglądał jak ogromna osa uderzona rozpylonym raidem. Leciła i leciła, wrzeszcząc jak umęczona dusza. Dźwięk był tak przenikliwy, że słyszałam go mimo huku eksplozji. Śmigłowiec nie wyglądał, jakby wzbił się bardzo wysoko, ale musiał być naprawdę daleko w górze, bo spadał całe wieki. Obracał się w

powietrzu chyba z trzy razy, aż stało się jasne, że z tego nie wyjdzie, że już nigdy nie odzyska sterowności. Potem uderzył w tafłę oceanu, wywołując natychmiastowy wulkan białej wody. Nie widziałam, co się dzieje w środku tego wulkanu. Woda trysnęła bardzo wysoko, a potem opadała w zwolnionym tempie. Gdy w końcu opadła, niczego nie było widać - jedynie ogromne, gwałtowne wrzenie białej piany. Huk eksplodującego statku był niesamowicie głośny. Przetaczał się po Zatoce Szewca. Z przerażeniem spojrzałam w prawo, oczekując widoku wzgórz osuwających się do morza i końca całego świata. Ciemne góry stały jednak dalej i najwyraźniej się nie poruszyły. Tylko one jedne.

Potem moim oczom ukazał się najbardziej przerażający widok. Kiedy znowu spojrzałam na miejsce, gdzie cumował statek, niczego nie zobaczyłam. Jakby jakiś olbrzymi pędzel umoczony w szarej farbie nagle wszystko zamalował. Dopiero ułamek sekundy później zdałam sobie sprawę, co to takiego. Żałuję, że straciłam ten ułamek sekundy. Powinnam była go wykorzystać, żeby się przygotować, żeby mieć czas zrobić unik, żeby się obronić. Pędziła na mnie fala tak wielka, że zadrżałam ze strachu, czekając, aż mnie zmiażdży. Wysysała spode mnie wodę, przeobrażając się w olbrzymią płynną ścianę. Gdy wzniosła się nade mną, przysłoniła nawet niebo. Wiem, że wrzasnęłam: poczułam, jak otwieram usta i moje gardło napręży się z wysiłku, żeby wydać potężny krzyk, ale do moich uszu nie dotarł nawet jego ślad. Uniosło mnie jak kawałek starego wodorostu, jak dryfujące drewno, i fala cisnęła mną z taką siłą, jakbym jechała rozpędzonym samochodem. Byłam pewna, że ta dzika siła roztrzaska mnie na drzazgi z kości i mięsa. Czułam się jak w bębnie rozszalałej pralki - niekontrolowanej pralki, która trzęsie się tak mocno, że za chwilę rozpadnie się na części. Jakbym siedziała na najbardziej rozwścieczonej wywrotce świata. Jakby każda wysoka fala, jaką w życiu widziałam, została powiększona tysiąc razy. Nie wiem, jak łąpałam powietrze. W płucach nie zostało mi go już chyba ani trochę, ale na dobiegający z nich ból nie zwracałam uwagi, bo całym moim ciałem rzucało i trzęsło to mokre tornado. O dziwo, znalazłam czas na jedną przytomną myśl, która - co jeszcze dziwniejsze - okazała się czymś w rodzaju żartu. Pomyślałam: „No, przynajmniej nie znajdą mnie teraz rekiny”. Na szczęście nie odważyłam się roześmiać.

Potem fala uderzyła w brzeg. Ziemia wytrzymała. Fala nie. Rozprysła się na skałach, drzewach i piasku. Poczułam, jak uderzam biodrem o dno, potem podskoczyłam, uderzyłam jeszcze raz, przeturlałam się kawałek, uderzyłam ponownie, tym razem tyłem głowy, przeorałam ziemię, żwir czy coś w tym rodzaju, rąbnęłam jeszcze o coś bolącym kolaniem, a potem turlałam się i turlałam, obijając się o wszystko, co napotkałam po drodze. Byłam głucha, ślepa i chyba miałam wstrząs mózgu. Wokół słyszałam wibracje i trzaski eksplozji,

ale nie byłam pewna, czy rozlegają się naprawdę, czy tylko w mojej głowie. Leżałam i myślałam, że chyba umarłam.

# 15

Czułam się tak, jakby każdy centymetr mojego ciała został obity pałkami. Bolało mnie tak wiele miejsc, że nie wiedziałam, nad którą częścią mojego organizmu użalać się na pierwszym miejscu. Gdy zdałam sobie sprawę, że nadal żyję, podźwignęłam się na czworaka, a potem złapałam się pnia małego drzewa, żeby stanąć na nogach. Trzymałam się go, modląc się o odrobinę siły. O brzeg za moimi plecami uderzała fala za falą. Minęło dużo czasu, zanim morze zaczęło się uspokajać. Wtedy znowu byłam już na czworaka, bo stanie wywoływało mdłości i zawroty głowy. Nawet przez chwilę nie myślałam o tym, co zrobiliśmy. To wydawało się nieprawdziwe i nieważne. Mogłam się skupić jedynie na przetrwaniu następnej chwili, następnej minuty. Nie byłam w stanie powiedzieć, gdzie jestem: po prostu znalazłam się gdzieś na brzegu Zatoki Szewca, prawdopodobnie kilka kilometrów od Baloney Creek, nad którym ja i Homer mieliśmy się spotkać z resztą. Nie myślałam jednak o Homerze. Mógł żyć, mógł zginąć albo znajdować się gdzieś między życiem a śmiercią, ale teraz nie mogłam nic dla niego zrobić.

Mój umysł nie chciał pracować: nic nie miało sensu. Wiedziałam tylko, że strasznie chce mi się pić, że jest mi potwornie zimno i że nie wytrzymuję z bólu. Niedaleko usłyszałam bulgotanie wody, które brzmiało zupełnie inaczej niż huk fal przy brzegu, więc popęzłam w tamtą stronę. Kiedy jednak znalazłam mały strumyk i zanurzyłam w nim twarz, poczułam jedynie sól. Najwidoczniej został zalany przez ogromną falę, którą wywołaliśmy z Homerem.

Jeszcze raz spróbowałam się podnieść i tym razem było już lepiej. Zaczęłam się zastanawiać, jak wielkie jest ryzyko, że znajdą mnie żołnierze, ale pomyślałam, że prawdopodobnie będą zbyt zajęci na nabrzeżu - o ile coś z niego jeszcze zostało, a to było raczej niemożliwe. Pragnienie pchnęło mnie naprzód. Zrobiłam parę niepewnych kroków, próbując ocenić, która noga jest w lepszym stanie. Obie były obolałe, ale lewa miała przynajmniej sprawne kolano. Opierając się na niej, pokuśtykałam do lasu na wzgórzu.

Nie wiem, gdzie się snułam tamtej nocy. W końcu znalazłam trochę wody pitnej i choć była lodowata, położyłam się i w nieskończoność zanurzałam w niej twarz. Piłam jak pies, chlepcząc hałaśliwie i łapczywie, kaszląc, gdy połknęłam za dużo, ale pijąc jeszcze więcej, zanim atak kaszlu zdążył na dobre ustać. Potem przez chwilę ślaniałam się na nogach, trzymając głowę obiema rękami i pragnąc, żeby przestała mnie boleć. Miałam wystarczająco

roзумu, by wiedzieć, że nie powinnam się zatrzymywać i kłaść w mokrym ubraniu, więc szłam, dopóki trochę nie przeszło, a potem położyłam się i drżałam. Nie mogłam zasnąć. Większość czasu upłynęła mi na bolesnych próbach zmiany pozycji na wygodniejszą. Na twardej ziemi rozboleły mnie biodra. Prawdopodobnie kilka razy na chwilę przysnęłam, ale nie jestem tego pewna.

Najostrożniej, jak umiałam, pomacałam się po plecach. Były obolałe, ale nie odkryłam żadnych ran. Wyglądało na to, że nie trafiła mnie żadna kula, więc miałam o jedno zmartwienie mniej.

Jakiś czas przed świtem ruszyłam dalej. Nie zastanawiałam się, dokąd iść - moim jedynym celem było oddalić się jak najbardziej od Zatoki Szewca. Rozsądna decyzja, biorąc pod uwagę zamieszanie, które pewnie tam teraz panowało. W którymś momencie przeszłam na drugą stronę drogi, ale nie wpadłam na to, by ją wykorzystać jako punkt orientacyjny umożliwiający dotarcie do miejsca naszego spotkania. Tak bardzo bałam się iść drogą, że szybko przekuśtykałam na drugą stronę i wbiegłam w gęstszy las.

Po krótkim odpoczynku ból głowy trochę zelżał, ale czułam inną palącą potrzebę. Byłam rozpaczliwie głodna, tak bardzo, że z głodu kręciło mi się w głowie. Bez jedzenia nie potrafiłam wykrzesać z siebie energii, która by mnie napędzała. Gdy zrobiło się jaśniej, zaczęłam szukać czegoś - czegokolwiek - czym mogłabym się pożywić. Znalazłam kilka późnych jeżyn - były smutne, pomarszczone i małe, ale i tak je zjadłam. Próbowалам sobie przypomnieć programy o leśnym jedzeniu, puszczone czasami w telewizji, ale wspomnienia uleciały i żadna z napotkanych roślin nie wydawała mi się jadalna.

Wtedy coś zwróciło moją uwagę: dźwięk, z którym zaznajomiłam się w ciągu ostatnich miesięcy. Pulsujący warkot podobny do odgłosów wydawanych przez olbrzymią kosiarkę do trawy albo mikser. Terkotanie następnego helikoptera, następnego paskudnego drapieżnego ptaka, który szuka ofiary. Byłam jak królik pod jego nienawistnym śmigłem i gdyby mnie złapał, zginęłabym jak królik. Kiedy go usłyszałam, byłam akurat na kawałku otwartej przestrzeni, więc popędziłam jak szalona do drzewa, biegnąc mimo sinego kolana, szarpającej kostki i obolałych stóp. Wskoczyłam pod drzewo dokładnie w sekundzie, w której nad polaną ukazał się ogromny śmigłowiec. Jego szklany przód przypominał olbrzymie oko - cała maszyna była jak oko, które patrzy we wszystkich kierunkach i wszystko widzi. Leżałam wśród liści i błota, modląc się, żeby to oko odleciało, żeby mnie nie zauważyło. Przypomniałam sobie, jak podobny śmigłowiec krążył nad domem Corrie i później zniszczył go jednym pociskiem. Zdałam sobie sprawę, że z łatwością mogliby mnie zabić. Wystarczyło rzucić bombę na polanę. Zamknęłam oczy i napięłam każdy mięsień, ściskając dłońmi dwie



kępki trawy. Serce waliło mi jak niewyważone łopaty wiatraka. Wywołana podmuchem zamieć z liści i piasku kęsała moje nagie nogi i ręce, szalejąc wokół. Nigdy wcześniej nie byłam aż tak bezradna. Wiedziałam, że jeśli się poruszę, zginę, a jeśli się nie poruszę, mogą mnie zastrzelić z powietrza, bez żadnej walki. Myśl o takiej śmierci budziła we mnie szczególne obrzydzenie.

Miałam nadzieję, że liście wirujące nad polaną mnie osłonią, ukryją przed tym wielkim wybałuszonym okiem. Usłyszałam, że maszyna lekko się odsuwa, a potem gwałtownie odbija w bok, nad linią drzew po mojej lewej stronie. Drzewa zniekształciły dźwięk silnika, który stał się cichszy, mniej groźny. Warkot ciągle się jednak zmieniał. Leżałam, próbując zgadnąć, co się dzieje, próbując przejrzeć zamiary fruwającego potwora. Przenikliwy ochrypły hałas cichł, lecz nie wiedziałam, co to znaczy, dopóki spomiędzy drzew nie dmuchnął na mnie następny wichur z liści. Helikopter lądował - oto, co się działo! Dzielił mnie od niego jedynie rząd rzadkich drzew. Rząd drzew i może z pięćdziesiąt metrów.

Doszłam do wniosku, że mnie zauważyli i dlatego lądują. Może uznali, że jestem tylko martwym ciałem leżącym twarzą w dół. Nadeszła pora, by przestać planować każdy ruch. Pobiegłam. Biegłam pochylona, ale poruszałam się szybko. Kierowałam się ku zaroślom, od których dzieliło mnie zaledwie trzydzieści metrów, ale miałam wrażenie, że to co najmniej kilometr. Nawet gdy pozostał mi już tylko jeden krok, nadal nie wierzyłam, że uda mi się tam dobiec. Wpadłam w zarośla, potknęłam się o pień, sturlałam się bokiem z wysokiej pochyłości i skręciłam ku następnym krzakom, myśląc, że chyba jednak mam szansę. Wiedziałam, że tutaj mnie nie zobaczą. Wiedziałam również, że w tym środowisku jestem bardziej zdomowiona niż ktokolwiek z nich.

Za moimi plecami rozległ się krzyk i tupot, ale nikt nie strzelał. Znowu skręciłam i przeskoczyłam przez mały strumyk, czując rozbudzony na nowo ból w całym ciele. Miałam przed sobą małe wzniesienie. Wbiegłam na nie, znowu widoczna ze wszystkich stron, łączywie oddychając czystym, dobrym powietrzem. Gdy dotarłam na górę, przez chwilę mieli mnie jak na dłoni. Wiedziałam, że mnie widzą, ale nic nie mogłam na to poradzić. Szybkość wydawała się ważniejsza niż cokolwiek innego. Pokładałam głupią wiarę w moich obolałych nogach, zgnębionym ciele, ufając, że mnie stąd wydostaną. Na szczycie wzgórza przykucnęłam, słysząc następne krzyki, lecz równocześnie rozglądałam się w poszukiwaniu dobrej drogi ucieczki. Najlepsza prowadziła chyba między drzewami po prawej stronie, więc ruszyłam w lewo, jeszcze raz dochodząc do wniosku, że muszę działać nieprzewidywalnie. Były tam skały i królicze nory, które jakimś cudem udało mi się ominąć. Pokonałam następny pagórek i dotarłam do starego ogrodzenia, chybotliwego i zardzewiałego, ale zrobionego z

drutu kolczastego. Łkając i dysząc, próbowałam przejść na drugą stronę, ale słupki były zbyt stare i nie chciały stać prosto. Rozciąłam prawą rękę o drut. W końcu postanowiłam, że muszę przejść przez to ogrodzenie, choćby nie wiem co, więc przeturlałam się po drucie i niezdarnie wylądowałam po drugiej stronie. Drut trzymał mnie za koszulę. Zaczęłam ją szarpać jak szalona i oderwała się od drutu, wydając dźwięk przypominający rzep.

Gdy wstałam, po raz pierwszy zobaczyłam ścigających mnie żołnierzy. Na horyzoncie ukazała się kobieta. Była w mundurze, trzymała karabin i niespokojnie się rozglądała. Nawet z tej odległości widziałam pot na jej twarzy. Dołączył do niej drugi żołnierz - mężczyzna albo kobieta, nie jestem pewna - i wtedy obydwójce mnie zobaczyli. Zawołali pozostałych, a ja znowu zaczęłam uciekać. Miałam nadzieję, że ogrodzenie ich zatrzyma. Popędziłam w dół osuwającego się żlebu, modląc się, żeby nie wdepnąć w żadną dziurę. Gdybym się potknęła, to byłby koniec. W żlebie był mały zbiornik z wodą. Okrążyłam go i wbiegłam w gęsty zagajnik eukaliptusów, licząc na to, że trochę mnie osłonią. Za nim rosła wysoka trawa. Pokonałam w niej zaledwie kilka metrów i o mało nie umarłam na skutek szoku. Gdziekolwiek spojrzełam, widziałam wielkie postacie, które wynurzały się z trawy, zrywając się na równe nogi. Wysokie szare postacie, które wpadały w panikę. Pomyślałam: „To koniec”. Potem zdałam sobie sprawę, że to kangury, które zażywały tu porannej drzemki. Teraz, równie przerażone mną jak ja nimi, rozbiegały się na wszystkie strony, pędząc ku drzewom i pozostawiając za sobą ugniecioną trawę. Poczułam tak wielką ulgę, że prawie się roześmiałam.

Jakimś cudem dodało mi to sił. Pobiegłam szybciej. Pomagał mi też lekki wietrzyk, który dmuchał mi w plecy. Pomyślałam o organizowanych w szkole biegach przełajowych i o tym, że nigdy nie byłam w nich zbyt dobra. Gdybym wystartowała teraz, na pewno bym wygrała. Dobiegłam do następnego ogrodzenia i pokonałam je na sposób mięczaków, przełaząc pod spodem. Z tyłu znowu dobiegły mnie okrzyki, które prawdopodobnie oznaczały, że żołnierze natknęli się na kangury. Potem wbiegłam w następny zagajnik. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam chatkę, niedokończony drewniany domek bez okien i drzwi, pokryty blaszanym dachem. Obok niej stała przyczepa kempingowa, stara i połatana, rozpaczliwie domagająca się warstwy świeżej farby. Zignorowałam ją i pobiegłam dalej, szukając drogi ucieczki, bezpiecznego szlaku, który pozwoli mi umknąć tej sforcie ludzi. Nie widziałam jednak żadnych możliwości. Od chatki biegła dróżka prowadząca do bramy. Pobiegłam nią, ale wiedziałam, że nie mogę długo się jej trzymać. To była śmiertelna pułapka. Na szczęście brama była nowa i mocna, więc mogłam z łatwością przejść na drugą stronę. Zrobiłam to, zawahałam się, a potem, znów słysząc żołnierzy, postanowiłam pobiec w

prawo. Musieli być blisko, pewnie dotarli już do chatki. Usłyszałam samolot, który leciał bardzo nisko, i zaczęłam pocić się jeszcze bardziej, czując, jak pętla szybko zaciska mi się na szyi. Wyglądało na to, że nie szczędzą środków, żeby mnie dopaść. Gdy tak biegłam, warkot robił się coraz głośniejszy, jakby samolot leciał prosto na mnie. I rzeczywiście, nagle ukazał się tuż przede mną: srebrnoszary odrzutowiec. Leciał bardzo nisko. Zakłęłam i już prawie pobiegłam w bok, żeby od niego uciec, ale w tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że postąpiłabym głupio, bo przecież lecąc z tak wielką prędkością, nie miałoby czasu do mnie strzelić. Samolot zignorował mnie i z hukiem śmignął tuż nad moją głową. Wtedy spojrzałam w górę i zobaczyłam charakterystyczną czerwoną kropkę na białym tle, otoczoną niebieskim kołem. Omal nie krzyknęłam z radości. Była jeszcze nadzieja! Przybyli nasi przyjaciele! Nie przegraliśmy! Jeszcze nie przegraliśmy!

Zaledwie chwilę później usłyszałam okropnie głośny świst, a potem głuchy łoskot. Poświęciłam kilka sekund, by zerknąć przez ramię. Nie miałam pojęcia, co zobaczę. Gdzieś daleko w lesie coś płonęło. Ogromna chmura czarnego dymu, wykrzywiona przez wietrzyk lekko w moją stronę, szybko wzbijała się w powietrze. Za nią widać było samolot: zrobił ostry przechył i piął się w górę, nawet nie draśnięty. Ogarnęła mnie dzika radość i zrozumiałam, co się stało. Samolot zniszczył łatwy cel: stojący na polanie helikopter. Śmigłowiec nie miał najmniejszych szans. Był to cudowny, niespodziewany triumf.

Biegłam i biegłam, a samolot zrobił następny przechył i zniknął w oddali. Biegłam jeszcze przez dziesięć minut. Przez cały ten czas nie słyszałam już żadnych głosów. Pomyślałam, że jestem bezpieczna, że atak na helikopter powstrzymał pogoń. W końcu nadeszła chwila, gdy musiałam się zatrzymać, bez względu na to, czy mnie ścigano, czy nie. Moje płuca zaczęły żyć własnym życiem: charczały, świszczały i rozpaczliwie łapały powietrze. Nogi uginały się pode mną, a kolano bolało tak, jakby składało się z odłamków kości. Spojrzałam w dół i zdziwiłam się, widząc, jak bardzo spuchło. Zwolniłam. Chwiejnym krokiem podeszłam do drzewa i upadłam za jego pniem z nadzieją, że mnie ukryje. Leżałam i jęczałam. Znowu czułam skurcze żołądka i nie mogłam oddychać. Naprawdę myślałam, że tym razem umrę, w dodatku w strasznych męczarniach.

Kiedy jednak mijała minuta za minutą, a żołnierze się nie zjawiali, zaczęłam powoli wracać do siebie. Urocze uczucie. Przeżyłam. Nie miałam jedzenia ani picia, moje ciało było wrakiem, zgubiłam przyjaciół, ale jak na razie udało mi się przetrwać.

## 16

Głód to ciekawy stan. Dzieli się na etapy. Najpierw człowiek jest tak głodny, że myśli, że zemdleje. Żołądek staje się jedną wielką pustą lodówką: światło działa, drzwi są otwarte, ale w środku nic nie ma. Potem ten etap mija i robi się lepiej. Przestajesz się skupiać na jedzeniu, a na myśl o nim robi ci się trochę niedobrze. W tej fazie można jako tako funkcjonować.

Szłam długo, unikając otwartych przestrzeni, dróg zwykłych i pożarowych. Trzymałam się najgęstszych zarośli, próbując być niewidzialna nie tylko z ziemi, lecz także z powietrza. Ta konieczność nieustannej koncentracji męczyła mnie jeszcze bardziej.

Gdy człowiek zgubi się w lesie, powinien wrócić do ostatniego znajomego punktu i zacząć od początku. Od dzieciństwa wbijano mi to do głowy. Nie byłam jednak w stanie tego zrobić, bo nie wiedziałam, gdzie jest ostatni znajomy punkt. A jeśli nawet, to było nim nabrzeże w Zatoce Szewca. Mogłabym tam wrócić, ale czy żołnierze pożyczyliby mi wtedy mapę i kompas? Wątpię.

Dlatego po prostu szłam przed siebie, mimo że mój marsz szybko przerodził się w kuśtykanie - i to bardzo powolne. Szukałam jakiegoś znajomego miejsca. Umówiliśmy się wszyscy przy mostku na Baloney Creek, na drodze z wyrębu, która odchodziła od głównej drogi w Zatoce Szewca. Było to dobre miejsce do wędkowania, znane wielu mieszkańcom Wirrawee, ale teraz nie miałam pojęcia, gdzie może być ten strumyk i ta droga. Od rana przekroczyłam wiele strumyków - niektóre były dość szerokie - ale brakowało przy nich małych tabliczek z nazwami.

Gdy słońce weszło wyżej, wczółgałam się w zaciszne, osłonięte pnączami miejsce pod skarpą i zasnęłam. Jak na zimową porę słońce świeciło dość mocno. W ostatnich latach często zdarzały się ciepłe zimy. Długi marsz sprawił, że byłam nieprzyjemnie zgrzana i lepka, ale wołałam to niż deszcz i zimny wiatr.

Spałam tylko pół godziny, lecz leżałam w tej jamie znacznie dłużej, bo byłam zbyt zmęczona, żeby się poruszyć. Ruszałam się tylko po to, by znów przesunąć się na słońce, bo w cieniu bardzo szybko robiło się chłodno. Oparłam się o drzewo i usiadłam, patrząc ze zniecierpliwieniem na spuchnięte kolano. Oprócz zmożenia chusteczki w zimnej wodzie i obwiązania go niewiele mogłam zrobić. Żałowałam, że nie mam żadnych przyjaciół Aborygenów: oni na pewno znaleźliby w lesie lekarstwo pod najbliższym drzewem i

wyleczyli mnie raz-dwa. Albo mieliby w kieszeni paczkę panadolu. Zadowolilyby mnie oba rozwiazania.

Próbowałam iść dalej, ale okazało się, że zimny kompres był dla mojego kolana pocałunkiem śmierci: w ogóle odmówiło współpracy. Zaczęłam sobie uświadamiać, że chyba lepiej byłoby spędzić noc tutaj. Miejsce nie było zbyt interesujące ani atrakcyjne, ale od biedy się nadawało. Poświęciłam resztkę energii na wygodne ułożenie się na ziemi. Zaostrzonym kamieniem wykopałam dół, w którym mogłam się ulokować, i zerwałam pnącza, żeby się przykryć i trochę rozgrzać. Nie wiem, jaka to była roślina, ale wokół rosnęło jej mnóstwo i dość łatwo dała się ściągnąć z drzew. Drzewa prawdopodobnie były mi wdzięczne - wiele z nich wyglądało tak, jakby za chwilę miało się udławić. Miałam jedynie nadzieję, że pnącza nie wywołają jakiegoś uczulenia.

Mniej więcej sto metrów dalej płynął strumyk, więc podreptałam tam jak kaczka i napiłam się. Dno porastała zielona roślina, którą zawsze nazywaliśmy sałatą wodną. Wyglądała nieszkodliwie, więc zjadłam kilka liści, dochodząc do wniosku, że jeśli nie umrę po nich w nocy, rano spróbuję zjeść trochę więcej. Sałata nie miała smaku: przypominała zwykłą sałatę, którą tak długo moczono w wodzie, że wypłukał się cały aromat. I pewnie właśnie tak działał na nią strumyk.

Robiło się ciemno. Wieczór trwał tu krótko. Wróciłam na swoje leśne posłanie i usiadłam na warstwie pnączy, snując głębokie myśli o życiu i próbując nie wpaść w depresję. „Masz wiele powodów do dumy - tłumaczyłam sobie. - Zniszczyłaś ogromny kontenerowiec i sądząc po wielkości eksplozji, prawdopodobnie także molo. Rozwaliłaś jeden helikopter i pośrednio przyczyniłaś się do zniszczenia drugiego. Założę się, że tamten samolot został wysłany, żeby ocenić zniszczenia w zatoce, a śmigłowiec wylądował przez ciebie. Więc to taki bonus. Walczyłaś zacieklej, niż ktokolwiek mógłby pomyśleć, przypuszczać albo oczekiwać. Nie powinnaś się tak paskudnie czuć”.

Żaden z tych argumentów nie powstrzymał jednak powolnego, lecz niechybnego osuwania się w depresję. Strasznie za wszystkimi tęskniłam. Za Homerem z jego siłą, zdolnościami przywódczymi i myśleniem strategicznym; za Fi z jej odwagą i gracją; za Kevinem i nową energią, którą wniósł do naszej małej grupki; za Robyn z jej mądrością i dobrocią; za Lee i jego seksownym ciałem... Ups, skąd się to wzięło? Myślałam, że na dobre wyleczyłam się z Lee. Mimo to nadal był przystojnym facetem...

Najbardziej brakowało mi jednak mamy i taty. W głębi duszy Ellie, twarda wojowniczką z lasu, była jak pięciolatka, która czeka, aż ktoś opatuli ją kołderką, przeczyta bajeczkę i ucałuje na dobranoc. Najmilsze chwile, które w dzieciństwie przeżyłam z tatą,

wydarzyły się właśnie wtedy, kiedy czytał mi bajki na dobranoc. Kładł się obok na łóżku i otwierał książkę, a potem zwykle zasypiał. Oczywiście często pracowaliśmy razem na farmie, ale wtedy zawsze wydawał się spięty. Gdy cielę uciekło z zagrody, pies rozgonił stado owiec albo padało w czasie strzyżenia, tata strasznie się wściekał. Leciały wtedy potoki przekleństw. Robił się czerwony, złorzeczył na owce, na psa, na rząd, na całe rolnictwo, na niebo, a nawet na mnie, jeśli byłam wystarczająco głupia, aby wejść mu w drogę. Mama martwiła się o jego nadciśnienie i mówiła mi, że jego ojciec padł martwy w wieku czterdziestu pięciu lat w trakcie wymiany opony w traktorze. Bała się, że z tatą będzie podobnie. Tak naprawdę nigdy nie chciałam, żeby mi o tym opowiadała - a mimo to w pewnym sensie lubiłam tego słuchać. Czułam się jak dorosła, jakbyśmy rozmawiały jak równa z równą.

Bycie jedynaczką ma chyba jedną zaletę. Rodzice naprawdę traktują cię jak równoprawnego członka rodziny. W każdym razie czasami. Bo chwilami tata traktował mnie jak pięciolatkę. Kiedyś zostawiłam otwartą bramę na Cooperze (to nasze największe pastwisko) i stado pasących się tam pokrytych owiec powędrowało na One Tree (inne pastwisko), gdzie wymieszało się ze stadem niepokrytych owiec. Tata dostał wtedy szału. Myślałam, że mnie uderzy. Mama musiała wkroczyć do akcji i mnie ratować. Nie mam do niego pretensji: to było strasznie głupie z mojej strony. Ale zachował się tak, jakby nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu. A przecież to nie ja spryskałam randapem maliny mamy, kiedy chciała zasilić je nawozem.

W którymś momencie małżeństwa mama doszła do wniosku, że pozostanie przy zdrowych zmysłach, tylko jeśli przestanie się przejmować humorami taty. Robiła wszystko, co robią żony rolników w tej części świata - i w zasadzie robiła to lepiej niż większość z nich - ale nie stwarzała wrażenia, że nie widzi w życiu niczego poza tym, tak jak panie Mackenzie i Brogan. Mama miała do tego dystans. Takie życie często po prostu ją bawiło. Kiedy na przykład pani Mackenzie wygrała konkurs na najlepszy dżem na festiwalu w Wirrawee, mama bardzo się ucieszyła i mówiła o tym całymi tygodniami. Gdy sama zdobyła nagrodę za najlepszy biszkopt, lekko się uśmiechnęła i w ogóle nie skomentowała tego publicznie. Za to po powrocie do domu śmiała się i świętowała. Raz tańczyła ze mną po całej kuchni.

Miała co do takiego życia mieszane uczucia - i chyba właśnie dlatego zachowywała się w ten sposób. Może przyczyna tkwiła w tym, że pochodziła z miasta. Jej ojciec był księgowym i przez całe życie nie wychylała nosa z miasta, aż pewnego dnia przyjaciółka namówiła ją na wiejską imprezę w Motteram. Przyjaciółka miała pikapa, więc pojechały nim, bo uznały, że dzięki temu lepiej wtopią się w tłum. W trakcie imprezy tata, który był pewnie pijany jak bela, wytoczył się z sali w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się

przespać. Oczywiście nigdy się nie przyznał, że był pijany jak bela. Tłumaczył, że miał za sobą długi, ciężki dzień znakowania jagniąt. W każdym razie zwinął się w kłębek na pace pikapa koleżanki mamy, przykrył się plandeką i zasnął. Gdy się obudził, była już dziesiąta rano, a on leżał na pace pikapa, który był już trzysta kilometrów od Motteram i jechał sto kilometrów na godzinę. Musiał zapukać w tylną szybę, żeby dziewczyny zwróciły na niego uwagę - dopiero wtedy odkryły, że mają pasażera. Wyobrażam sobie, jaki przeżyły szok, kiedy usłyszały to pukanie i odwróciwszy się, ujrzały przekrwione oczy gapiące się na nie przez szybę.

Cztery miesiące później moi rodzice byli już małżeństwem. Tata miał dwadzieścia trzy lata. Mamie brakowało trzech tygodni do dziewiętnastych urodzin.

Ja przyszłam na świat dopiero osiem lat później. Myślę, że mama miała jakieś problemy z zajściem w ciążę, ale nigdy o to nie pytałam. Lepiej nie wnikać w niektóre sprawy rodziców.

Od początku kochałam ziemię. Nie wiem, czy tata pragnął syna - większość gospodarstw wokół Wirrawee prowadzą mężczyźni, którzy przekazują je synom - ale nigdy nie dał mi tego odczuć. Pewnego razu jakiś facet na targach w Wirrawee rozmawiał z tatą i nie zważając na to, że stoję obok, powiedział: „Gdybym miał córki, nie pozwoliłbym im pracować przy bydle”. Tata spojrzał na mnie. Czekałam, zastanawiając się, jak zareaguje. W końcu powiedział: „Nie wiem, co bym bez niej zrobił”. Poczzerwieniałam z dumy. To był najlepszy komplement, jaki kiedykolwiek mi powiedział. Miałam wtedy dziewięć lat.

Nie twierdzę, że wiejskie życie sprawiało mi nieustanną radość. Kiedy tata wpadał w zły nastrój, przebywanie w domu było niezbyt przyjemne. Niektórych prac nie lubiłam, na przykład wycinania wełny z owczych tyłków - trzeba być stukniętym, żeby to lubić. Nie lubiłam także karmienia młodych owiec w zimne poranki, rąbania drewna na rozpałkę i rozpalania w kuchni, ponownego podpinania psów do łańcuchów po tym, jak biegały wolno, znajdowania myszy w łóżku podczas inwazji tych gryzoni oraz pajaków w kaloszach kilka minut po włożeniu tych kaloszy na nogi.

Najlepszą porą roku była zdecydowanie pora strzyżenia. Mieliśmy tylko małą szopę, zaledwie dwa stanowiska, i kiedy musieliśmy zacisnąć pasa, tata często strzygł owce własnoręcznie. Z robotnikami było weselej, ale ich brak też mi nie przeszkadzał. Gdy tylko osiągnęłam odpowiedni wiek, zostałam pomocniczką. To była wielka chwila w moim życiu. Następna wielka chwila nadeszła, gdy miałam wystarczająco dużo siły, by rzucić runo na stół rzeczoznawcy. Ostatnio klasyfikacją wełny także zajmował się tata. Chciałam się tego nauczyć. Po ukończeniu szkoły zamierzałam pójść na specjalny kurs.

Uwielbiałam atmosferę w szopie do strzyżenia. Owce stłoczone w zagrodach. Psy, które zdyszane leżały w cieniu, obserwując je jasnymi oczami w nadziei, że ktoś znowu krzyknie, by otoczyły stado i zapędziły je na sąsiednie podwórze albo z powrotem na pastwisko. Uwielbiałam oleistą powierzchnię stołu do klasyfikacji, delikatną biel runa, ciche pobekiwanie czekających owiec. Z dumą patrzyłam na bele oznakowane naszym logo, które jechały ciężarówką na sprzedaż. Wiedziałam, że przemierzą pół świata, a potem zmienią się w cudowne ciepłe ubrania noszone przez ludzi z miasta, których nigdy nie poznam. Nawet naprawdę twardzi hodowcy - tacy, w których jest tyle poezji co w skale osadowej - mieli do strzyżenia emocjonalny stosunek. Kiedyś tato oglądał w żurnalach mamy zdjęcia modelek w ubraniach z wełny i na jego twarzy malowało się coś w rodzaju zdumienia, jakby nie mógł uwierzyć, że nasze wielkie, ciężkie runa mogą dotrzeć tak daleko i zmienić się w tak piękne rzeczy. Wirrawee dzieliła daleka droga od Paryża, Rzymu i Tokio.

Nie chcę jednak, żeby ktoś uznał mojego tatę za wiejskiego kmiota, których pełno w naszym regionie. Kiedy mama postanowiła poszerzyć horyzonty, on cały czas ją wspierał. Ukończyła kurs wyceny dzieł sztuki, potem kurs historii średniowiecza, a następnie uczyła się mandaryńskiego. Zapisała się do grupy oratorskiej w mieście. Tata był z niej naprawdę dumny i chwalił się wszystkim, jaką ma mądrą żonę. Niektórzy farmerzy kręcili nosami, kiedy ich żony jeździły do miasta częściej niż raz w tygodniu. Gdy pani Slater zaoferowano pracę na pół etatu w charakterze doradcy podatkowego w Community Services, jej mąż się nie zgodził. Mój tata był zatem dość odważny, skoro potrafił stać przed swoimi kolegami i słuchać dowcipów o swojej żonie feministce.

Muszę przyznać, że pod pewnymi względami jesteśmy w Wirrawee trochę zacofani.

Mimo tych wszystkich zainteresowań moja mama najlepiej czuła się w swojej kuchni. To było ciepłe serce naszego domu i chyba po prostu je lubiła. Kuchnia stała się jej terytorium, w którym sprawowała niepodzielną władzę. Była dobrą, twórczą kucharką i nigdy nie trzymała się przepisu. Tu dodała szczyptę bazylii, tam kilka kropel tabasco i chyba do wszystkiego dolewała solidny chlup wina. Jakimś cudem to zawsze zdawało egzamin. Nie przypominam sobie żadnych kulinarnych porażek, z wyjątkiem jednej, kiedy w dniu moich dwunastych urodzin posypała tort solą zamiast cukrem pudrem. W kuchni radziła sobie tak dobrze, że trochę mnie onieśmiała. Ja trzymałam się najprostszych potraw: jajecznicy, kotletów jagnięcych, makaronu i ciasteczek owsianych.

Nigdy nie wątpiłam, że pewnego dnia to ja zacznę prowadzić farmę. Ani razu o tym nie rozmawialiśmy, ale chyba wszyscy uważaliśmy, że to oczywiste. Nie wiedziałam tylko, jak zdołam nakłonić tatę, żeby nie łąził za mną przez dwadzieścia następnych lat, mówiąc mi,



co mam robić.

Tamtej nocy, kiedy leżałam pod matą z pnączy i czekałam, aż upłyną długie samotne godziny, to wszystko było dla mnie jednak jak film. Mogłam przywołać tamte chwile, ale miałam wrażenie, że przydarzyły się innym ludziom, szczęśliwym ludziom w jakimś nieistniejącym świecie na wielkim ekranie. Wydawały się nierealne. Płakałam tak długo, aż w końcu zasnęłam, lecz nie był to zdrowy sen. Czułam się samotna, wystraszona i zagubiona, a do rana pozostało jeszcze dużo czasu.

## 17

Rano powrócił głód. Kręciło mi się w głowie i miałam mdłości. Kiedy usiadłam, myślałam, że zemdleję. Wszystko mnie bolało: kolano było w złym stanie, ale oprócz niego czułam wiele innych źródeł bólu, głównie po spaniu na zimnym i niewygodnym podłożu.

Nadal przerażała mnie jednak myśl, że zostanę wytropiona i pojmana, więc zmusiłam się, żeby wstać. Pokuśtykałam na polanę i spojrzałam na wzgórze. Leżąc w ciemności, opracowałam taktykę - musiałam dotrzeć do najwyższego punktu i zobaczyć, gdzie jestem. Potem mogłam dotrzeć tam, dokąd szłam.

Oczywiście miałam teraz dodatkowe zmartwienie, bo nie wiedziałam, czy u celu zastanę resztę. Mogli zostać pojmani albo zabici. Mogli dać za wygraną i odejść. Postąpiliśmy głupio, nie obmyślając alternatywnych scenariuszy, które zazwyczaj przygotowywaliśmy przed takimi spotkaniami. Chyba zakładaliśmy, że Homer i ja wpłyniemy prosto do strumienia, pobrodzimy w nim, a potem staniemy naprzeciw Robyn i pozostałych. Nie uwzględniliśmy żadnych przeszkód. Poza tym mieliśmy mnóstwo spraw na głowie i wszystko działo się w zawrotnym tempie.

W moich myślach ciągle pojawiali się Burke i Wills z podręczników historii. Chorzy i wygłodniali dotarli nad Cooper Creek po przemierzeniu całego kontynentu, a wtedy zobaczyli, że ich towarzysze dali za wygraną i odeszli siedem godzin wcześniej. Dla Burke'a i jego kumpla to był wyrok śmierci. Bałam się, że mnie spotka podobny los.

Dreptałam naprzód, aż moje ciało przełączyło się na coś w rodzaju trybu pracy. Słońce jeszcze nie weszło, co oznaczało, że ziemia była bardzo wyiębiona, a przez to szło mi się jeszcze trudniej. W końcu wsadziłam dłonie pod pachy i ściskając się, żeby było cieplej, ruszyłam przed siebie z pochyloną głową i przymkniętymi oczami dla ochrony przez okrutnym ostrym wietrzykiem.

Kiedy już zaczęłam iść, przez jakiś czas było całkiem niezłe. Skurcze głodowe znowu ustąpiły, a wzgórze okazało się niezbyt strome. Wkurzające było to, że idąc, cały czas musiałam się rozglądać. Miałam nadzieję, że usłyszę żołnierzy, zanim oni usłyszą mnie, ale raczej nie mogłam na to liczyć. Nawigacja nie była trudnym zadaniem: wiedziałam, że dopóki idę pod górę, idę w dobrym kierunku.

Wkrótce dostrzegłam poważny problem. Im wyżej wchodziłam, tym słabszą miałam

osłonę. Drzewa się przerzedziły i napotykałam coraz więcej skał, wychodni tak trudnych do pokonania i tak nagich, że pewnie można mnie było zobaczyć z odległości wielu kilometrów. Brakowało mi już sił do dalszej wspinaczki, nie wspominając o ciągłym ukrywaniu się. Zaniebdywanie tego elementu ucieczki nie było jednak mądre. Jęknęłam, parę razy zakląłam, z wysiłkiem odgarnęłam włosy z oczu i skręciłam w prawo, gdzie rosło więcej drzew. To wydłużyło drogę o jakieś dwadzieścia minut.

Dotarłam na szczyt okropnie spocona. Od wschodu słońca minęło już parę godzin. Dzień nie był zbyt ciepły, ale ta powolna i zmusna wspinaczka skutecznie mnie rozgrzewała. Żałowałam, że ciągle muszę się przejmować samolotami i żołnierzami, i choć nieustannie się rozglądałam, robiłam to w zasadzie odruchowo: prawie zapomniałam, czego szukam.

Na szczycie wzgórza ktoś ułożył mały kopczyk z kamieni. Trudno było powiedzieć, po co to zrobił, ale na widok tej sterty przynajmniej dotarło do mnie, że jestem na wierzchołku. Ominęłam kamienie i poszłam dalej, kryjąc się w cieniu drzew. Wtedy w końcu mogłam spojrzeć w dół.

Przede mną rozciągała się Zatoka Szewca. A w oddali, za przylądkami, widać było błękitny piękny ocean. Zapraǳnęłam tam być, odpłynąć. Kochałam swój kraj, ale ostatnio nie był szczęśliwym miejscem. Nie wiedziałam, z czyjej winy zrobiło się w nim tak duszno - przez najeźdźców, przez naszych polityków albo i przez nas, zwykłych ludzi, którzy niewystarczająco się nim interesowali - ale byłam zbyt wyczerpana walką o przetrwanie, aby nadal się nim cieszyć. Mogłam podziwiać piękno wybrzeża, ale chciałam od niego odpocząć.

Spojrzałam odrobinę w prawo. Kiedy zobaczyłam port, szybko usiadłam i głośno wciągnęłam powietrze. Patrzyłam na nabrzeże, a raczej na to, co z niego zostało. Po raz pierwszy oglądałam skutki jednego z naszych ataków tuż po akcji. Poza tym widziałam tylko most w Wirrawee, ale to było całe wieki temu i zobaczyłam go dopiero po jakimś czasie, więc trudno było uwierzyć, że to nasze dzieło. Przypominał raczej jakieś archeologiczne ruiny.

Na nabrzeżu w zatoce panował prawdziwy chaos. Statek, który wysadziliśmy, zniknął bez śladu. Nabrzeże straciło środkową część, a reszta była czarna i zwęglona. Żaden odcinek nie był wystarczająco szeroki, by mógł tamtędy przejechać choćby samochód osobowy. Wyglądało na to, że konstrukcja zajęła się ogniem i spłonęła. Dwa dźwigi leżały przewrócone na bok jak patyczaki. Inna duża jednostka pływająca nadal cumowała przy zniszczonym nabrzeżu, ale spłonął jej cały pokład i statek do połowy utonął. Praktycznie zmienił się w dryfujący kadłub. Nie zanosiło się na to, żeby w najbliższym czasie mógł gdzieś popłynąć.

Za nabrzeżem spłonęło parę hektarów lasu. Wyglądało to tak, jakby ktoś przeszedł tamtędy z olbrzymią podkaszarką.

Nic dziwnego, że nowozelandzki samolot mógł sobie latać do woli. Nie zostało tu nic, czego warto by bronić.

Był to najwspanialszy widok, jaki kiedykolwiek stanął przed moimi oczami. Dodał mi energii, cudownej energii. Miałam ochotę tańczyć, śpiewać i krzyżeć. Nawet jeśli do końca tej okropnej wojny nie kiwnęlibyśmy palcem, moglibyśmy powiedzieć, że dokonaliśmy czegoś wielkiego. Nie tylko zaszkożdziliśmy wrogowi w naszym małym Wirrawee, lecz także zadaliśmy mu cios, który poważnie zmniejszył jego szanse na przejęcie naszego kraju.

Odwróciłam się w lewo i wyteżyłam wzrok. Wkrótce zobaczyłam to, czego szukałam: następną czarną plamę spalonego lasu, brązowe zwęglone korony drzew. Pośrodku tego wszystkiego stał powykręcany metalowy wrak helikoptera - jego czarny szkielet. Patrząc na niego, uśmiechnęłam się okrutnie. Powtórzyłam sobie w myślach, że to też po części moja zasługa. Boże, naprawdę dużo zżdziałaliśmy.

Siedziałam z uśmiechem na twarzy. Przez chwilę pozwoliłam sobie cieszyć się tym, co osiągnęliśmy. Zapomniałam o głodzie, o strachu i bólu. Myślę, że w tamtej chwili wcale bym się nie przejęła, gdyby mnie pojмали. Wiedziałam, że wiele razy los nam sprzyjał - przede wszystkim na początku, kiedy ominął nas pierwszy dzień inwazji i nie zostaliśmy schwytani - ale wykorzystaliśmy ten los najlepiej, jak się dało, nie zawiedliśmy naszych rodzin i przyjaciół. Zrobiliśmy dobry użytek z naszej wolności.

Po prawej stronie w końcu zobaczyłam Baloney Creek, nad którym postanowiliśmy się spotkać. Nie dostrzegłam tam żadnego znaku życia, ale oczywiście na nic takiego nie liczyłam. Wiedziałam tylko, że czeka mnie jeszcze daleka droga. Oceńłam swoje położenie. Zobaczyłam drogę z wyrębu, która biegła przez las i przecinała strumień mniej więcej kilometr od jego ujścia.

Byłam zbyt zmęczona, aby oprzeć się pokusie pójścia tą drogą. Nie zauważyłam żadnego pościgu, nikt nas nie szukał. Myślę, że nowozelandzki samolot ich wystraszył. Dlatego doszłam do wniosku, że jeśli ruszę w stronę tamtej drogi i będę szła wzdłuż niej lasem, powinnam być bezpieczna i raczej się nie zgubię.

Podjęłam duży wysiłek, żeby podźwignąć się z miejsca. Wstałam z głośnym westchnieniem. Przynajmniej pierwsza część drogi wiodła z górki - podobnie jak ostatnia.

W tej chwili - zupełnie jakby czekał, aż się pokażę - zza wzniesienia za moimi plecami wynurzył się helikopter. Szybko przykucnęłam i zasłoniłam głowę. Przemknął nad wzgórzem, lecąc szybko i nisko. Poprzednim razem nie przypuszczałam, że pilot mnie zauważy, i mnie zauważył, a teraz myślałam, że mnie zauważy, ale nie zauważył. Prawo Murphy'ego. Poczulałam zimny, straszny dreszcz, gdy cień śmigłowca przesunął się po mnie,

ale maszyna poleciała dalej, ku dolinie. Szukała uważnie, przeczesując ją z wysokości zaledwie kilku metrów nad czubkami drzew. Założę się, że załoga czuła się nieswojo na widok wraku swojego poprzednika.

Zaczekałam, aż helikopter odwróci się do mnie tyłem i zacznie szukać bliżej wybrzeża, a potem pochyliłam głowę i pomknęłam jak królik. Dopiero kawałek za linią drzew zatrzymałam się i objęłam pień - a w każdym razie się o niego oparłam. Moje łydki drżały, trzęsły się i przestały dygotać dopiero po dłuższej chwili. Teraz, w gęstym lesie, słyszałam jedynie lekkie bzyczenie śmigłowca, co sprawiło, że poczułam się trochę bezpieczniejsza.

Z głodu ścisnęło mnie w żołądku i musiałam się na chwilę pochylić, żeby ból minął. Upłynęło z dziesięć, piętnaście minut, zanim poczułam się na tyle dobrze, by ruszyć w stronę pylistej drogi. Myślałam, że marsz w dół wzgórza będzie lekki, ale wkrótce pożałowałam, że jednak nie idę pod górę. Schodzenie w dół za bardzo obciążało łydki. Musiałam je napinać, żeby hamować na stromym stoku. Kiedy jednak zaczęła się droga pod górę, też nie byłam zadowolona. Bolały mnie kolana, to zdrowe i to poobijane, a wkrótce potem tylna część nóg też zaczęła doprowadzać mnie do łez. W końcu każda najmniejsza pochyłość zaczęła przypominać Alpy. Mozolnie parlałam pod górę, a po chwili podnosiłam głowę, myśląc, że jestem już prawie na szczycie, lecz ku mojej rozpaczy okazywało się, że nie doszłam nawet do połowy. Powtarzało się to przy każdym pagórku i było bardzo dołujące.

Dotarłam do drogi, kiedy już prawie straciłam nadzieję, że ją znajdę. Zdażyłam sobie nawet wmówić, że popełniłam jakiś fatalny błąd nawigacyjny. Szłam dalej tylko i wyłącznie dlatego, że nie potrafiłam wymyślić niczego innego, nie miałam siły, żeby zatrzymać się i zastanowić. Raz wydawało mi się, że słyszę jakiś pojazd, ale albo był bardzo cichy, albo jechał gdzieś bardzo daleko. Albo był wytworem mojej wyobraźni. Od czasu do czasu rozlegał się warkot helikoptera, a wtedy, potykając się, pędziłam pod drzewo, lecz tak naprawdę więcej go nie widziałam.

Nagle pod moimi stopami pojawił się brązowy piach. Dotarłam do drogi.

Odruchowo skręciłam w prawo i z niewyraźnym uczuciem ulgi - zapominając, że zamierzałam iść lasem - zaczęłam maszerować. Zobaczyłam, jak trudny i stary jest ten szlak. Pośrodku rosła wysoka trawa, więc od razu było widać, że ostatnio nikt tędy nie jeździł. Po drodze zauważyłam jednak pewną rzecz: w kilku miejscach trawa była pochyłona i przygnieciona. Chwilami miałam wrażenie, że gdy obok niej przechodzę, powoli się podnosi. Wyglądało na to, że pojazd, który wcześniej słyszałam, wcale nie musiał być złudzeniem. Znowu zaczęłam się denerwować.

Do moich uszu dobiegł warkot helikoptera, więc schowałam się pod drzewem i

czekałam. Tym razem brzmiało to tak, jakby śmigłowiec zmierzał prosto do Zatoki Szewca. Porzucił wcześniejszy schemat poszukiwań. Może żołnierze wracali do domu na lunch. Wyszłam na drogę i ruszyłam dalej.

Za szerokim łukiem, który zakręcał i zakręcał jeszcze długo po tym, jak myślałam, że droga za chwilę się wyprostuje, znalazłam pojazd. Był to brązowy holden jackaroo, całkiem nowy, choć nie wyglądał na samochód, który dotrwa do szczęśliwej starości. Był bardzo brudny, miał mnóstwo zadrapań i śladów po uderzeniach, w tym stłuczone tylne światło i boczną szybę. Oczywiście nie stałam i nie przyglądałam mu się zbyt długo. Przeżyłam tak wielki szok, jakby ktoś obudził mnie z długiego snu, wrzucając za koszulę kostki lodu.

Zastanowiłam się, a potem znowu z walącym sercem uciekłam do lasu. W samochodzie nikt się jednak nie ruszał. Stałam i przez chwilę patrzyłam. Powoli docierało do mnie, że coś tu nie gra. Jackaroo zaparkował tuż przy miejscu naszego spotkania. Widziałam, jak droga opada ku żwirowej przeprawie przez rzekę majaczącej między drzewami. To był Baloney Creek. Wydawało mi się mało prawdopodobne, by Lee i pozostali ukradli samochód, ale nawet gdyby to zrobili, nigdy nie zaparkowaliby na widoku. Nie, istniał tylko jeden powód, dla którego ten samochód mógł tak stać.

Zaczęłam skradać się w stronę pojazdu. Nie widziałam żadnych oznak życia. Szłam, czekając na jakiś znak ostrzegawczy, który by mnie zatrzymał, ale niczego takiego nie zauważyłam, więc szłam dopóty, dopóki nie zrównałam się z samochodem. Ostrożnie przycupnęłam za kolcolistem, zastanawiając się, co powinnam zrobić, i szukając jakiejś wskazówki. Wtedy ją dostałam. Gdzieś za mną rozległ się strzał - ten pojedynczy huk brzmiał jednak inaczej niż te, do których zdążyłam przywyknąć. Po nim natychmiast rozległ się dziewczęcy krzyk: krzyk, który strasznie przypominał głos Fi.

Byłam już tak wystraszona, że słysząc huk wystrzału, wpadłam w panikę. Wskoczyłam z lasu i popędziłam przed siebie. Przez jedną szaloną chwilę byłam pewna, że strzelają do mnie. Oczywiście, biegnąc na oślep, praktycznie zderzyłam się z samochodem. Ten drobny fakt - to, że wybiegłam na drogę, zamiast uciec w przeciwną stronę - zmienił nasze życie. Bo kiedy tak stałam, drżąc, obok samochodu i nie mając pojęcia, dokąd iść ani co robić, lecz widząc, że najwyraźniej nikt mnie nie ściga, wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, usłyszałam charakterystyczny głos Homera, krzyczący coś w rodzaju: „O nie!” Na dźwięk tego głosu poczułam na karku gęsią skórę. Homer mógł przecież zginąć od kuli, utonąć albo wylecieć w powietrze, ale mimo to przeżył. Przeżył! Cudownie było usłyszeć te dwa słowa, nawet w tych okolicznościach.

Potem rozległy się jakieś krzyki, których nie zrozumiałam. W tej samej chwili

wydarzyła się jednak druga ważna rzecz: na fotelu kierowcy holdena zobaczyłam rewolwer. Wsunęłam rękę przez okno i wzięłam go bez wahania. Był czarny i brzydki, kanciasty, pozbawiony krągłości i gładkich powierzchni. Szybko go obejrzałam. Wyglądało na to, że działa na takich samych zasadach jak inne pistolety, z którymi miałam do czynienia. Przyczek pod kabłąkiem odblokowywał magazynek. Nacisnęłam go. W małych otworkach zobaczyłam dwie kule, ale kiedy wysunęłam zamek, w komorze dostrzegłam jeszcze jedną.

To wszystko trwało tylko trzy, cztery sekundy. Odbezpieczyłam broń i ruszyłam przez las w stronę głosów.

## 18

Nigdy nie zapomnę tego, co się stało minutę później. Najlepiej pamiętam pierwszą scenę, w której ukazali mi się żołnierze i moi przyjaciele. Zebrali się na małej polance nad strumykiem. Wyglądało to jak narada. Było trzech żołnierzy - sami mężczyźni - i wszyscy stali po mojej stronie strumyka: dwaj z lewej, trzeci z prawej. Wydawali się spięci, ale uradowani i bardzo zadowoleni z siebie. Dwaj z lewej mieli karabiny, ale ten z prawej, oficer, wyglądał na nieuzbrojonego. Chyba właśnie jego rewolwer trzymałam w dłoni.

Nadal czułam w powietrzu zapach prochu, ale wyglądało na to, że żadne z moich przyjaciół nie jest ranne. Stali w szeregu na wielkim płaskim głazie po drugiej stronie płytkiego, szemrzącego strumyka. Trzymali ręce za głowę. Fi była blada i mimowolnie się trzęsała. Robyn wojowniczo wysunęła brodę. Twarz Lee była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Homer wydawał się zrozpaczony, chudy i zmęczony, a jego ciemne oczy głęboko się zapadły. Mimo to na jego widok bardzo mi ulżyło: miałam najgorsze obawy związane z tym, co mogło go spotkać.

Kevin stał trochę dalej od pozostałych i wyglądał na totalnie przerażonego.

Nawet nie zastanawiałam się, co robić. Brak konieczności myślenia wywołał u mnie ulgę: przynajmniej raz nie musiałam dokonywać wyboru. Stałam bardzo spokojnie na rozstawionych nogach, uniosłam rewolwer, ujęłam go w obie dłonie, starannie wycelowałam w pierś pierwszego żołnierza i pociągnęłam za spust. Delikatnie, delikatnie, a potem mocniej, mocniej. Trwało to tak długo, że myślałam, że broń nigdy nie wystrzeli. Potem huk, eksplozja, dym, zapach prochu. Rewolwer mocno kopnął, jakby rażony prądem, a pusta łuska wystrzeliła w prawo. Zobaczyłam, jak żołnierz zatacza się do tyłu, upuszcza karabin i unosi ręce do piersi, jakby próbował - nieskutecznie - odzyskać równowagę. Nie miałam jednak czasu o nim myśleć. Wycelowałam jeszcze raz i strzeliłam. Trafiłam drugiego żołnierza, zanim zdążył unieść karabin.

Potem przesunęłam lufę w stronę oficera. Stał już odwrócony do mnie. Jakby nie wiedział, dokąd pójść. Strzeliłam trzeci raz. Strasznie trzęsły mi się ręce i kula zboczyła odrobinę w dół. Zamek wskoczył z powrotem i zablokował się. Magazynek był pusty: bezużyteczny kawał złomu. Odrzuciłam go szybko, jakby był skażony. Wpadł do strumyka.

To wszystko rozegrało się bardzo szybko, niemal sterylnie, i zupełnie nie



przypominało naszych innych akcji, w których ginęli ludzie. Było jak strzelanie do celu. Bez żadnych emocji.

A może po prostu świadczyło o tym, jak bardzo się zmieniałam.

Pozostali zareagowali jednak podobnie. Lee ruszył w stronę martwych żołnierzy i szybko ich przeszukał. Robyn i Kevin złapali plecaki - wyglądało na to, że tym razem oni pełnią funkcję naszych koni juczych. Homer podbiegł i dał mi szybkiego całusa.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało - powiedział i ze zdumieniem zauważyłam łzy w jego oczach.

Za nim podeszła Fi i przytuliła mnie trochę dłużej.

- Dziękuję, Ellie - powiedziała tylko.

Bez słowa wybiegliśmy prosto na pylistą drogę. Nie musieliśmy nic mówić, aby wiedzieć, że szybkość albo nas uratuje, albo zabije.

- Weźmy samochód - zawołałam do Lee, który biegł spory kawałek przede mną. Zdawałam sobie sprawę z ryzyka, ale uznałam, że to najlepsze rozwiązanie. Gdyby udało nam się pokonać kilka kilometrów i pozbyć się auta, mielibyśmy przynajmniej przyzwoity początek.

Nikt się nie sprzeciwił. Gdy dobiegłam do samochodu, Robyn i Lee siedzieli już z tyłu, Kevin włąził do środka, a Fi czekała na swoją kolej. Homer okrążył samochód i wsiadł od strony pasażera. Wyglądało na to, że ja prowadzę, chociaż Bóg jeden wiedział, skąd miałam wziąć energię. Nie zamierzałam jednak dyskutować. W mgnieniu oka znalazłam się w środku. Kluczyk tkwił w stacyjce. Jackaroo odpalił od razu, ale stał skierowany w przeciwną stronę niż ta, w którą chcieliśmy jechać. Na wąskiej drodze trudno było znaleźć miejsce, żeby zawrócić. Wzruszyłam ramionami, wrzuciłam wsteczny i ruszyłam z kopyta.

- Cholera! - sapnął Kevin, kiedy gnaliśmy do tyłu, robiąc pewnie z sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Pozostali nic nie powiedzieli, ale wydawali się bardziej wystraszeni niż wtedy, kiedy strzelałam do żołnierzy. Pokonywaliśmy szeroki zakręt i pod koniec zauważyłam miejsce, w którym można by zawrócić: polankę po lewej stronie. Szarpnęłam za kierownicę, ale mocno przeszacowałam odległość, nie wcelowałam w polankę i rąbnęłam w małe drzewo. Przypomniałam sobie, jak zniszczony był tył samochodu, i pomyślałam ponuro, że teraz musi wyglądać z dziesięć razy gorzej. Kevin rozcierał głowę w miejscu, w którym uderzyła o sufit, ale nic nie powiedział. Byłam mu za to wdzięczna. Fi z niepokojem przygryzała wargę. Na szczęście silnik nie zgasł i wyglądało na to, że nadal panuję nad torem jazdy. Przekręciłam kierownicę i znowu ruszyliśmy, tym razem do przodu.

W zasadzie byłam pewna, że nie napotkamy żadnych pojazdów, a przy prędkości, którą rozwinęliśmy, musiałam mieć nadzieję, że nikt nie wyjedzie z naprzeciwka. Oprócz „Cholery!” Kevina przez całą drogę nikt nie odezwał się słowem. Przerazały mnie helikoptery, ale nawet gdyby nadleciały, mielibyśmy małe szanse, żeby je usłyszeć albo zobaczyć. Po prostu wciskałam gaz do dechy, rozpędzając samochód do prędkości, które przyprawiały mnie o przepuklinę.

Dwadzieścia minut później dotarliśmy do głównej drogi. Bez żadnego ostrzeżenia - nagle wypadliśmy z lasu na asfalt i znowu gorączkowo obracałam kierownicą, wprowadzając samochód ślizgiem w piskiwy zakręt, na którym o mało nie dachowaliśmy. Zapanowałam nad jackaroo, ale dopiero sto metrów dalej wyrównaliśmy tor jazdy. Gdy samochód znalazł się po lewej stronie drogi, wytarłam twarz, nie odważając się spojrzeć na pozostałych.

Gnaliśmy przed siebie, w stronę wzgórz.

- Jak długo chcemy tym jechać? - zapytałam.

- Jeszcze tylko trochę - powiedział Homer.

- Domyślą się, że wzięliśmy samochód - zawołała Robyn z tyłu. - Musimy się go pozbyć gdzieś, gdzie go nie znajdą. Im dalej, tym lepiej, bo będą mieli większy obszar przeszukania.

- Tamto bmw utopiliśmy w zbiorniku - przypomniała sobie Fi.

- Boję się tylko, że napotkamy konwój - powiedziałam.

Byliśmy teraz w gęstym lesie, ale nadal jechaliśmy główną drogą.

- Chcecie swoje plecaki? - zawołała nagle Robyn.

- Co?

- Za następnym zakrętem schowaliśmy wasze plecaki. Chcecie je zabrać?

Zastanowiłam się szybko i doszłam do wniosku, że plecak zdecydowanie mi się przyda. Zatrzymaliśmy się z piskiem opon, wyskoczyliśmy i wyjęliśmy ciężkie plecaki spod sterty liści i kory. Odkryłam, że nie mam siły wrzucić swojego plecaka do bagażnika i musiałam poprosić Robyn o pomoc. Spojrzała na mnie zaniepokojona.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Znajdź mi tylko coś do jedzenia. Proszę.

Jechaliśmy dalej i minutę później do mojej twarzy zbliżyła się jej dłoń. Coś trzymała. Byłam zbyt zajęta kierowaniem, żeby na nią spojrzeć, ale otworzyłam usta, a Robyn wepchnęła do nich daktyla. Uwielbiam daktyle. Nie mam pojęcia, skąd je wytrzasnęła - nie wiedziałam, że jeszcze jakieś nam zostały - ale Robyn zawsze robiła nam takie małe niespodzianki.

Minęliśmy pędem dwa duże skrzyżowania, a na trzecim skręciliśmy w prawo, żeby

zmylić pościg. Znaleźliśmy się na drodze, która według drogowskazu prowadziła do Stratton przez dolinę Garley. Teraz ryzyko napotkania konwoju było mniejsze, ale wszyscy chcieliśmy jak najszybciej pozbyć się samochodu. Wystarczająco długo igraliśmy z losem. W końcu nam się poszczęściło, bo Fi zauważyła ni mniej, ni więcej, tylko złomowisko.

- Tam! - zawołała.

- Co?

- Jeśli chcesz ukryć książkę, schowaj ją na regale.

- Co?!

- Tam jest złomowisko. Jeśli ukryjemy na nim samochód, będą go szukali z dziesięć lat.

Spojrzałam na Homera i parsknęliśmy śmiechem. Wzruszył ramionami.

- Czemu nie?

Skręciłam z drogi na podjazd. Złomowisko nosiło nazwę Graty Ralstona. Wyglądało zabawnie: kilka hektarów zdezelowanych samochodów w samym środku wiejskiego krajobrazu. W głębi stały same stare i zardzewiałe wraki, przeważnie bez drzwi i masek. Porastał je bluszcz i jeżyny, a w jednym miejscu zauważyłam nawet passiflorę. W niektórych wypadkach trudno było odgadnąć markę samochodu albo nawet kolor. Z przodu stały jednak nowsze modele, niektóre nadal lśniące i kolorowe, oszpecone jedynie wgniecionym tyłem, zmiażdżonym bokiem albo wklęsłym dachem.

Jechałam wzdłuż rzędów tych wraków, dopóki nie znalazłam luki, w którą jackaroo idealnie się wpasował. Wjechałam przodem, żeby widoczny pozostał tylko poobijany tył.

W końcu mogłam odetchnąć. Byłam w gorszym stanie niż jackaroo, ale nie musiałam już dłużej uciekać, walczyć ani głodować - przynajmniej przez kilka najbliższych minut. Bo pewnie nie godzin. Przekręciłam kluczyk i pochyliłam się, opierając czoło o kierownicę.

- Niech ktoś zdejmie tablice rejestracyjne - powiedziałam, zamykając oczy.

Żaden inny samochód na złomowisku nie miał tablic rejestracyjnych, więc musieliśmy usunąć również nasze. Zostawiłam to jednak reszcie. Sama tylko siedziałam. Chciałam się gdzieś położyć i zasnąć, ale byłam zbyt zmęczona, żeby szukać miejsca. Słyszałam, jak pozostali wyjmują nasze rzeczy z samochodu i rozmawiają, rzucając od czasu do czasu jakieś stłumione słowa, ale nie rozumiałam, co mówią - nie dlatego, że mówili zbyt cicho albo że ogłuchłam, ale dlatego, że ze zmęczenia nie byłam w stanie ułożyć dźwięków w słowa. Docierały do moich uszu, lecz do mózgu już nie. Zabrakło mi energii potrzebnej, aby przepchnąć słowa o ten milimetr dalej. Nigdy wcześniej nie byłam aż tak zmęczona.

Zaczęłam kłaść się na przednie siedzenia samochodu - chociaż nie do końca się

kładłam, raczej pozwalałam ciału opaść na bok. Wszystkie siniaki, bóle i dolegliwości znowu dawały o sobie znać. Nie musiałam ich już dłużej ignorować i tłumić. Nagle poczułam jednak podmuch zimnego powietrza, bo ktoś otworzył drzwi.

- Nie - jęknęłam. - Nie.

Skuliłam się trochę bardziej, żeby zatrzymać ciepło.

- Chodź, Ellie - rozległ się głos Fi. - Nie możesz tutaj zostać.

Nie chciałam się ruszać, nie byłam w stanie. Znowu stałam się pięciolatką, która pragnie, aby ktoś zaniósł ją do domu, bo w powrotnej drodze zasnęła w samochodzie.

- Chodź, Ellie - powtórzyła Fi.

Nie brzmiało to współczująco, raczej natrętnie i niecierpliwie. Fi była zbyt zmęczona, żeby mi współczuć.

Pociągnęła mnie za nogę, a wtedy ze złością wierzgnęłam i mocno kopnęłam w coś stopą. Fi pisnęła - ze złości, z bólu albo z jednego i drugiego - a ja zdałam sobie sprawę, że naprawdę pora się ruszyć. Zbyt daleko zabrnęłam w czynieniu zła. Dlatego bez słowa przeprosin do Fi, która trzymała się za bok i patrzyła na mnie morderczym wzrokiem, wygramoliłam się z samochodu i ruszyłam między rzędami aut w stronę stojącej w oddali Robyn.

Moi przyjaciele rozbijali prowizoryczny obóz w tylnej części dostawczego nissana E20, który był porządnie grzmotnięty od strony kierowcy. Facet musiał się nabawić ostrego bólu głowy, bo w kabinie panował straszny bałagan. Tył był jednak cały i suchy. Nie odezwałam się do nikogo słowem. Wgramoliłam się tylko do środka i ległam jak stary śpiwór. Nadal byłam bardzo głodna, ale nie miałam siły jeść.

Okazało się, że nie mam nawet siły zasnąć. Prawdopodobnie trochę się zdrzemnęłam, tyle że o tym nie wiedziałam. Po chwili Fi i Homer wcisnęli się obok mnie, ale nie zwróciłam na nich uwagi. Lee i Robyn stali na warcie. Wiedziałam, że prędzej czy później zjawi się patrol, ale musiałam zaufać pozostałym i liczyć, że będą na niego przygotowani, że nie zapomną o środkach bezpieczeństwa.

Na szczęście patrol zjawił się dopiero nazajutrz. W nocy trochę spałam. Dzięki ciałom Homera i Fi, w które mogłam się wtulić, było mi trochę cieplej. Pozwoliłam, by pozostali wzięli wartę na siebie. Gdy przyszła moja kolej, nikt mnie nie zawołał, a zresztą i tak nie zdołałabym wyjść z vana. Dość wcześnie wieczorem Fi przyniosła mi odrobinę jedzenia, a potem zrobiła to jeszcze raz, rano. Zjadłam z wdzięcznością. Dopiero kiedy nie mogłam już wytrzymać parcia na pęcherz, w końcu wyszłam z samochodu - ale nawet tę chwilę odkładałam najdłużej, jak się dało.

Mniej więcej o jedenastej przybiegła Robyn.

- Zbliżają się - powiedziała.

Wypełzliśmy z nissana jak węże z gniazda.

- Tędy - powiedział do mnie Lee.

Poszłam za nim do najdalszego rzędu samochodów, a potem jeszcze dalej, aż do starego, zarośniętego i pochylonego ogrodzenia. Przeleźliśmy przez nie i pobiegliśmy w stronę zagajnika. Czołgaliśmy się w głąb, aż zniknęliśmy z pola widzenia.

- Jak myślisz, długo będą nas szukać? - zapytałam Lee, kiedy tam leżeliśmy.

Byliśmy tak blisko siebie, że prawie się dotykaliśmy, ale nie miałam ochoty na przytulanie.

- Dopóki nas nie znajdą - odpowiedział ponuro.

To natychmiast zabiło wszystkie romantyczne myśli.

- Obudziły cię helikoptery? - zapytał po chwili.

- Jakie helikoptery?

- Od rana zjawily się już trzy. Pierwszy tuż po wschodzie słońca.

- Szukały nas?

- Chyba tak.

Nie potrafiłam wymyślić nic, co nie byłoby zbyt osobiste albo zbyt przerażające. Dlatego po prostu leżałam bez słowa. Dziesięć minut później stanęła przed nami Robyn.

- Rozczarowanie, moi drodzy - powiedziała. - Przyjechali, pojeździli po podwórzu i pojechali dalej.

- Nie zauważyli jackaroo? - zapytałam.

- Nie, nawet się do niego nie zbliżyli.

Wróciliśmy na podwórze. Przynajmniej zgromadziłam wystarczająco dużo energii, by znowu zacząć przejawiać zainteresowanie otoczeniem. Zobaczyłam Homera, który szedł zająrzeć do domu na skraju złomowiska Ralstona - prawdopodobnie mieszkał w nim Ralston i jego rodzina.

- Idziesz ze mną? - zapytał.

- Dobra.

Właśnie czekałam, żeby ktoś zaproponował jakąś wyprawę, żebyśmy zaczęli coś robić.

- Co się z tobą działo w wodzie? - zapytał Homer.

- Proszę, nie teraz - jęknęłam. - Nie chcę jeszcze o tym rozmawiać. O niczym nie chcę rozmawiać.

Przymknął się.

Podeszliśmy do domu od tyłu. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że tak naprawdę to przód, bo dom został zbudowany tyłem do drogi. Wyglądało to dziwnie: naprzeciw domu w zasadzie nie było nic ciekawego. Był to stary drewniany budynek pokryty ocynkowaną blachą. Wokół biegła weranda porośnięta winoroślą, która miejscami miała pnie grube jak słupy telegraficzne. Nie zauważyłam za to słupów elektrycznych, ale z tyłu schowano dość nowoczesny generator. Mimo to dom był w fatalnym stanie. Już kiedy go wybudowano, nie wyglądał pewnie zbyt okazale, a lata zaniedbań sprawiły, że teraz bardziej przypominał śmietnik. Weranda zapadła się pośrodku, a kiedy po niej szliśmy, kołysała się i ugiwała. Pod ścianą z lewej strony stał rząd motorów uruchamianych kopniakiem - było ich co najmniej dwanaście. Obok drzwi wejściowych leżało pół ptasiego gniazda, a wycieraczka strzępiła się ze wszystkich stron. Widniał na niej czarny wyblakły napis: „ZABIERAJ TE CHOLERNE BUTY!”.

Mimo to ze zdziwieniem zobaczyliśmy, że przy drzwiach wisi duża lśniąca kłódka. Wyglądała na drogą i trudną do sforsowania. Drzwi też były dość solidne, więc od razu daliśmy sobie spokój. Sięgnęłam po kij i poszłam stłuc szybę w oknie.

- Mam nadzieję, że nie ma alarmu antywłamaniowego - powiedział nerwowo Homer. - Ktoś na drodze mógłby go usłyszeć.

Zastanowiłam się.

- Wątpię. Po co instalować alarm, skoro nie ma sąsiadów, którzy mogliby go usłyszeć?

Stukłam jedną szybę, a potem, gdy nie rozległy się żadne syreny ani dzwonki, to samo zrobiłam z resztą.

- Poza tym - dodał Homer - nie ma tu linii energetycznej. Alarm musiałby być zasilany na baterie, a do tego czasu na pewno by się wyczerpały.

Stukłam resztę szkła i wyłamałam drewniane poprzeczki, a potem przerzuciłam nogę przez parapet i wdrapałam się do środka. Było ciemno i śmierdziało, jakbym weszła do pralni pełnej brudnych skarpetek. Deszcz zmoczył jedną stronę ściany i poplamiał tapetę - była całkiem spleśniała i zatęchła.

- Wyobraź sobie, jak by się tu mieszkało - odezwał się Homer za moimi plecami.

Weszłam do kuchni, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Stała tam lodówka, której nie miałam zamiaru otwierać, oraz stara szafka na mięso z konserwami na górze, które wydawały się warte zainteresowania. Od razu było widać, że nie zaglądali tu szabrownicy, pewnie dlatego, że tak zapuszczony dom nie wydawał się wart zachodu. Homer

otworzył jakieś drzwi w głębi domu, a ja zajrzałam do łazienki. Stała tam stara wanna na lwich nogach, podobna do tej w moim domu. Zerknęłam do niej i z obrzydzeniem zobaczyłam wystające z odpływu dwa małe szare futerkowe obiekty z ogonami. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, co to takiego: myszy, które tu zdechły, a przedtem prawdopodobnie czuły tak rozpaczliwe pragnienie, że wsadziły głowy do dziury w poszukiwaniu wody.

Wrócił Homer, ale zanim zdążyłam mu napomknąć o myszach, powiedział wyraźnie przejęty:

- Chodź, zobaczysz, co znalazłem.

# 19

Weszłam za Homerem za starą szkarłatną kotarę, która służyła za drzwi. Poczułam się tak, jakbyśmy nagłe wylądowali w salonie wystawowym ze sprzętem elektronicznym. Większości tych urządzeń nawet nie znałam. Były tam komputer i drukarka, dwa odtwarzacze wideo, monitor oraz faks. W zasadzie standard. Pod przeciwległą ścianą piętrzył się jednak sprzęt do komunikacji: przeróżne radia, dwa mikrofony i mnóstwo małych gadżetów, takich jak krótkofalówki i telefon komórkowy.

- Zadziwiająca - powiedziałam.

- Wygląda to jak sklep ze sprzętem elektronicznym - zauważył Homer.

- To się nazywa podwójne życie. Przez połowę czasu żyjesz w XIX wieku, a drugą połowę spędzasz w XXI.

- Tak, zabawki dla chłopców - powiedział Homer. - Podobno faceci muszą mieć swoje zabawki bez względu na wiek.

W ustach Homera brzmiało to tak zabawnie, że musiałam się postarać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- To przypomina wiejski zestaw przeciwpożarowy - powiedziałam, podchodząc do dużego radia w kącie.

- Tak. - Homer się zamyślił. - Wygląda na to, że ten koleś to prawdziwy... Jak oni się nazywają? Radioamator. Sprzęt do odbioru fal krótkich i tak dalej. Mówię ci, Ellie, mając coś takiego, moglibyśmy pewnie komunikować się z innymi krajami.

- Mejlę głosowe.

- Właśnie.

- Albo po prostu sam chcesz się pobawić tymi zabawkami.

- Całkiem możliwe.

- Co dokładnie chodzi ci po głowie? Chcesz skorzystać z okazji i pokonwersować po francusku?

- Myślałem raczej o Nowej Zelandii. Gdyby udało nam się nawiązać kontakt z Nowozelandczykami, gdyby się dowiedzieli, że to my wysadziliśmy w powietrze Zatokę Szewca, może zechcieliby... Sam nie wiem.

Zrozumiałam, do czego zmierza. Mój umysł łapczywie rzucił się na niektóre



możliwości.

- Zechcieliby przylecieć i nas uratować?

- No wiesz, możliwe.

- Będziemy musieli uruchomić generator. Jego hałas może nam zaszkodzić.

- Mhmm. Ale trzeba podjąć jakieś ryzyko. Nocą zobaczymy żołnierzy z bardzo daleka.

- Tak, to chyba wykonalne. Podoba mi się wizja wakacji w Milford Sound. Tylko że Nowozelandczycy mają teraz pewnie za dużo na głowie, żeby martwić się garstką dzieciaków.

- Pewnie tak. Ale mimo to...

Szczerze mówiąc, już w chwili, gdy Homer zaszczeplił tę myśl w mojej głowie, wiedziałam, że nie będę w stanie się od niej uwolnić. Miesiącami nie widzieliśmy nawet najmniejszej iskierki nadziei. Nie spodziewaliśmy się zakończenia tej wojny w najbliższej przyszłości. Może nawet w dalszej przyszłości też. Co więc nam pozostawało? Byliśmy skazani na snucie się po polach, ukrywanie się na coraz mniejszych połaciach ziemi dopóty, dopóki pewnego dnia nas nie złapią? Nie mieliśmy innego wyjścia. Pewnego razu śniło mi się nawet, że budujemy tratwę i płyniemy do Nowej Zelandii jak rozbitkowie ze starych powieści przygodowych.

Gdybyśmy przynajmniej mogli z kimś porozmawiać - z kimkolwiek - dalibyśmy znać, że nadal żyjemy. To byłoby pocieszające, nawet jeśli nie wysłaliby po nas odrzutowca dla VIP-ów.

- Będziemy musieli zapytać pozostałych - powiedziałam w końcu.

- Patrz. - Homer pokazał mi stary podręcznik. - To klucz. Wszystkie sygnały wywoławcze, częstotliwości i tak dalej.

Wzięłam od niego książkę i zajrzałam do środka. Większość tekstu nic mi nie mówiła. Była tylko listą cyferek. Od razu stało się jednak jasne, że facet umiał się łączyć z częstotliwościami awaryjnymi: miał numery policji, pogotowia, straży pożarnej, różnych lotnisk, sił powietrznych, służb porządkowych. Domyślałam się, że słuchanie niektórych z tych kanałów jest nielegalne. A, co tam. Ostatnio na większości z nich i tak nikt nie nadawał.

Wyszliśmy przez wybite okno i poszliśmy poszukać pozostałych. Lee i Fi dołączyli do Kevina i Robyn, którzy stali na warcie, i z powagą o czymś rozmawiali. Okazało się, że dyskutują o tym, na punkcie czego wszyscy zaczynaliśmy mieć obsesję: o naszej przyszłości. Próbowali sobie przypomnieć wieści o kontratakach przekazane przez Kevina: oddziały z Nowej Gwinei opanowały obszar wokół Przylądka Martindale, Nowozelandczycy odbili

znaczną część południowego wybrzeża - Burdekin i tereny otaczające Newington. Problem w tym, że to wszystko działo się kilka tygodni wcześniej i od tego czasu wiele mogło się zmienić. Lee chciał się przedostać do Newington. Ten pomysł mnie przeraził.

- Lee, nie wiem, jak wygląda strefa działań wojennych prowadzonych na wielką skalę i żadne z nas tego nie wie, ale nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy się tam dostać. Przecież na pewno mają czołgi, wyrzutnie rakiet i tak dalej. Gdyby można było tam tak po prostu wejść, Nowozelandczycy na pewno by to zrobili.

- Ale nikt nie będzie się spodziewał, że ktoś nadciągnie z przeciwnej strony - zauważyła Robyn, która najwidoczniej popierała Lee.

- Nie widzę innego wyjścia - powiedział Lee. - Zgadzą się co do jednego: że tutaj nie ma dla nas przyszłości. Wojna nieprędko się skończy, a nam szybko zaczyna brakować możliwości. Musimy coś zrobić, a nie tylko siedzieć i czekać, aż nas złapią. Moim zdaniem powinniśmy przejąć inicjatywę i zrobić coś konkretnego.

Po cichu przeklełam wszystkie filmy, którymi Lee karmił się przez lata. Stallone miałby się z czego tłumaczyć.

- Ale Lee, nie uda nam się przechytryć całej armii. Wszystko, co robiliśmy do tej pory, było już wystarczająco ryzykowne. Zachowywaliśmy się jak szczury, w ciemności byliśmy niewidzialni. To dlatego nam się udawało... No, w każdym razie między innymi dlatego - dodałam, nie chcąc nam odbierać wszystkich zasług. - Nie możemy wejść w strefę działań wojennych. Po prostu nie jesteśmy na to przygotowani. Rozwaliliby nas w trzydzieści sekund.

- Więc co mamy robić? - zapytał rozzłoszczony. - Siedzieć na tyłkach i czekać? Zacząć szykować białe flagi, którymi będziemy mogli pomachać, kiedy po nas przyjdą?

- Nie wiem, co mamy robić! Przestań się zachowywać, jakby istniała jedna prawidłowa odpowiedź, którą trzeba tylko znaleźć, żeby rozwiązać wszystkie nasze problemy! To nie jest test z matmy.

Spór przycichł. Ja i Homer opowiedzieliśmy reszcie o naszym odkryciu i wszyscy bardzo się ucieszyli. Uzgodniliśmy, że uruchomienie generatora w dzień byłoby zbyt ryzykowne, ale nikt nie miał wątpliwości co do tego, że powinniśmy spróbować w nocy. Lee poszedł obejrzeć sprzęt. Robyn i Kevina czekała jeszcze godzina warty, a Fi chciała mi pokazać znaleziony przez siebie stary dół na smar. Wpadła na sprytny pomysł, żeby zrobić w nim kryjówkę, przykrywając ją arkuszem blachy i parkując na niej samochód. Przez chwilę pociliśmy się, wcielając jej pomysł w życie. Było całkiem fajnie, a efekt okazał się idealny. Przykryłyśmy dziurę blachą, na której rozrzuciłyśmy piach, kilka części rur wydechowych,

potłuczoną szybę i pustą puszkę po oranżadzie. Potem zepchnęliśmy na to stary dostawczy Commer i usunęliśmy ślady opon, żeby wyglądał tak, jakby stał tam od dwudziestu lat.

Homer i Lee stanęli na warcie, ale udało nam się namówić Kevina i Robyn na zabawę w chowanego. Ułatwiłyśmy im zadanie, wskazując alejkę, w której zamierzałyśmy się ukryć, a potem pobiegłyśmy, wślizgnęłyśmy się do dołu przez mały otwór i przykryłyśmy się blachą. Dół był ciemny i mały, ale suchy, i usiadłyśmy w nim całkiem wygodnie, zadowolone z własnej przebiegłości. Pięć, sześć minut później usłyszeliśmy, że Kevin i Robyn nas szukają. Robyn otworzyła tylne drzwi commera i powiedziała: „Tu ich nie ma”. Dałyśmy im jeszcze parę minut, a potem wyczołgałyśmy się z kryjówki. Byli już cztery samochody dalej. Cieszyłyśmy się jak dzieci. Nie chciałybyśmy spędzić w tym dole pół roku, ale na kryjówkę w wyjątkowych sytuacjach nadawał się idealnie.

Naszym największym problemem nadal były śmigłowce. Rano zjawily się dwa razy, a po południu jeden z nich powrócił i naprawdę uważnie obserwował złomowisko. Kołysał się w przód i w tył, w przód i w tył, cierpliwie i nieustannie. Warkot wibrował w moim ciele: nie potrafiłam się od niego odgradzić. Byliśmy dobrze ukryci, ale problemem pozostawał jackaroo. Gdyby go zauważyli, mogliby wezwać posiłki, okrążyć złomowisko, a potem z łatwością nas dorwać.

Helikopter obserwował złomowisko ponad dziesięć minut. Potem zrobił przechyl, zawrócił i odleciał na północ. Zaczął obserwować szopy oddalone od złomowiska mniej więcej o kilometr. Pozostawało nam założyć, że jesteśmy bezpieczni, że znowu udało nam się przetrwać.

Szkoda tylko, że nie byłam w stanie się odprężyć.

Tuż przed piątą po niebie przemknęła eskadra odrzutowców, ale poza tym w górze nic już się nie działo.

Gdy zapadł zmrok, Homer poszedł do domu, żeby pomajstrować przy generatorze. Mimo zagrożenia nie mogliśmy się doczekać chwili, w której uruchomimy sprzęt radiowy. Nie wiedzieliśmy, czy uda nam się cokolwiek zdziałać, ale prawdopodobnie warto było zaryzykować. Podejrzewaliśmy, że jeśli będziemy nadawać zbyt długo, mogą nas namierzyć wrogie siły. To było naszym największym zmartwieniem.

Wpół do jedenastej przygotowaliśmy się na wielki eksperyment. Otworzyliśmy podręcznik z częstotliwościami. Udało nam się wywnioskować, że powinniśmy być na częstotliwości UKF od 30 do 300 MHz. Najwyraźniej właśnie na takiej częstotliwości działali wszyscy ważni operatorzy: policja, lotniska i pogotowie. Nie liczyliśmy na przyjacielską pogawędkę z posterunkowym Jonesem z lokalnego komisariatu, ale mieliśmy nadzieję, że uda

nam się połączyć z Nową Zelandią, i pozostawało nam trzymać kciuki za to, że korzystają tam z takiego samego zakresu częstotliwości jak my.

Nie wiedziałam, co oznacza „UKF 30 do 300 MHz”, ale bez trudu znalazłam te wartości na wyświetlaczu. Przyświecając sobie świeczką, ustawiliśmy pokrętło na 300. Lee i Robyn mieli pełnić wartę, ale Lee stał pod tylnymi drzwiami, a Robyn pod oknem, żeby móc słyszeć, co się dzieje. Kevin czekał przy generatorze, a Homer operował radiem. Byliśmy gotowi.

- Dobra, odpalaj - zawołał Homer.

Kevin pociągnął za sznurek. Generator hondy zaskoczył za trzecim razem. Imponujące. Nie przewidzieliśmy jednak czegoś, co powinniśmy byli sprawdzić przed jego uruchomieniem, i w domu powoli rozbłysła połowa świateł.

- Wyłącz go! Wyłącz go! - krzyknął Lee do Kevina.

Po chwili znowu siedzieliśmy w milczeniu i ciemności.

Robyn wskoczyła przez okno.

- Jeśli ktoś jest na drodze, na pewno to zobaczył - powiedziała.

- Uciekamy do kryjówki - zarządził Homer.

Pognaliśmy jak zające i wcisnęliśmy się jedno obok drugiego, zostawiając na górze tylko Robyn, która miała dołączyć, gdy zauważy coś podejrzanego.

Ostrożni aż do przesady, postanowiliśmy odczekać pełną godzinę. Homer nie mógł przeboleć porażki.

- Nie do wiary, że nie sprawdziliśmy tych cholernych przełączników - powtarzał ciągle.

Gnębiło mnie przez to poczucie winy, chociaż nie bardzo wiedziałam, dlaczego to właśnie ja miałabym ponosić odpowiedzialność za to niedopatrzenie.

W końcu powiedziałam:

- Homer, co się stało, to się nie odstanie. Przymknij się wreszcie.

Siedzieliśmy w ciemności i pociliśmy się na myśl o wrogim patrolu, który za chwilę po nas przyjedzie. Po chwili wszyscy zapadliśmy chyba w sen. Ja na pewno i Homer najwyraźniej też. Od wielu godzin napędzała mnie nerwowa energia, której widocznie nagle zabrakło. Pozostali doszli do wniosku, że pozwolą nam pospać. Mieliśmy rozpocząć wartę o piątej nad ranem, ale rozdzielili ją między siebie i pozwolili nam kimać do wschodu słońca. Jasne, było ciasno i niewygodnie, ale lepszy taki sen niż żaden - a już z pewnością lepsze to niż stanie na warcie.

Wyczołgałam się z dołu mniej więcej o siódmej i zobaczyłam, że pozostali już siedzą i

popijają herbatę, którą zaparzyli na małym ognisku w osłoniętym zakątku złomowiska. Ognisko zostało już ugaszone i zasypane piachem, ale kociołek był jeszcze wystarczająco ciepły, żebym i ja zrobiła sobie herbatę.

- Powinniście byli mnie obudzić - powiedziałam, lecz bez przekonania.

- Mieliśmy taki zamiar, ale potem Lee przypomniał sobie o różnicy czasu - powiedziała Robyn.

- O różnicy czasu? - zapytałam, nadal funkcjonując na poziomie nieprzewyższającym dwudziestu procent.

- Gdybyśmy spróbowali połączyć się z Nową Zelandią o północy, u nich byłaby mniej więcej druga i pewnie wszyscy by spali - wyjaśnił Lee.

- No tak.

Napiłam się herbaty.

- Więc co zrobimy? - zapytałam, kiedy mój umysł zaczął wskakiwać na właściwe obroty.

- Spróbujemy jeszcze raz, i to natychmiast - powiedziała Robyn. - Nie możemy tego dłużej odkładać. Najprawdopodobniej właśnie dzisiaj przyjdą nas szukać. Dlatego już niedługo powinniśmy się ukryć.

Pobiegła obudzić Homera, a ja wyrzuciłam liście herbaty i poszłam za resztą towarzystwa do domu. Chociaż Lee przysięgał, że tym razem sprawdził przełączniki, nie mogłam się powstrzymać i sprawdziłam jeszcze raz, co musiało go bardzo wkurzyć. Mimo to okazał się na tyle taktowny, że nic nie powiedział. Byłam tak wypompowana, że ledwie się ruszałam. Myślałam o wojennych filmach akcji, które Lee tak uwielbiał i w których bohater przechodzi od sztuk walki do pogoni na nartach, a potem strzela i walczy z piraniami, lecz przez cały czas ani na chwilę nie zwalnia, jakby nie potrzebował odpoczynku.

Za każdym razem, kiedy robiliśmy coś niebezpiecznego, musiały upłynąć całe wieki, zanim potem doszłam do siebie - nie ze względu na wysiłek fizyczny, który czasami bywał niewielki, ale chyba z uwagi na skutki psychiczne. Epizod nad strumykiem - nazywam go „epizodem”, bo dzięki temu nie myślę o nim jak o akcie zabijania - tak bardzo mnie przytłoczył, że długo zmagalam się z emocjonalnym paraliżem.

Tak więc sprawdzenie przełączników było chyba najbardziej energicznym działaniem, jakie podjęłam. Dla odmiany cieszyłam się, że mogę się usunąć w cień. Przyszedł Homer. Wydawał się oszołomiony i pocierał powieki, drżąc w zimnie wczesnego poranka. Rozpaczliwie pragnął jednak nawiązać łączność, a nikt z nas nie miał nic przeciwko temu, więc zajęliśmy takie same pozycje jak w nocy. Ja też drżałam: z zimna, ze świadomości

ryzyka, które podejmowaliśmy, ale przede wszystkim z radości, że być może uda nam się porozmawiać z jakimś przyjaźnie nastawionym dorosłym - a ostatnio rzadko mieliśmy ku temu okazję.

Kevin pociągnął za sznurek i generator zaskoczył za pierwszym razem. Nie zapaliły się światła, ale kiedy wydajność osiągnęła 240 woltów i Homer pstryknął włącznik, w całym pomieszczeniu rozbłysły kontrolki. Komputer zawarczał, na wyświetlaczu odtwarzacza wideo pokazały się zera, drukarka zaczęła terkotać, a z kilku radioodbiorników popłynął szum przypominający bębnienie deszczu o dach. Ja i Robyn szybko obiegliśmy pokój, wyciągając wtyczki z gniazdek, aż jedynym działającym urządzeniem został nadajnik radiowy fal krótkich. Homer skupił się na jego wyświetlaczu i powoli przekręcał gałkę. Słysząc było przede wszystkim szum, ale od czasu do czasu mieszały się z nim głosy mówiące obcym językiem: niezrozumiałe mamrotanie nieustannie przerywane trzaskami. Chwilami szum był tak głośny i nieoczekiwany, że brzmiał wręcz agresywnie i podskakiwałam ze strachu.

Po dziesięciu minutach patrzenia, jak Homer kręci gałką w przód i w tył, Robyn zapytała:

- Jak długo zamierzamy ryzykować?

- Zapytaj Lee, jak wygląda sytuacja na zewnątrz - odpowiedział Homer, nie podnosząc głowy.

Wysłam przez okno z tyłu i znalazłam Lee, który obserwował okolicę, stojąc na zbiorniku z wodą, prawie całkiem ukryty w bluszczu.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytałam.

- Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Co z radiem?

- Tylko szumi.

- Popróbujmy jeszcze przez piętnaście minut - powiedział Homer, kiedy przekazałam mu informacje.

- W sumie to prawie pół godziny - zauważyła Robyn. - Dużo czasu, jeśli akurat próbują nas namierzyć.

Najwyraźniej nikt nie chciał podjąć decyzji. Staliśmy i patrzyliśmy na Homera, który przechylając głowę w bok i uważnie nasłuchując, nadal próbował nawiązać łączność.

W dwudziestej pierwszej minucie na coś trafiliśmy. Usłyszeliśmy parę słów po angielsku. Homer gorączkowo cofnął gałkę, próbując złapać to pasmo. Musiał chwilę popróbować, kręcił gałką w przód i w tył, zawsze odrobinę za mocno, aż w końcu głos rozległ się bardzo wyraźnie. Pochyliliśmy się nad nadajnikiem.

- ...ale skóra lisa musi być idealna - powiedział jakiś mężczyzna. - Ceny spadły tak

nisko, że to przestało być warte zachodu. Trzeba się za bardzo naużerać. Odbiór.

Nie słyszeliśmy odpowiedzi, ale po chwili szumu Homer wykonał pierwszy ruch. Wcisnął przycisk nadawania i powiedział:

- Halo. Czy mnie słyszać?

Powtórzył to dwa razy, a potem zwolnił przycisk.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

- Zaczekaj chwilę, Hank - powiedział mężczyzna. - Nie usłyszałem końcówki. Ktoś nam się tu wcina. Koleś, zjedź z eteru, dobra? Naucz się manier.

- Powiedz „*mayday*” - szepnęłam do Homera.

Wiedziałam, że to słowo ma moc. I rzeczywiście. Homer wypowiedział je trzy razy. Wtedy nagle zyskaliśmy sprzymierzeńca.

- Hank, ktoś wzywa pomocy. Zadzwoń jutro. Mów dalej, *mayday*. W czym problem?

- Jest pan w Nowej Zelandii? - zapytał Homer.

- 10-4, odbiór.

Wszyscy pochyłaliśmy się nad radiem, stłoczeni wokół mikrofonu, jakbyśmy zamierzali wejść do nadajnika.

- Jest nas sześcioro - zaczął Homer. - Utknęliśmy obok Zatoki Szewca, niedaleko Stratton. Udało nam się przetrwać na wolności od początku inwazji, ale sytuacja wygląda coraz gorzej. Mamy nadzieję, że ktoś pomoże nam się stąd wydostać, zanim nas złapią. Zrobiło się naprawdę gorąco. Eee... odbiór.

Męski głos odezwał się natychmiast, był cichy, ale zdecydowany:

- Dobra, zrozumiałem. Po pierwsze, nie podawajcie żadnych dalszych szczegółów dotyczących waszej lokalizacji. Nie wiadomo, kto może tego słyszeć. Po drugie, nie nadawajcie zbyt długo. Mogą was wytropić. No, kolego, jak pewnie się domyślasz, nie jesteście pierwszymi Australijczykami, którzy dzwonią po pomoc. Mogę jedynie zanotować te informacje i przekazać je wojsku. Muszę zaznaczyć, że raczej nie będziemy w stanie wiele dla was zrobić. Tak samo było w wypadku osób, z którymi rozmawiałem wcześniej. Ale jeśli połączycie się znowu za dwie godziny, zdążę chwilę pogadać z wywiadem wojskowym i powiem wam, co oni na to. Odbiór.

- Gdzie pan jest? - zapytał Homer.

- Na South Island. Trzydzieści sześć kilometrów od Christchurch. Chcielibyście mi przekazać jeszcze jakieś informacje o sobie? Tylko bądźcie ostrożni, dobra? Odbiór.

- Jesteśmy tylko paczką nastolatków - powiedział Homer. - Robimy, co w naszej

mocy, ale nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymamy.

Homer wydawał się zmęczony i zrezygnowany, prawie jakby za chwilę miał się rozpłakać. Byłam w szoku. Nie przypuszczałam, że zobaczę go kiedyś w takim stanie. Robyn złapała mikrofon.

- Kiedy będzie pan rozmawiał z wojskiem - powiedziała - proszę im przekazać, że to my wysadziliśmy Zatokę Szewca. Odbiór.

- Zatoka Szewca. W porządku, przekażę. Coś jeszcze? Odbiór.

- Nie - powiedziała Robyn. - To chyba wszystko. Połączymy się z panem za dwie godziny. Bez odbioru.

- Powodzenia, dzieciaki - powiedział mężczyzna. - Trzymajcie się. Jesteśmy z wami całym sercem, pamiętajcie o tym. Bez odbioru.



## 20

Te dwie godziny wlokły się w nieskończoność. Chyba wszyscy przeżywaliśmy takie same emocje. Bardzo liczyliśmy na to, że kontakt z Nową Zelandią nam pomoże, chociaż nie do końca wiedzieliśmy jak. Tak strasznie się ucieszyliśmy, kiedy ten mężczyzna odpowiedział na nasze wezwanie pomocy. Mimo to szybko rozwiął nasze małe nadzieje. Zareagowaliśmy tak, jak można się było spodziewać. Rozeszliśmy się w różnych kierunkach - to znaczy ta czwórka, która nie stała akurat na warcie - i nikt nie miał ochoty na rozmowę. Problem polegał na tym, że straciłam już wszelką nadzieję. Co mogliśmy zrobić? Dokąd pójść? Pozostawało nam jedynie wrócić do Piekła, ale w tamtej chwili nie byłam w stanie znieść takiej myśli. Bałam się, że w zwariuję w tym klaustrofobicznym kotle skał i drzew. Nie chciałam go więcej widzieć. Pragnęłam patrzeć na ruchome schody, sygnalizację świetlną, wieżowce i zatłoczone ulice. Chciałam się zmieszać z milionami ludzi w największym mieście na ziemi. Miałam dość naszego stylu życia i pięciu osób, z którymi przyszło mi dzielić ten los.

Wróciłam do pokoju ze sprzętem elektronicznym piętnaście minut przed wyznaczoną porą transmisji. Czulałam, że robi się niebezpiecznie. W jasnym świetle dnia wszystko mnie przerażało. Nie powinniśmy byli wychodzić z ukrycia o takiej porze. Powiedziałam Homerowi, żeby się streszczał, o ile w ogóle uda nam się nawiązać kontakt po raz drugi. Obraził się i powiedział, że nie jest głupi i sam na to wpadł. Westchnęłam i usiadłam, spoglądając na zegarek, a potem co parę minut wychodziłam i z niepokojem zerkiałam na drogę. Robyn i Fi pełniły wartę, ale nie były w stanie za bardzo się oddalić, co tak naprawdę oznaczało, że praktycznie tkwiły w pokoju razem z nami.

Kiedy pozostały jeszcze tylko dwie minuty, Kevin uruchomił generator i gdy tylko napięcie osiągnęło 240 woltów, przybiegł posłuchać. Homer nastawił nadajnik na odpowiednią częstotliwość i zaczął transmisję. Ku naszej uldze i radości odpowiedź przyszła prawie natychmiast. Tym razem było więcej szumu, ale dość wyraźnie usłyszeliśmy męski głos.

- Dobra, słyszę was - powiedział. - Jest tu ktoś, kto chciałby z wami porozmawiać. To, co zrobiliście w Zatoce Szewca, wzbudziło spore zainteresowanie. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby wojsko zareagowało tak szybko. Nie rozłączajcie się.

Prawie natychmiast odezwał się drugi głos. Cichy, ale rzeczowy i silny. Muszę przyznać, że trochę mnie odrzucił, bo przypominał majora Harveya. Może po szkoleniu wojskowym wszyscy mówią w taki sposób.

- Jestem podpułkownik Finley z wywiadu wojskowego Nowej Zelandii. Wiemy o niedawnym zniszczeniu obiektów wroga w Zatoce Szewca i rozumiemy, że bierzecie za to odpowiedzialność. Chciałbym uzyskać wszelkie informacje, którymi dysponujecie, ale pamiętajcie, że wywiad wroga może przysłuchiwać się tej rozmowie. Czy macie jakieś informacje, które moglibyście mi przekazać? Odbiór.

Homer wziął głęboki oddech, wyprostował się i zaczął mówić:

- Przebywamy na wolności od początku inwazji - powiedział ostrożnie. - Nie zdradzę, ilu nas jest, kim jesteśmy i ile mamy lat. Ale to prawda, że udało nam się przedostać do Zatoki Szewca i narobić tam sporo bałaganu. Wykorzystaliśmy prawie dwie tony ANFO i zatopiliśmy kontenerowiec. Wybuch zniszczył też dwa dźwigi, a do tego lecący niedaleko helikopter i nabrzeże, które spłonęło. To nasz czwarty atak od początku inwazji, ale teraz uciekamy i potrzebujemy pomocy. Coraz bardziej nas osaczają i nie mamy tu już większych szans. Musimy się wydostać i chcemy się dowiedzieć, czy moglibyście nam pomóc. Odbiór.

Natychmiast odezwał się podpułkownik Finley:

- Jak oceniacie obecną zdolność operacyjną w Zatoce Szewca? Odbiór.

Homer szukał odpowiednich słów. W końcu zapytał jednak tylko:

- Co ma pan na myśli?

- Czy nabrzeże nadal funkcjonuje? Jeśli tak, w jakim stopniu? Odbiór.

Homer spojrzał na nas z bezradną miną. Złapałam mikrofon.

- Tego nie wiemy. Nie jesteśmy ekspertami. Po prostu port wygląda jak ruina. Większość nabrzeża została zniszczona, więc będzie im bardzo trudno przeprowadzać załadunki i wyładunki, dopóki go nie odbudują. Odbiór.

- Wiecie, jak się nazywał zatopiony kontenerowiec?

- Nie.

- Wiecie, pod jaką pływał banderą?

- Nie.

- Wiecie, jaki ładunek przewoził?

- Nie. Chyba tylko puste kontenery.

- Czy istnieje szansa, żebyście tam wrócili i przyjrze się kilku rzeczom? Dam wam listę pytań, spraw, które należałoby zbadać.

Krew zawrzała mi w żyłach.

- Nie! Nie ma mowy! Nie mamy skłonności samobójczych. Odbiór.

- Dobrze, chyba rozumiem. Oczywiście spisaliście się doskonale i gratuluje wam. Pracujcie tak dalej. A teraz zaczekajcie chwilę, dam wam Lauriego. Odbiór.

- Zaraz! - zawołałam. - Niech pan zaczeka! - Szukałam odpowiednich słów. - Co zamierzacie... Możecie nas stąd wyciągnąć?

- Przykro mi, ale nie. Po prostu nie mamy zasobów. Pracujemy na najwyższych obrotach i mam nadzieję, że to docenicie. Wygląda na to, że potraficie doskonale o siebie zadbać. Jestem pewien, że w ciągu kilku miesięcy sytuacja się zmieni, ale do tego czasu nie możemy wam pomóc. Bądźcie w kontakcie z Lauriem. Wierzcie mi, wszystko, co możecie zrobić, żeby pomóc nam w tej wojnie, spotka się z wielkim uznaniem.

Nie powiedziałam nic więcej, a po chwili znowu odezwał się Laurie, by zakończyć rozmowę. Zaznaczył, że gdybyśmy chcieli nawiązać kontakt, będzie nasłuchiwał codziennie o ósmej wieczorem ich czasu. To wszystko, co mogli dla nas zrobić. Znowu byliśmy zdani na siebie. Na chwilę rozbudzili nasze nadzieje, a potem równie gwałtownie nam je odebrali.

W pokoju zapadła cisza. Chyba nikt nie był w stanie mówić. Za bardzo się zdołowaliśmy. Już dawno powinnam była rozpocząć wartę, podobnie jak Homer, ale on wydawał się zbyt zdruzgotany, by o tym myśleć. Poszłam zmienić Robyn nie dlatego że jestem męczennicą, ale dlatego że po prostu chciałam chwilę побыć sama, a stanie na warcie idealnie się do tego nadawało.

Znalazłam dobre miejsce na dachu zdezelowanego meblowozu, na który weszłam po pniu drzewa. Cienkie gałęzie oplatały pojazd, dobrze mnie osłaniając. Meblowóz wyglądał, jakby stoczył się z jakiegoś wzniesienia: nie tylko był pogięty i zmiażdżony po stronie pasażera, ale jego dach też był pomarszczony i poobijany. Porastała go trawa. Zostało na nim trochę ziemi, prawdopodobnie po tym, jak samochód koziółkował, i wyrosły na niej zadowolone chwasty. Nie było to miejsce, z którego można szybko ostrzec pozostałych, gdyby nagle zjawiły się wrogie oddziały, ale pomyślałam, że tym będę się martwiła później. Usiadłam, obejmując kolana, i zastanawiałam się, co powinniśmy zrobić. Może porwać samolot i polecieć do Nowej Zelandii. Zerknęłam na swoje ręce i dłonie. Wyglądały dość nieciekawie. Były pokryte zadrapaniami i bliznami. Knykie lewej spuchły po tym, jak wielka fala w Zatoce Szewca uderzyła mną o skały. Próbowałam sobie przypomnieć, ile czasu minęło od tamtej chwili, ale musiałam dać za wygraną. Miałam wrażenie, że całe tygodnie, ale wiedziałam, że nie. Pewnie upłynęło zaledwie kilka dni.

Na prawym kciuku była blizna po akcji wydostania Lee z Wirrawee w buldożerze. Po wewnętrznej stronie prawej ręki biegła długa szrama, która została mi po przedzieraniu się

przez las w noc masakry w obozie Bohaterów Harveya. Nie wiem, jak się wtedy zraniłam. Byłam zbyt przerażona, żeby to zauważyć. Chyba po prostu drasnęła mnie jakaś gałąź.

Na lewym łokciu był ślad po ugryzieniu komara, na grzbiecie dłoni siniak po upadku w ciemności. Moje paznokcie ucieleśniały koszmar manikiurzystki: były popękane, poobgryzane, pocięte i poszarpane. Ani jeden nie uchował się w całości. Ostatnio często ze skóry wokół paznokci sączyła mi się krew. Może to brak witamin, nie wiem. Nigdy nie byłam fanatyczką pielęgnacji skóry, ale w domu miałam standardowy zestaw kremów nawilżających i balsamów, których używałam przy wyjątkowych okazjach, na przykład kiedy chodziłam na imprezy. W dniach nauki szkolnej raczej ich nie stosowałam. Zresztą i tak nie miałam na to czasu, bo rano byłam zbyt zajęta. Co bym teraz dała za ten skromny rząd słoiczków i tubek! Cudownie byłoby powoli wmasować w skórę delikatny biały pachnący krem, który ujędrniłby ją i wygładził, przywracając do życia. Tylko odrobina luksusu, ale bardzo za nią tęskniłam.

Lee jakimś cudem znalazł mnie na meblowozie. Nie wiem jak. Musiał mieć węch border collie. W każdym razie zobaczył mnie i zaczął wchodzić na drzewo, żeby do mnie dołączyć. Nic nie powiedział - powoli wdrapał się na dach samochodu, a potem podczołgał się po powgniatanym metalu.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć.

- Wygląda na to, że nie wybieramy się do Nowej Zelandii.

- Na to wygląda.

- Tak bardzo na to liczyłam...

- Nie byłem pewien, czy cokolwiek z tego wyjdzie. Zresztą i tak wątpiłem, że nas stąd zabrają, a poza tym nie wiem, czy chciałbym tu zostawić rodzinę.

- Tak, też mnie to martwiło. Ale na razie nie ma chyba nic, co moglibyśmy zrobić dla naszych najbliższych. Jeszcze nie teraz.

- Już mnie nie lubisz, prawda?

Zaskoczył mnie. Wiedziałałam, że prędzej czy później ta rozmowa się odbędzie, ale nie przypuszczałam, że w taki sposób.

- Jasne, że cię lubię.

- Ale nie tak jak kiedyś.

- Nie, chyba nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu tak wyszło.

- Jak to? Chcesz powiedzieć, że w jednej chwili mnie lubiłaś, a milisekundę później

już nie?

- Tak, mniej więcej tak.

- To raczej mało prawdopodobne.

- Nie obchodzi mnie, czy to prawdopodobne. Tak po prostu było.

- Czy Fi powiedziała ci o mnie coś złego?

- Fi? Nie. Dlaczego miałyby to zrobić?

- Nie wiem, ale zawsze z nią rozmawiasz i to, co mówi, jest dla ciebie bardzo ważne.

- Nie wiem, czy rzeczywiście tak jest, ale nie powiedziała nic, co mogłoby mnie do ciebie zrazić. Ona nie wbija nikomu noża w plecy. Nie tak jak ja. - Uśmiechnęłam się, ale Lee nie był dziś w nastroju do żartów.

- Chodzi o coś, co powiedziałem?

- Nie, nie, naprawdę. Przysięgam, nie wydarzyło się nic konkretnego. Może po prostu mamy siebie dość na jakiś czas. Boże, chcę powiedzieć, że jesteśmy jeszcze młodzi, nie musimy od razu brać ślubu. W naszym wieku powinno się raczej romansować.

- Mój ojciec ożenił się w wieku siedemnastu lat.

- No to hura, bardzo się cieszę jego szczęściem, ale wierz mi, ja nie mam jeszcze takich planów.

- Sypiasz z Homerem?

Szybko uniosłam rękę, żeby go uderzyć, ale potem zmieniłam zdanie. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że od razu nie zepchnęłam go z dachu. Zachował się bezczelnie. Wiem, powiedział to tylko dlatego, że był przygnębiony, ale to go nie usprawiedliwiało. Co za palant. Bardzo się cieszyłam, że trzymam go na dystans, bo w tamtej chwili było mi całkowicie obojętne, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę, i nie miałam najmniejszej ochoty ciągnąć tej rozmowy. Przez parę minut siedzieliśmy w milczeniu.

Wiedział, że posunął się za daleko - przecież nie trzeba być laureatem Nagrody Nobla, żeby to wywnioskować.

Czułam, że szykuje się do przeprosin. Nie miał zbyt wielu innych możliwości. Nie zamierzałam mu jednak ułatwiać zadania. Uznałam, że może się jeszcze chwilę pomęczyć. W końcu ze dwa razy odchrząknął i zdołał to z siebie wydusić. Przepraszał mnie jakieś pięć minut.

- Dobra, dobra - powiedziałam wreszcie. - Nie przejmuj się. Ale mówiłam szczerze, Lee: nic konkretnego się nie stało. Po prostu potrzebuję odrobiny czasu i przestrzeni. Nie róbmy z tego wielkiego halo, proszę. Do tej pory nieźle nam szło, rzadko się kłóciliśmy. Ale mam wrażenie, że najgorsze jeszcze przed nami. Myślę, że czeka nas naprawdę ciężki okres,

bo nie mamy żadnych oczywistych rozwiązań, a to będzie chyba mocno dołujące. Dlatego musimy myśleć pozytywnie i nie przejmować się takimi sprawami.

    Nie odpowiedział i długo siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu zaczął padać deszcz.

    - Chodź - powiedziałam w końcu. - Złóżmy stąd. Będę musiała poszukać innego miejsca, żeby wypatrywać złych ludzi.

## 21

Późnym popołudniem zwołaliśmy naradę w samochodzie, w którym siedziałam od kilku godzin. Był to stary biały rover 2000 ze skórzaną tapicerką, w całkiem dobrym stanie. Chyba raczej nie uczestniczył w wypadku, prawdopodobnie padł ze starości, ale uznałam, że mimo to może w nim być wygodnie, więc wybrałam go na swój posterunek. Poza tym należał do nielicznych samochodów na złomowisku, które nadal miały przednią szybę. Dach przeciekał w kilku zardzewiałych miejscach, ale usiadłam dość daleko od nich i patrzyłam przez podrapaną, brudną szybę na szarą drogę w oddali.

Reszta znowu kręciła się po złomowisku, objijając się i nie robiąc nic konkretnego. Kiedy poszłam sprawdzić, co u nich słychać, większość spała. Rozciągnęłam długi sznur i zawiesiłam na nim puszkę z kamieniami, żeby w razie pojawienia się żołnierzy móc za niego pociągnąć i narobić hałasu, który ostrzeże pozostałych. O wpół do czwartej musiałam go użyć. Na drodze ukazały się dwie ciężarówki, które jechały znacznie wolniej niż inne pojazdy przemykające tędy od czasu do czasu. Od razu pociągnęłam za sznurek. Potrafiłam już rozpoznać patrol. Potem wymknęłam się z rovera i poczołgałam do pozostałych. Podjęliśmy błyskawiczną decyzję - na inną nie było czasu - że oni ukryją się w dole, a ja wejdę na drzewo nad meblowozem i będę obserwowała, co się dzieje.

Wdrapałam się po mokrym pniu, próbując nie ścisnąć go zbyt mocno, żeby nie zamoczyć ubrania. Potem usadowiłam się wśród mokrych liści i obserwowałam patrol. Skręcił w stronę bramy złomowiska, zatrzymał się i z pojazdów wysiadło ośmiu żołnierzy - w tym sześć kobiet. Pocieszające było to, że nie wyglądali na zbyt przejętych zadaniem. Nie sprawiali wrażenia doskonale wyszkolonych komandosów, którzy rozpoznają teren, aby zlikwidować cel. Wyglądali jak półetatowi żołnierze, których wygoniono na deszcz, żeby odwalili robotę, do której wcale się nie palili. Była z nimi pani oficer, która przez kilka minut krzyczała i pokazywała coś palcem. Potem żołnierze dobrali się w pary i ruszyli w różnych kierunkach.

To wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Rozglądali się, zaglądali pod samochody i do większości z nich. Ale na tym koniec. Jeden z nich podszedł do tylnych drzwi domu, które prawdopodobnie wziął za frontowe, i stłukł szybę. Usłyszałam brzęk padającego szkła. Żołnierz zajrzał do środka, ale prawie natychmiast się wycofał, marszcząc nos, a potem

powiedział coś do swojego partnera. Domyśliłam się co: „W tym domu śmierdzi”. Jeszcze jak! Wcale mu się nie dziwiłam.

Pół godziny później już ich nie było. Oczekałam dziesięć minut, a potem poszłam powiedzieć pozostałym, że mogą wyjść z ukrycia. Nikt nie był zbyt uradowany. To wszystko widzieliśmy już wcześniej. Znowu udało nam się ukryć - wprawdzie bez większego trudu, ale przecież mogło być inaczej. Wystarczyłoby, aby jeden ciekawski żołnierz zauważył blachę pod samochodem i zawołał pozostałych. To byłby nasz koniec. Wiedziałam, że pewnego dnia on nastąpi. Pewnego dnia zostaniemy złapani. Po prostu wyglądało na to, że jeszcze nie tym razem.

Wróciłam do rovera, żeby obserwować dalej, i właśnie wtedy dołączyli do mnie pozostali. Do zachodu słońca zostało pół godziny. Robyn usiadła obok mnie, na fotelu pasażera, a Fi usadowiła się na jej kolanach. Chłopaki wcisnęły się z tyłu. Było tak mało miejsca, że drzwi musieliśmy zostawić otwarte. Kevin siedział pod dziurą w dachu, więc co kilka sekund kapłała na niego woda.

Największym zaskoczeniem tamtej narady było to, że dowodzenie przejęła Fi. Pozostali wydawali się zbyt zmęczeni i zdołowani. Homer wyglądał okropnie, jakby pohulał na wiejskiej imprezie i trzeźwiał najdłużej ze wszystkich. Lee pogrążył się w myślach. Kevin wydawał się bardzo podminowany, ciągle mrugał, jakby miał piasek w oczach. Robyn była chyba w dobrej formie, ale milczała. Za to Fi wydawała się silna i zdeterminowana. Czasami właśnie taka była.

- Widzę, że nikt nie ma żadnych pomysłów - zaczęła pewnym głosem - więc powiem, co wykombinowałam.

- Dawaj, Fi - zachęciłam ją.

- No więc uważam, że powinniśmy trochę o siebie zadbać. Najlepszym rozwiązaniem byłyby trzytygodniowe wakacje na Wielkiej Rafie Koralowej za zupełną darmość i z tysiącem dolców kieszonkowego. Na to nie możemy jednak liczyć. Ale nawet podczas drugiej wojny światowej pilotom powierzano określoną liczbę misji, a potem odsyłano ich na odpoczynek. To, co się z nimi działo, nazywano chyba nerwicą frontową. No więc my też mamy swoją nerwicę frontową i musimy odpocząć. Jeśli w najbliższym czasie spróbujemy zrobić coś więcej, tylko się dobijemy. Przez kilka ostatnich tygodni działaliśmy bez przerwy, jak wariaci, a jedną z cech popadania w obłęd jest to, że człowiek tego nie zauważa. Nieważne, czy zrobimy to dla siebie, czy po to, żeby później lepiej walczyć. Prawda wygląda tak, że musimy o siebie zadbać.

- Więc myślisz, że powinniśmy zrobić sobie wakacje? - zapytał Homer.



Tak bardzo mi ulżyło, gdy usłyszałam, że Homer przejawia jakieś oznaki życia, że prawie się popłakałam. Chyba najważniejsze było to, że Fi dawała nam pozwolenie na odpoczynek. Nie było wśród nas dorosłych, którzy mogliby coś takiego powiedzieć, a sami przestaliśmy już o siebie dbać. Nasze umysły były w takim stanie, że nie potrafiły logicznie myśleć. Pracowaliśmy zapamiętali jak przeciążone silniki, które przestają dopiero wtedy, gdy w końcu się popsują. Słuchając słów Fi, zdałam sobie sprawę, że dobrze będzie chwilę odpocząć, że nie musimy wygrywać tej wojny sami.

- Tak - powiedziała stanowczo Fi.

- Nie chcę wracać do Piekła - powiedziała Robyn.

- Ja też nie - dodałam.

- Ja nie mam nic przeciwko - powiedział Kevin. - Dawno tam nie byłem.

- Myślałam o Przesmyku - dorzuciła Fi.

- Tak! - ożywił się Lee.

Ten nagły wybuch tak bardzo nas zaskoczył, że zaczęliśmy się śmiać. Widziałam jego twarz w pękniętym wstecznym lusterku. Wydawał się trochę zawstydzony, ale też się uśmiechał.

- Więc mówisz, że podoba ci się ten pomysł? - zapytał go Homer.

- No wiecie, podoba mi się Przesmyk - powiedział Lee.

Przesmyk to długie pasmo ziemi łączące miasto Ferris z parkiem narodowym Blue Rocks. W zasadzie to Przesmyk Webstera, ale nikt nie używa pełnej nazwy.

Do parku narodowego nie można dojechać samochodem. Pozostaje iść piechotą albo płynąć łodzią, bo przez Przesmyk nie biegnie żadna droga. Dzięki temu mógł być dla nas idealnym rozwiązaniem. Sam park jest piękny, ale Przesmyk jeszcze piękniejszy. Kiedyś byłam tam z rodziną Fi. Mieszkaliśmy w domku należącym do przyjaciół jej rodziców. Nie wiedziałam, że Lee kiedykolwiek też tam wypoczywał.

- Kiedy tam byłeś? - zapytałam jego odbicia w lusterku.

- Kiedy byłem skautem - odpowiedział.

- Nie wiedziałam, że byłeś skautem.

- Byłem. Ponad rok. Mniej więcej kilometr od Ferris jest obóz skautów i pewnej Wielkanocy spędziliśmy w nim pięć dni. Było super. Nachodziliśmy się do granic możliwości, ale i tak mi się podobało. Co za miejsce!

- Mhmm - potwierdziłam, przypominając sobie tamten dziki, skalisty krajobraz i fale rozbrzgujące się o klify. - Przez jakiś czas bylibyśmy tam bezpieczni. Myślę, że osadnicy są zbyt zajęci kolonizowaniem, by spacerować po lasach.

- To oznacza, że jeszcze przez jakiś czas bylibyśmy z dala od Wirrawee - powiedziała z wahaniem Robyn. - Mam poczucie winy, kiedy oddalamy się od naszych rodzin, nawet jeśli nie jesteśmy w stanie im pomóc.

- Jasne - przytaknęła Fi. - Wszyscy to czujemy. Ale tak szczerze: co możemy dla nich zrobić? Doskonale znamy odpowiedź: nic. Musimy to potraktować jak wakacje. Powiedzmy, że zaszyjemy się tam na dwa tygodnie, a potem wrócimy do Wirrawee i sprawdzimy, co się dzieje. Mamy wystarczająco dużo jedzenia, bo znaleźliśmy tu mnóstwo konserw, ale są strasznie ciężkie. Będziemy musieli wziąć jackaroo. Myślę, że warto zaryzykować. Jeśli wyruszymy w środku nocy i będziemy jechać powoli, bez świateł, powinniśmy być bezpieczni. Pewnie dojdą do wniosku, że jesteśmy już daleko stąd. Wszystkie patrole wrócą do Zatoki Szewca z pustymi rękami, a ich szefowie nigdy się nie dowiedzą, że ich podwładnym wcale nie chciało się nas szukać.

- Oby tak było - powiedziała z przejęciem Robyn.

Pomysł Fi w zasadzie nie napotkał sprzeciwu. Jedyńm problemem był czas. Nikt nie palił się do natychmiastowego wyruszenia w drogę. Od ataku minęło jeszcze za mało czasu. Postanowiliśmy odczekać cztery dni i zobaczyć, czy do tego czasu przestaną przeczesać okolicę. Wiedzieliśmy, że będzie nudno, ale lepsza nuda niż śmierć.

Objaliśmy się i nic nie robiliśmy. Ja przeważnie siedziałam i rozmyślałam, spoglądając na pola. Ze wstydem przyznaję, że znowu zaczęłam ssać kciuk - i to na dużą skalę. Ssałam tak długo, aż lewy palec robił się miękki, biały i mokry. Ale przynajmniej był czysty.

Szukaliśmy w domu jakichś książek, lecz oprócz podręczników technicznych znaleźliśmy tylko dwie. To niesamowite - pomyślałam - dom, w którym są tylko dwie książki. Jedna nosiła tytuł *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*, a druga *Przeminęło z wiatrem*. Nikt nie chciał czytać pierwszej, ale Fi i Robyn zaczęły się kłócić o *Przeminęło z wiatrem*. W końcu osiągnęły kompromis. Fi czyta szybko, więc to ona zaczęła, a gdy przeczytała kartkę, wyrywała ją i dawała Robyn. To był dobry system.

Homer i Kevin zaczęli majstrować przy silniku jackaroo, wpasowując w niego różne części wymontowane z wraków samochodów. Twierdzili, że dzięki temu nasz pojazd będzie szybszy, cichszy, czystszy i bardziej niezawodny. Kiedy skończyli, cieszyłam się, że w ogóle jeszcze chodzi.

Lee zniknął na całe godziny. I mam na myśli wiele godzin: na przykład osiem albo dziesięć. Myślę, że po prostu wałęsał się po polach, idąc tam, gdzie go oczy poniosły. Był bardzo niespokojny. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zmienia się w dzikie zwierzę.

W samotnego wilka.

Trzeciego dnia o czwartej nasze plany uległy zmianie. Siedziałam na dachu meblowozu, ssalam kciuk i patrzyłam, jak od strony pola idzie Lee. Trzymał się linii drzew, szybko przemykał od pnia do pnia: cień pośród wielu cieni. Gdy przechodził przez ogrodzenie złomowiska, zesłam, żeby go powitać.

- Zwołaj wszystkich - powiedział, gdy tylko mnie zobaczył. - Spotkajmy się przy jackaroo.

Rzuciłam jedno spojrzenie na jego twarz i pobiegłam poszukać pozostałych. Po zaledwie paru minutach byliśmy przy samochodzie i patrzyliśmy na Lee. Powiedział jedno słowo, ale ono nam wystarczyło:

- Psy.

- Jak to: psy? - zapytała Fi, lecz reszta z nas już wiedziała.

- Mają sforę psów - powiedział Lee. - Dwa owczarki alzackie i parę beagle'ów. Na dzisiaj skończyli szukać, ale myślę, że jutro zaczną znowu. Tym razem się nie objijają. Wiedzą, co robią.

- Opowiedz nam wszystko, co wiesz - poprosił Homer.

- Nie ma o czym opowiadać. Jakies trzy kilometry stąd stoją kościół i dom parafialny, a naprzeciw nich wiejska chata. Kiedy wchodziłem na wzgórze za kościołem, usłyszałem szczekanie. Padłem na ziemię, trochę się podczołgałem i wtedy ich zobaczyłem: przeszukiwali kościół i dom parafialny. Czterech żołnierzy, każdy z psem. Gdy skończyli, poszli do chaty i tam zrobili to samo. Zajęło im to tylko dziesięć minut. Zapomniałem dodać, że było jeszcze dwóch żołnierzy z karabinami, którzy tylko się przyglądali. Potem wszyscy wsiedli do ciężarówki i pojechali do następnego budynku, który wyglądał na starą podstawówkę. Ją też przeszukali, a potem chwilę się naradzali, spojrzeli na zegarek, wskoczyli do ciężarówki i wrócili tam, skąd przyjechali.

- Więc wygląda na to, że przeszukują wszystkie budynki wzdłuż drogi? - zapytałam.

- Właśnie. A jeśli rzeczywiście tak jest, zawitają tu jutro przed południem. Najpóźniej. Spojrzeliśmy na siebie.

- No to kto się pisze na Przesmyk? - zapytał Homer, gdy nikt się nie odezwał.

Takie rozwiązanie wydawało się najsensowniejsze. Musieliśmy podróżować samochodem, bo gdybyśmy próbowali iść, psy złapałyby nasz trop. Musieliśmy pojechać jackaroo, który był bardzo obciążającym dowodem rzeczowym. Wyglądało na to, że nadeszła pora, by wynieść się z tego okręgu.

Zaczęliśmy działać.

Nie mieliśmy żadnych map, ale doszliśmy do wniosku, że skądś je zwędzimy. Wiedzieliśmy, że jeśli będziemy się trzymali południa Stratton, powinniśmy dotrzeć do autostrady Conway, a potem przejechać przez Ferris. Przewidywałam, że podróż potrwa trzy godziny. Naszym największym problemem mogło być paliwo. Otaczały nas setki samochodów, ale nie znaleźliśmy ani kropli benzyny. Bak Jackaroo był wypełniony w trzech czwartych i mogłam jedynie mieć nadzieję, że jest wystarczająco duży.

Postanowiliśmy wyruszyć o drugiej trzydzieści w nocy, ale w końcu tak bardzo się wynudziliśmy i zniecierpliwiliśmy czekaniem, że wystartowaliśmy kilka minut przed drugą. Robyn i Fi już od godziny siedziały w samochodzie: twierdziły, że chcą sobie zaklepać miejsca z przodu. Chłopaki trochę ponarzekały, ale ostatecznie usadowiły się z tyłu. Wskoczyłam na fotel kierowcy i po chwili byliśmy już w drodze.

Znowu padał deszcz i robiło się coraz zimniej. Słaby początek naszych wakacji na plaży. Byliśmy jednak w lepszych nastrojach. Już samo przemieszczanie się dobrze na nas działało.

Pełziliśmy skrajem asfaltu, bez świateł. Kilka razy, kiedy las się przerzedzał i droga zakręcała, przystawałam. Na zmianę podchodziliśmy do każdego zakrętu, sprawdzaliśmy, czy nikt się nie zbliża, a potem dawaliśmy znak, że można jechać dalej.

Wyglądało na to, że nieoczekiwane patrole to już przeszłość, a poza tym doszliśmy do wniosku, że zobaczymy konwój, zanim on zobaczy nas, nawet jeśli będzie jechał z przyciemnionymi światłami. Uderzyło mnie, że od ataku na Zatokę Szewca nie widywaliśmy prawie żadnych konwojów. Wspomniałam o tym pozostałym i jeszcze bardziej się rozchmurzyli. Może dzięki ANFO naprawdę udało nam się dokonać czegoś wielkiego. Reakcja podpułkownika Finleya była zdecydowanie pozytywna. Nie przybiegłby porozmawiać z nami przez radio, gdybyśmy jedynie spuścili powietrze z opon.

Zaczęliśmy o tym wszystkim rozmawiać. Najwidoczniej było to nasze nowe natręctwo: nagle wszyscy zaczęli się przechwalać tym, co zrobili, co widzieli i jak się czuli. Tak samo było po wcześniejszych atakach: rozmawialiśmy o nich bez przerwy, aż w końcu przestawaliśmy czuć taką potrzebę. Ale o Zatoce Szewca w zasadzie jeszcze nie dyskutowaliśmy. Może byliśmy zbyt zmęczeni albo zdołowani. Jeśli chodzi o mnie, przyczyna tkwiła w tym, że ta akcja mnie przygniotła. Nie umiałam sobie poradzić z jej ogromem. Zwłaszcza z ostatnim etapem: z zastrzeleniem tamtych żołnierzy. To było zdecydowanie przytłaczające. A najdziwniejsze, że poza tym właściwie niczego nie odczuwałam. Wpakowałam facetom kulki, zastrzeliłam ich i zostawiłam, gdy krew wylewała się jeszcze na jasny czerwony piasek, a prawie tego nie zauważyłam. To był tylko kolejny

moment w moim życiu, „incydent”, tak jak aplikowanie owcom wlewek doodbytniczych. Nic w związku z nim nie czułam.

Tak więc jechaliśmy i trochę o tym wszystkim mówiłam. Niewiele, głównie dlatego, że trudno było cokolwiek wtrącić. Wszyscy przerywali sobie nawzajem, wcinaliśmy się, zanim ktoś inny zdążył skończyć to, co mówił, a nawet kończyliśmy za niego zdanie. Przypominało to niektóre próby szkolnego kółka teatralnego. Homer nadal mówił najmniej, ale wtrącił parę słów. Każde z nich coraz bardziej mi uświadamiało, jak mocno przeżył chwile spędzone w kontenerze i podróż do portu, prosto w ręce wroga. Pamiętam, że miałam rozpaczliwą nadzieję, że nie zostanie złapany po raz drugi, bo moim zdaniem raczej by tego nie wytrzymał. To wszystko naprawdę wytrąciło go z równowagi: ucieczka wodą, a potem pojmanie przez tamtych żołnierzy nad strumykiem. Stracił pewność siebie.

- Podałam się - powiedział, kiedy zapytałam o to, co się z nim działo w wodzie.

- Podałeś się? - zapytałam wstrząśnięta.

- Zobaczyli mnie, a byłem zbyt zmęczony, żeby dalej nurkować.

- Kto cię zobaczył?

- Ci na pokładzie i ci w śmigłowcu.

- Co było potem? Strzelali do ciebie? Jak im się wymknąłeś? Chyba jednak się nie poddałeś?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu unosiłem się na powierzchni wody i patrzyłem, jak po mnie płyną. Wtedy statek wyleciał w powietrze.

Poza tym powiedział niewiele.

- Co się stało nad Baloney Creek? - zapytałam pozostałych, ale żadne z nich tak naprawdę nie wiedziało, jak zostali schwytani.

- To pewnie przez śmigłowiec - powiedział Kevin.

- Za bardzo się wyluzowaliśmy - wyznała Fi. - W zasadzie nie...

- Nawet nie usłyszałem nadjeżdżającego samochodu - przerwał jej Lee.

- Chyba za głośno rozmawialiśmy albo coś w tym rodzaju.

- Usłyszałam twój krzyk - zwróciła się Robyn do Fi - i wtedy zobaczyłam żołnierzy.

- Boże, nigdy tego nie zapomnę. - Fi zadrżała.

- I tego, co im powiedziałaś - dodała Robyn, śmiejąc się do Lee.

- Co powiedział?

- Kazał im spadać.

- Co?!

- Byłem w szoku - wyjaśnił Lee. - Powiedziałem to, zanim zdążyłem pomyśleć. Po prostu palnąłem.

- Chyba tego nie usłyszeli - wtrącił się Homer.

- Usłyszeli - zapewnił Kevin. - Po prostu nie zrozumieli. Było mnóstwo krzyku i tak dalej.

- No właśnie, o co chodziło? - zapytałam. - Ktoś strzelił.

- Chodziło o pożądanie - wyjaśnił Kevin, ale nikt się nie roześmiał, więc ja też się powstrzymałam.

- Zainteresowały ich dwie dziewczyny - powiedział Homer.

- A dwie dziewczyny nie były zainteresowane nimi - dodał Lee.

- Wystrzał był po to, żebym się trochę pospieszyła - wyjaśniła Robyn.

Wtedy zaczęłam pojmować, co się działo i ile mieliśmy szczęścia, że zjawiłam się wtedy, kiedy się zjawiłam.

Powoli jechaliśmy dalej. Jedyłą oznaką życia na trasie był kremowy van, który wyglądał, jakby kiedyś należał do elektryka albo hydraulika. Stał zaparkowany na parkingu dla ciężarówek i miał włączone światła postojowe, ale ponieważ był dość daleko od drogi, zobaczyliśmy go, dopiero kiedy już prawie się z nim zrównaliśmy. Zła pogoda też miała w tym swój udział.

Pozostało nam jedynie przyspieszyć i jechać dalej. Pokonaliśmy cztery kilometry najszybciej, jak się odważyłam. Kevin ze strachem patrzył przez tylne okno, wypatrując pościgu. Potem skręciliśmy w boczną drogę i zaczekaliśmy dziesięć minut. Nikt się jednak nie zjawił, a jeśli chcieliśmy dotrzeć do Przesmyku przed wschodem słońca, nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie czasu. Zapaściłam silnik i ruszyliśmy w stronę Ferris.

- To pewnie patrol i żołnierze ucięli sobie drzemkę - zasugerował Homer. - W taką paskudną pogodę nie mieli ochoty jeździć tam i z powrotem.

Brzmiało to dziwnie, ale i tak uznaliśmy, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. W każdym razie ja tak uznałam. Dlatego byliśmy w kompletnym szoku, kiedy nas złapali.

## 22

Dobrze wybrali miejsce. Był to wąski odcinek drogi obok starego mostu Huntleigh. Droga skręcała i opadała, prowadząc na most. Za nim znowu zaczynała piąć się w górę długim, szerokim zakrętem, który wiódł ku zjazdowi na Stratton. Była prawie czwarta nad ranem, kiedy wrzuciłam luz, żeby jackaroo powoli stoczyło się po zakręcie. Wszyscy spali, bo inaczej zapytałabym, kto ma ochotę wysiąść i sprawdzić teren za zakrętem. Kątem oka zauważyłam niewyraźny żółty znak z napisem: „ZAKAZ RUCHU NA MOŚCIE”. Potem wjechaliśmy na starą drewnianą nawierzchnię. Czułam się tak, jakbym podskakiwała na torach kolejowych.

Przejechaliśmy most i znowu dodałam gazu, wchodząc w długi zakręt. Myślałam, że mam przywidzenia, bo nagle zobaczyłam dużą szarą przeszkodę pośrodku drogi. Ogromny niewyraźny głaz. Zaczęłam hamować i jak głupia zastanawiać się, czy przypadkiem nie osunęła się ziemia. Pozostali się budzili. Potem Homer wrzeszczał mi coś do ucha - nie wiem co - tak głośno, że strach w jego głosie zupełnie mnie sparaliżował. Zobaczyłam jednak, co stoi pośrodku drogi: wielki brudny czołg z ogromną szarą lufą wymierzoną prosto w nas.

Moją następną racjonalną myślą była nadzieja, że żołnierze mogą spać, tak jak tamci w vanie, których minęliśmy wcześniej. Nadal myślałam, że mamy szansę. Wdepnęłam hamulec i wrzuciłam wsteczny, nawet nie patrząc w lusterko, przekonana, że nie ma takiej potrzeby. Przez przednią szybę zobaczyłam jednak wystarczająco dużo, by zrozumieć, że wpadliśmy w poważne tarapaty. Po obu stronach czołgu pojawili się żołnierze. W sumie z ośmiu. Każdy z nich miał broń, która mogła chyba odpalać rakiety: lufy musiały mieć z metr długości i były szerokie jak rynny. Nie wiem, jak żołnierze radzili sobie z takim ciężarem. Wtedy Homer znowu krzyknął mi do ucha i tym razem natychmiast go zrozumiałam.

- Zatrzymaj się, zatrzymaj się, są za nami - powiedział, a potem cicho dodał: - Niedobrze.

Po raz pierwszy spojrzałam we wsteczne lusterko i zobaczyłam, co miał na myśli. Otoczyli nas. Gigantyczna wojskowa ciężarówka i druga, trochę mniejsza, siedziały nam na ogonie. Chwilę później, zanim zdążyłam pojąć, co się dzieje, przy drzwiach jackaroo stał już żołnierz i przykładał mi lufę do policzka. Mężczyzna ciężko oddychał, jego twarz lśniła od potu i mocno wytrzeszczał oczy, jakby był naćpany. Chyba po prostu był pobudzony akcją,

ale wydawał się tak nakręcony, że aż się wystraszyłam. Powoli, ostrożnie, bardzo ostrożnie podniosłam rękę. Leciutko obróciłam głowę w drugą stronę i zobaczyłam Robyn i Fi. Jeszcze nie do końca się obudziły, usiłowały zrozumieć, co się dzieje. Bo wszystko stało się błyskawicznie. Miały potargane włosy, a Fi otworzyła usta i rozejrzawszy się, zobaczyła, że naszą dobrą passę spotkał nagły i smutny koniec.

Ona też podniosła rękę. Robyn zrobiła to samo. We wstecznym lusterku nie widziałam, co dokładnie dzieje się na tylnym siedzeniu, ale przypuszczam, że rozgrywała się tam podobna scena.

Żołnierz obok mnie otworzył drzwi i powoli wysiadłam. Wtedy zgasił silnik i wyjął kluczyk, a następnie skinął głową w stronę pobocza. Poszłam tam i stanęłam obok trzech chłopaków. Po chwili dołączyły do nas Robyn i Fi, eskortowane przez żołnierza. Powiedziałam do Homera:

- Zapowiadają się fajne wakacje...

Nie skończyłam zdania, bo żołnierz, który stał obok mnie, uderzył mnie w twarz pięścią.

Był wysokim facetem i dobrze się zamachnął. Poczułam się tak, jakbym wpadła na ścianę. Bok twarzy natychmiast mi zdrętwiał i tamtym uchem niczego już nie słyszałam. Wszystko zaczęło mnie mrowić: oko, policzek, ucho - jakby nagle te części głowy zapadły w sen. Poczułam szczypanie łez - nie takich, które wylewa się z powodu bólu i szoku, lecz tych płynących odruchowo. Miałam tylko nadzieję, że żołnierz nie pomyśli, że mażę się jak baba, bo dostałam w twarz. Nie chciałam mu dawać satysfakcji. Poza tym nie chciałam wyjść na słabeusza przed przyjaciółmi.

Stojąc na poboczu, wiedziałam aż za dobrze, że mamy spore szanse na kulkę. Chyba dlatego, że ustawili nas w szeregu. Niepokojąco przypominało to scenę z filmów z udziałem plutonu egzekucyjnego. Nie wiem, czy pozostali myśleli podobnie, ale ja tak. Nikt więcej się nie odezwał. Staliśmy tylko z pochylonymi głowami, skupieni na własnym strachu. Wtedy Kevin nagle pierdnął i - to niewiarygodne - wszyscy zaczęliśmy chichotać. Pierdnięcie było tak głośne i furkoczące oraz tak niespodziewane i nieprzystające do okoliczności, że nie potrafiliśmy zdusić śmiechu.

Myślałam, że porządnie za to oberwiemy. Stałam i czekałam na cios, ale wtedy zauważyłam, że paru żołnierzy też z trudem zachowuje powagę. Chyba pewne sprawy są uniwersalne. Jakiś oficer - jeden z grupki oficerów stojących i rozmawiających po drugiej stronie drogi - krzyknął coś i żołnierze od razu się uspokoili. Zdażyliśmy już się pośmiać i kiedy zobaczyliśmy, że żołnierze poważnieją, też nad sobą zapanowaliśmy. Ale dobrze



zapamiętałam tę chwilę. Dzięki niej to wszystko stało się odrobinę łatwiejsze do zniesienia.

Nie było plutonu egzekucyjnego. Dziesięć minut później kazano nam maszerować w stronę paki wielkiej wojskowej ciężarówki. Staliśmy kilka minut, patrząc, jak czołg powoli odjeżdża, a potem żołnierz dał Homerowi znak, żeby wlaź na pakę. Kiedy Homer postawił nogę na stalowym stopniu, mężczyzna mocno uderzył go w tył głowy, tak że mój przyjaciel prawie padł na twarz. Następny był Kevin i jemu też się oberwało, podobnie jak później Robyn. Wyglądało na to, że to rutynowa procedura. Ale kiedy żołnierz uderzył Fi, poczułam ból. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś bił Fi. To było jak bicie pięknego wodnego ptaka. Patrzyłam, jak pięść zderza się z jej głową. Głowa opadła niżej, podobnie jak ramiona, ale oczywiście nie widziałam jej twarzy. Gdy przyszła moja kolej i stanęłam na pace, potraktowana w taki sam sposób, Fi siedziała już odwrócona twarzą do kabiny ciężarówki.

W środku było ciemno, pachniało płótnem i jeszcze czymś, chyba impregnatem. Dwaj żołnierze weszli za nami i przez kilka minut przywiązywali nam ręce do poprzeczek biegnących wokół paki. Kiedy skończyli, usiedli z tyłu i zaczęli nas obserwować. Przy nich trudno było cokolwiek zrobić, choćby porozmawiać. Mogłam jedynie myśleć.

Robyn próbowała zagadnąć żołnierzy, ale niewiele wskórała.

- Wiesz, że dziś już tędy jechaliśmy? - zapytała jednego z nich, ale odwrócił wzrok.

Nie wiem, czy mówił po angielsku.

Zwróciła się do drugiego, ale ten powiedział tylko:

- Zamknąć się. Nie gadać.

To zmniejszało szanse na rozmowę. Robyn, która siedziała naprzeciwko mnie, spojrzała mi w oczy i skrzywiła się. Odpowiedziałam jej uśmiechem, mając nadzieję, że wyglądam jak bohaterka, choć byłam tak oszołomiona strachem, że ledwie mogłam zmusić twarz do posłuszeństwa.

- Boli cię? - zapytała Robyn.

Żołnierz, który kazał jej się zamknąć, ruszył w jej stronę.

- Zamknąć się! - krzyknął. - Zła dziewczyna! - Potem spojrzał na nas i zawołał: - Wy złe ludzie! Zabić moje psyjaciele. Teraz wy wszystkie umrzeć, teraz wy umrzeć!

Roztrzęsiony, wrócił na swoje miejsce.

Wtedy byłam już pewna, że nas zastrzela. Poza tym było mi trochę żal tego mężczyzny. Tak naprawdę nigdy nie myślałam o tamtych żołnierzach jako o kimś, kto ma przyjaciół i jest czyimś przyjacielem. Śmierć przyjaciół musiała być dla nich równie okropna jak dla nas. Upłynęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni rozmyślałam o sprawach dobra i zła. Przywykliśmy już do robienia tego, co robiliśmy: do atakowania, niszczenia i zabijania. Nie

zastanawialiśmy się nad racjami przeciwnika. Oczywiście w pierwszych dniach inwazji sporo o tym myśleliśmy - pamiętam, że nawet o tym pisałam. Mieliśmy w kraju mnóstwo wszystkiego: mnóstwo jedzenia, mnóstwo przestrzeni, mnóstwo rozrywek. Nie chcieliśmy się tym jednak dzielić nawet z uchodźcami. Im dłużej trwała wojna, tym bardziej przyzwyczajaliśmy się do traktowania żołnierzy jako tych złych, a siebie jako tych dobrych. Proste. I głupie.

Niemniej jednak znowu zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać. I nie dbając o to, co pomyśli ten żołnierz ani co pomyślą pozostali, powiedziałam do niego:

- Przykro mi z powodu twoich przyjaciół.

Zrobił taką minę, jakbym go uderzyła. Uniósł brwi i jego usta ułożyły się w kształt litery O. Wydawał się zszokowany, zły, ale potem przez chwilę patrzył na mnie tak, jakby znowu stał się prawdziwym człowiekiem. W tym krótkim momencie zrozumiałam, że nie jest żadnym bezdusznym zabójcą, lecz kimś równie młodym, zagubionym i zestresowanym jak my. Popatrzyliśmy na siebie prawie jak przyjaciele.

Nie trwało to długo. Jego twarz znów przybrała ten sam ponury, agresywny wyraz co wcześniej. Cieszyłam się jednak, że to powiedziałam.

Oficer usiadł w kabinie na fotelu pasażera, a kobieta żołnierz zajęła miejsce za kółkiem. Zapuściła silnik i ruszyliśmy. Przez przednią szybę widziałam tylne światła innego pojazdu, a za nami światła postojowe jackaroo. Dalej zauważyłam jeszcze jeden pojazd. Zaczynało do mnie docierać, że ucieczka byłaby niemożliwa. Mimo to postanowiłam, że nie poddam się śmierci bez walki. Wolałabym zostać zastrzelona podczas próby ucieczki, niż stanąć pod ścianą i czekać, aż naszpikują moje ciało kulami.

Jechaliśmy ponad godzinę. Cały czas drżałam z zimna, rozmyślałam o tym, co może nas spotkać, i od czasu do czasu zerkałam na twarze przyjaciół, żeby sprawdzić, jak oni się trzymają. Wszyscy byliśmy bardzo bladzi, bardzo zmęczeni, bardzo spięci i wystraszeni. Jak tym żołnierzom mogło w ogóle przyjść do głowy, że jesteśmy niebezpieczni? Jak to się stało, że wysłali po nas wszystkie te ciężarówki i czołg? Wiedziałam jednak aż za dobrze, że zadaliśmy tym ludziom więcej strat niż ktokolwiek w tym okręgu, a może nawet w całym stanie. Bez wątplenia staliśmy się wrogami publicznymi. Prawdopodobnie byliśmy dla nich wrogiem publicznym numer jeden.

W słabych światłach ciężarówek zobaczyłam zielono-biały znak drogowy z napisem: „STRATTON 14”.

Więc tam nas wieźli. No jasne. W pewnym sensie poczułam radość: mogłam myśleć o czymś innym niż o śmierci. Kiedy zbliżyliśmy się do miasta, spojrzałam przez szybę, żeby

zobaczyć, jak wygląda Stratton. Od tak dawna nie byliśmy w mieście. Minęliśmy opuszczony zajazd dla kierowców ciężarówek, który został rozwalony na kawałki, jakby jakiś olbrzym zaatakował go olbrzymim dwuręcznym młotem. Potem wjechaliśmy na przedmieścia. Widok był wstrząsający. Wirrawee też zostało trochę zniszczone, ale nie aż tak. Widać było, że już tu sprzątało, ale zrobienie tego jak trzeba wymagało wielu lat i miliarda dolarów. Niektóre budynki były w zasadzie nietknięte, ale przy części ulic wszystkie zabudowania zrównano z ziemią. Na drogach było czysto, ale one okazały się wyjątkiem. Wszędzie leżał gruz. Widzieliśmy cegły, drewno, kamienie i arkusze ocynkowanej blachy, które sterczały i łopotały na wietrze jak zimne metalowe liście.

Moja babcia mieszkała w Stratton, ale daleko od miejsca, w którym się znajdowaliśmy - w dużym starym domu na wzgórzach. Na myśl o niej po policzku spłynęła mi łza, prawdziwa łza. Otarłam ją ze złością. Nie chciałam okazywać strachu. Chciałam go zachować dla siebie: w sercu burza, ale na twarzy pustynia. Tylko w ten sposób mogłam zachować jakąkolwiek siłę.

Przejechaliśmy przez dzielnicę handlową. Była bardziej zniszczona niż przedmieścia. Nie wiedziałam, czy spustoszenia dokonał wróg podczas inwazji, czy może późniejsze ataki Nowozelandczyków. Użyto jednak dużych bomb. Tożers, trzypiętrowy dom handlowy stojący przy najlepszej części ulicy, nadawał się teraz na duży parking. Tylna ściana zakładu energetycznego nadal stała, lecz poza tym z największego budynku w Stratton nic nie zostało.

Najsmutniejszy widok przedstawiała katedra Świętego Serca. Dawniej była pięknym starym kościołem z kamienia, cichym i spokojnym, z lśniącymi witrażami w oknach. Nie chciałabym stać obok niej, kiedy wyleciała w powietrze. Ogromne kamienne bloki zostały rozrzucone wokół jak klocki Lego. Jeden z nich leżał sto metrów dalej - wylądował na żelaznym ogrodzeniu Ogrodów Botanicznych Mackenziego.

Wjechaliśmy na wzgórze, a na jego szczycie gwałtownie skręciliśmy w prawo. Nagle zrozumiałam, dokąd jedziemy. Do najbardziej oczywistego miejsca: do więzienia. Prawie się uśmiechnęłam. Wiele razy mijaliśmy jego ponure szare ściany w drodze do babci, ale chyba nikt nie przypuszczał, że wyląduję w nim jeszcze przed ukończeniem szkoły. Co za hańba. Nigdy mi tego nie wybaczą.

Wtedy znowu poczułam strach. Miałam nadzieję, że pojedziemy do jakiegoś obozu, na przykład na teren wystawowy w Wirrawee, i już marzyłam, że uciekniemy stamtąd w blasku chwały. Więzienie w Stratton to było jednak coś innego. Pilnie strzeżona instytucja zaprojektowana dla najgorszych przestępców. Wiedziałam, że nie damy rady uciec.

Konwój zatrzymał się przed ogromną stalową bramą więzienia. Rozległy się krzyki i

trzaskanie drzwiami. Jedynie żołnierze w naszej ciężarówce nie ruszyli się z miejsca. Siedzieli tylko i patrzyli. Zjawił się jakiś oficer i przez okno porozmawiał z kobietą kierującą naszą ciężarówką. Kobieta wrzuciła bieg i ruszyliśmy. Stalowa brama cicho się rozsunęła i wjechaliśmy do środka. Zamknęła się za nami równie cicho. Znaleźliśmy się w ciemnym pomieszczeniu z betonu przypominającym wielki garaż, lecz zupełnie pustym. Czekaliśmy jedynie kilka sekund, nim otworzyły się drzwi po drugiej stronie i pojechaliśmy dalej. Spojrzałam na pozostałych. Wszyscy siedzieli przodem do kierunku jazdy, tak jak ja - oczywiście na tyle, na ile pozwalały nam przywiązane do poprzeczki ręce - i patrzyli przez przednią szybę, zastanawiając się, jaki koszmar się za nią ukáže.

Zobaczyliśmy ogromny teren z budynkami i trawnikiem. Całość otaczał wysoki płot, ale wewnątrz przypominało małą wioskę: wioskę z betonu, drutu i stali. Zauważyłam zadaszone przejścia łączące poszczególne budynki. Wyglądały jak rozwinięte ptaszarnie, podłużne klatki, którymi więźniowie mogli przechodzić, nie czując w powietrzu smaku wolności.

Pod gołym niebem umieszczono basen i dwa korty do tenisa, ale miałam przecucie, że raczej nie będziemy mogli z nich skorzystać.

Ciężarówka jechała bardzo wolno i w końcu zatrzymała się na dużym asfaltowym kwadracie niedaleko budynku z napisem „Administracja”. Zastanawiałam się, z kim będziemy siedzieć w tym więzieniu - z jeńcami wojennymi czy może z „normalnymi” przestępcami sprzed inwazji: z mordercami, gwałcicielami i rabusiami okradającymi banki.

Siedzieliśmy na pace i czekaliśmy. Wokół ciężarówki słychać było spore poruszenie. Spojrzałam do tyłu i zobaczyłam dlaczego. Z różnych budynków wychodzili żołnierze. Widziałam z piętnastu albo i dwudziestu. Nie byli to jednak agresywni żołnierze z karabinami, którzy przyszli nas torturować albo zastrzelić. Dopiero po chwili zrozumiałam, co ich przyciągnęło. Byli turystami. Widzami. W końcu pojęłam coś, co wcześniej mogły sugerować tylko słowa podpułkownika Finleya podczas naszej rozmowy przez radio: byliśmy gwiazdami. Ci żołnierze czuli się tak, jakby schwytali Neda Kelly'ego. Nie żeby kiedykolwiek słyszeli o Nedzie Kellym, ale pojmanie nas było wydarzeniem na podobną skalę.

Siedzieliśmy wstrząśnięci, gdy żołnierze tłoczyli się wokół tylnej części ciężarówki, gapiąc się na nas i rozmawiając. Ich głosy zupełnie mnie zaskoczyły. Mówili szeptem, jakby byli w kościele. Pokazywali nas sobie i komentowali, a potem ludzie z tyłu zaczęli się przepychać do przodu. Przepychali się i tłoczyli, próbując zapewnić sobie najlepszy widok.

Miałam tylko nadzieję, że nie spotka nas taka sama kara, jaka spotkała bandę Kelly'ego. Przekląłam jackaroo. Gdybyśmy jechali innym samochodem, może moglibyśmy

blefować, udawać normalnych nastolatków, którzy od początku inwazji ukrywali się w lesie. Teraz nie było dla nas jednak nadziei, zwłaszcza że nie przygotowaliśmy spójnej wersji, której wszyscy byśmy się trzymali.

Po dwudziestu minutach siedzenia i dygotania pod spojrzeniami żołnierzy, którzy przypatrywali nam się jak jakimś okazom w zoo, zobaczyliśmy starszego oficera. Miał na sobie więcej złota, niż można znaleźć na wystawie u jubilera. Tłum się rozstał, a ten człowiek, mały facecik z tłustymi czarnymi włosami, podszedł do nas, rzucił na nas jedno spojrzenie i wydał serię rozkazów. Nasi strażnicy zerwali się na równe nogi, a potem zaczęli wymachiwać karabinami i krzyczeć. Chyba chcieli zrobić wrażenie na przełożonym. Nie mieliśmy odwagi im się sprzeciwić.

Gdy nas rozwiązali, zeszliśmy z paki jedno po drugim i stanęliśmy zbici w grupkę na asfalcie. Szturchnęli nas lufami, żebyśmy utworzyli rząd, i kazali maszerować w stronę jednego z krytych przejść. Strażnik z kluczami otworzył bramę i weszliśmy do środka, zostawiając widownię za sobą.

Gdy brama zamknęła się za naszymi plecami, pomaszerowaliśmy naprzód. Ciągłe się rozglądałam, próbując rozeznąć się w sytuacji, ale nie było zbyt wiele do zobaczenia. Co kilka metrów mijaliśmy jakieś pomieszczenia, ale trudno było stwierdzić, do czego służą. Najwidoczniej niektóre z nich - te ze stalowymi kratami w małych okienkach umieszczonych w drzwiach - były celami, ale inne przypominały zwyczajne biura albo magazyny. Jedno wyglądało jak mała stołówka dla strażników, drugie było pomieszczeniem kontrolnym wyposażonym w wideomonitoring i telefony, przy których siedzieli ludzie wpatrzeni w ekrany z mnóstwem zielonych i czerwonych światełek. Przeszliśmy przez następną bramę, zaczekaliśmy, aż zostanie otwarta, a potem zamknięta za naszymi plecami, aż w końcu skręciliśmy w lewo i powlekliśmy się ku niskiemu brązowemu budynkowi oddzielonemu kolejną bramą.

Gdy przeszliśmy przez tę bramę, znaleźliśmy się w naszym nowym domu. Było to skrzydło E, najlepiej strzeżona część najpilniej strzeżonego więzienia. W czasie pokoju gościło seryjnych morderców. Może zresztą właśnie nimi się staliśmy. Bez względu na to, czy zasłużyliśmy na ten los, straciliśmy kontrolę nad swoim życiem. To, czy przetrwamy, czy zginiemy, zależało teraz od innych.

## 23

W tamtej chwili zostałam odseparowana od przyjaciół i kazano mi maszerować do małego pomieszczenia z betonu. Z tego, co zauważyłam, wszystkie cele wyglądały identycznie. Moja była długa na pięć kroków i szeroka na cztery oraz w zasadzie pusta. Stało tam łóżko, niskie i zabudowane od dołu - chyba po to, żeby niczego nie można było pod nim ukryć. Poza tym był sedes i umywalka. Jedno i drugie działało, jak szybko i z ulgą odkryłam. Z kranu płynęła tylko zimna - wręcz lodowata - woda, ale byłam wdzięczna i za nią. Poza tym w celi stały jeszcze tylko biurko i krzesło, obydwa przytwierdzone do podłogi dużymi stalowymi śrubami. Wszystkie meble lśniły bielą, ale ściany były jasnoróżowe. Łóżko zostało starannie zaścielone, jakby na mnie czekało. Sprawdziłam je: pościel była z flaneli w paski, a narzuta z taniej białej bawełny w kropki.

Przyszła mi do głowy banalna myśl, że przynajmniej znowu będę mogła pospać w normalnym łóżku. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni miałam taką okazję.

W celi nie znalazłam jednak niczego poza tym. Było to najzimniejsze, najbardziej puste, surowe i nudne pomieszczenie, jakie w życiu widziałam. Brakowało nawet włącznika światła. Zasilanie kontrolowano pewnie z zewnątrz. Zauważyłam dwa światełka w suficie zasłonięte grubą szybą, której zapewne nie dałoby się stłuc. Kiedy weszłam do celi, rozbłysło światło i zrobiło się nieznośnie jasno. Później odkryłam, że gdy światło gasło, robiło się nieznośnie ciemno.

Mój wzrok przesuwiał się po pomieszczeniu, próbując znaleźć coś, na co można by popatrzeć, co przerwałoby monotonię. W rogu sufitu, prawie niewidoczna w blasku światła, tkwiła soczewka przypominająca grube szklane oko. Domyśliłam się, że za nią jest kamera, i zarumieniłam się ze wstydu, bo chwilę wcześniej skorzystałam z toalety.

Zgrzytnęły zamki i zachrobotwały zasuwki, a następnie otworzyły się drzwi i weszły trzy strażniczki. Jedna z nich miała na sobie mundur oficerski, dwie pozostałe były szeregowcami. U pasa pani oficer wisiał pistolet w wypolerowanej do połysku skórzanej kaburze, a jej podwładne trzymały pistolety w dłoni i mierzyły do mnie. Nadal nie mogłam uwierzyć, że traktują nas z tak wielkim respektem - a właściwie ze strachem.

Chociaż najwyraźniej żadna z nich nie mówiła po angielsku, jasno pokazały, czego chcą. Musiałam się rozebrać, a one przeszukały moje ubranie, opróżniły kieszenie i ostrożnie

sprawdziły szwy i podszewki. Były bardzo dokładne. Gdy skończyły, zajęły się mną. To było krępujące i bolesne, ale dałam radę. Przecież nie miałam innego wyjścia. Potem pozwoliły mi się ubrać. Pomyślałam, że warto spróbować szczęścia, więc pokazałam na migi, że jestem głodna, ale kobiety w ogóle na to nie zareagowały. Gdy się ubrałam, wyszły z celi, zabierając zawartość moich kieszeni. Odrętwiała, zdałam sobie sprawę, że straciłam wszystko, nawet mojego małego misia Alvina, którego Lee ocalił z masakry w obozie Bohaterów Harveya. Wtedy Alvin przetrwał, ale wyglądało na to, że tym razem mu się nie uda.

Położyłam się na twardym łóżku. Naprawdę dziwnie było znowu poczuć pod sobą łóżko. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nakręcono wideo z więziennym aerobikiem, a jeśli tak, gdzie mogłabym zdobyć kasetę. Może sama bym taką nagrała i zbiłabym majątek, sprzedając ją seryjnym mordercom na całym świecie.

Jakiś czas później poczułam, że się budzę. Czyżbym naprawdę spała? Jak to możliwe? Co jeśli za chwilę zostanę rozstrzelana, a kilka ostatnich godzin życia zmarnowałam na sen? Jakie to głupie i tragiczne.

Znowu obudziły mnie odgłosy dobiegające od strony drzwi. Nadal paliło się oślepiające światło. Poczułam jednak zapach, który sprawił, że ożywiłam się i usiadłam. Zrozumiałam, że nadeszła pora karmienia. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Jedna z umundurowanych kobiet wniosła tacę, a dwie pozostałe zatrzymały się przy drzwiach z wycelowanymi we mnie pistoletami, żeby ją osłaniać. Kobieta położyła tacę na biurku i wyszła, nie patrząc w moją stronę. Ledwie ją zauważyłam. Jeszcze nie do końca się obudziłam, ale pokuśtykałam do biurka i usiadłam na białym krześle. Zimny metal szybko mnie dobudził. Spojrzałam na naczynia. Była tam miska gotowanego ryżu i talerz z trzema małymi kawałkami duszonej ryby. Na drugim talerzu leżały dwie kromki suchego białego chleba. Całość ubarwiał jedynie kubek ze słabą czarną kawą. Posiłek nie był ani atrakcyjny, ani obfity, ale zawsze to coś, więc byłam im wdzięczna. Nie spieszyłam się, przed połknięciem przeżuwałam każdy kęs dziesiątki razy, żeby jedzenie trwało dłużej. Między kęsami popijałam kawę. Była jednak zaledwie letnia, podobnie jak ryż i ryba, więc smakowała średnio. Lepsze posiłki jadaliśmy w lesie, mimo że były mało wyszukane.

Fakt, że są gotowi mnie karmić, był jednak pocieszający: sugerował, że nie zamierzają mnie od razu zabić. Zjadłam wszystko, a potem - przysięgam - z poczuciem winy zerknęłam w stronę kamery i wylizałam talerz. Tak, nieustraszona Ellie była zawstydzona tym, że ktoś zobaczy jej fatalne maniery. Chyba właśnie wtedy nabrałam pewności, że nie jestem urodzoną terrorystką.

Potem nie było już nic do roboty. Kilka razy zastukałam w ścianę, ale nikt nie

odpowiedział. Mniej więcej co pół godziny w małym okienku w drzwiach ukazywała się czyjaś twarz, która się na mnie gapiła. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Kamera dodatkowo pogarszała moją sytuację, bo nie wiedziałam, czy przypadkiem ktoś nie śledzi każdego mojego ruchu. W pewnej chwili, prawdopodobnie późnym rankiem - trudno było powiedzieć, która dokładnie jest godzina - przyłapałam się na tym, że pragnę, aby coś w końcu się wydarzyło. Potem zdałam sobie sprawę, że cokolwiek się stanie, na pewno będzie dla mnie złe, więc zaczęłam marzyć o tym, żeby nic się nie działo. Znowu położyłam się na łóżku i gapiałam się w sufit.

W celi doskwierała mi między innymi cisza. Pomieszczenie musiało mieć dobrą izolację akustyczną. Od czasu do czasu słyszałam trzaśnięcie drzwiami, ale poza tym do środka nie przenikał żaden dźwięk. Nuciałam pod nosem, potem zaczęłam cichutko śpiewać, byleby tylko narobić trochę hałasu. Zastanawiałam się, jak długo będę siedziała w tej celi i ile upłynie czasu, zanim zwariuję. Jestem człowiekiem gór, szerokich pastwisk i bezkresnego czystego nieba. Wiedziałam, że jeśli zbyt długo będę od tego wszystkiego odcięta, najzwyczajniej umrę. Nieważne, na co. Po prostu byłam pewna, że umrę.

W porze lunchu zabrano tacę ze śniadania i postawiono na jej miejscu tacę z lunchem. Jedzenie było w zasadzie takie samo - ryż i suchy chleb - ale dodali do tego mniej więcej pół kubka mięsnego curry i małe jabłko pokryte brzydkimi czarnymi plamkami.

Boże, pomyślałam, jak długo to wytrzymam? Czułam, że powoli dopada mnie okropna czarna depresja, niepodobna do tych, które przechodziłam wcześniej - raczej namacalna, jakby mój krajobraz zasnuwała paskudna czarna mgła, która nie zamierzała ustąpić. To było niepokojące, niemiłe uczucie. Jadłam lunch równie wolno jak śniadanie, rozmyślając o swojej sytuacji. Postanowiłam, że muszę wziąć się w garść. Jeśli zaczynam popadać w depresję po kilku godzinach, to co się ze mną stanie po tygodniu, miesiącu albo roku? Powtarzano mi, że jestem silna, więc teraz musiałam to udowodnić. Wiedziałam, że bardziej niż kiedykolwiek jestem teraz zdana na siebie. Tłumaczyłam sobie, że mam umysł, wyobraźnię, pamięć, uczucia i ducha. To ważne i potężne atrybuty. Przypomniał mi się wiersz wiszący w sypialni Robyn w Wirrawee - ten, w którym kobieta opowiada, że gdy kiedyś odwracała się na plaży, widziała ślady czterech stóp: swoich i Boga, lecz teraz, w najtrudniejszych chwilach, odwraca się i widzi ślady dwóch. Pyta Boga: „Jak to jest, że wtedy, kiedy najbardziej Cię potrzebuję, nie ma Cię przy mnie?” A Bóg odpowiada: „Moje dziecko, jestem tu. To ślady moich stóp. Zostawiłem je, gdy cię niosłem”.

Kiedy przeczytałam ten wiersz po raz pierwszy, wydał mi się ładny, ale nic więcej. Dopiero teraz, gdy go potrzebowałam, stał się dla mnie ważny. W celi okazał się chyba



najważniejszą rzeczą, jaką miałam.

Postanowiłam podzielić czas między posiłkami. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, bo zabrali mi zegarek. A w celi nie potrafiłam odróżnić dnia od nocy. Dlatego posiłki były jedyną miarą, jaką dysponowałam. Zdecydowałam, że część czasu będę poświęcała na aktywność fizyczną, część na umysłową i część na twórczą. Zaczęłam od fizycznej, która jest chyba najbardziej zgodna z moją naturą. Pierwsza sesja więziennego aerobiku składała się z ćwiczeń na rozciągnięcie mięśni, po których nastąpił taniec mojego pomysłu, z mnóstwem kroków do przodu i do tyłu. Musiałam unikać wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić kolanu, które nadal było obolałe i spuchnięte. Poza tym szło mi całkiem dobrze. Najgorsze było to, że brakowało świeżego powietrza. Do środka wpadało go bardzo mało. Normalnie nie miało to większego znaczenia, ale gdy tylko zaczęłam ćwiczyć, całe zużyłam. Po minucie byłam już strasznie spocona.

Następnie próbowałam wyczerzyć umysł. Zaczęłam od matmy, mnożąc w głowie ułamki - trzy ósme razy dwie trzecie równa się jedna czwarta, tego typu działania - a później przeszłam do geografii, wyliczając w myślach takie rzeczy jak trzy główne rodzaje erozji, najważniejsze przyczyny erozji, definicje moreny czołowej i tak dalej. Cały czas ćwiczyłam pamięć.

Postanowiłam również przypomnieć sobie słowa czterech piosenek. To było całkiem zabawne. Wybrałam *Public Friends*, *Bananas in Pyjamas*, *Sitting on the Dock of the Bay* i *Reason for It All*. Specjalnie zdecydowałam się na tak zróżnicowany repertuar - niektórych słuchałam z kaset rodziców, innych z kompaktów. To zadziwiające, że kiedy wyczerzałam pamięć i powtarzałam słowa piosenek cztery, pięć razy, przypominało mi się coraz więcej fragmentów. W końcu odtworzyłam prawie wszystkie. Najwięcej problemów sprawiło mi *Reason for It All*. Z *Bananas in Pyjamas* poszło całkiem gładko.

Upłynęło sporo czasu, a przynajmniej tak mi się wydawało. Prawie przestałam mieć obsesję na punkcie więzienia i śmierci, a to była całkiem pozytywna zmiana. Dlatego zaskoczył mnie ponowny zgrzyt otwieranego zamka. Przypuszczałam, że nie nastąpiła jeszcze pora podwieczorku, i miałam rację. Gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłam w nich dwóch umundurowanych mężczyzn, a za nimi dwie kobiety. Skinęli, żebym wstała z łóżka, więc wstałam. Potem odsunęli się, zapraszając mnie do wyjścia z celi. Wysłam na korytarz, nie umiając zapanować nad drzeniem. Czy za chwilę umrę? Czyżbym ostatnie popołudnie życia poświęciła na przypominanie sobie słów *Bananas in Pyjamas*? Miałam umrzeć, nie pożegnawszy się z rodziną, z przyjaciółmi?

Eskorta otoczyła mnie i ruszyliśmy korytarzem. Początkowo byłam tak wystraszona,

że ledwie szłam, ale gdy dotarliśmy do pierwszej bramy, złapałam rytm i poruszałam się z większą łatwością.

Przemaszerowaliśmy przez bramę, którą wcześniej weszliśmy. Przemierzyliśmy prawie całe więzienie i zatrzymaliśmy się przy jasnozielonym budynku z lewej. Kolory w tym miejscu były delikatne, pastelowe. Przypominał trochę nową bibliotekę w Wirrawee. Było w nim więcej okien niż w sąsiednich budynkach. Drzwi pilnował strażnik. Zanim wpuścił nas do środka, odhaczył jakiś punkt na liście przyklepionej do podkładki z klipsem. Wszłam razem z czterema strażnikami. Wnętrze bardziej przypominało poczekalnię u lekarza niż bibliotekę: zobaczyłam rząd krzeseł i stół do kawy. Brakowało tylko stosu czasopism. Nikt z nas jednak nie usiadł. Staliśmy onieśmieleni.

- Na co czekamy? - zapytałam wartowników.

Nie spodziewałam się odpowiedzi. Chciałam tylko pokazać, że się nie boję. Nie odpowiedzieli. Nie wiem nawet, czy rozumieli po angielsku.

Czekaliśmy co najmniej pół godziny. Było strasznie nudno. Najbardziej liczyłam na to, że to faktycznie gabinet lekarski. Możliwe, że chcieli nas poddać oględzinom. W czasie pokoju był to pewnie element normalnej więziennej procedury. Może nadal tak robili.

Ale nie, nie miałam tyle szczęścia. W korytarzu po lewej otworzyły się drzwi i strażnicy popchnęli mnie w tamtą stronę. Całe moje przerażenie powróciło w jednej chwili i idąc, kołysałam się jak podtopiona łódź na wzburzonym morzu. Czując mdłości, skręciłam w stronę drzwi i przestąpiłam próg.

Wtedy go zobaczyłam. Kogoś, kogo nie spodziewałam się zobaczyć już nigdy. Kogoś, o kim prawie zapomniałam. Kogoś, kim tak bardzo pogardzałam, że na jego widok pociemniało mi w oczach i omal nie zemdlałam.

- Ellie, moja droga - powiedział major Harvey. - Wejdz, wejdz. Jak miło cię widzieć.

Nastąpiła okropna cisza. Chociaż nienawidziłam okazywać słabości, musiałam się złapać framugi, żeby zachować równowagę i nie upaść. Zaczęło do mnie docierać, w jak poważnych jesteśmy tarapatach, w jak niebezpiecznej znaleźliśmy się sytuacji. Poczułam się pokonana i straciłam wszelką nadzieję.

Major Harvey siedział przy dużym lśniącym czarnym biurku. Leżały na nim tylko zegarek, linijka, wieczne pióro i trzy arkusze papieru ułożone z idealną precyzją. Za Harveyem stali dwaj oficerowie. Jednym z nich był mężczyzna ze złotymi galonami, którego widzieliśmy zaraz po przyjeździe. Obok niego stała kobieta pozłocona niemal tak samo. Stali i gapili się na mnie z kamiennymi twarzami.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć majorowi Harveyowi w oczy. Były martwe i puste.

Zastanawiałam się, czy w środku jest człowiek, czy może to tylko mroczny diabeł z samego piekła. Ci żołnierze walczyli przynajmniej uczciwie, pod własną flagą. Za to on był obrzydliwym cieniem istoty ludzkiej. Wiedziałam, że zmiażdżyłby mnie z taką samą łatwością, z jaką ja zabijam muchę, a poza tym czułam, że miałby z tego pewną perwersyjną przyjemność.

Wyprostowałam się. Harvey nie spuszczał ze mnie wzroku - tych czarnych kaprawych oczek, które w ogóle nie przypominały oczu. Wyglądały tak, jakby skóra została przekłuta w tych dwóch miejscach twarzy, by pokazać mi, co jest w środku: pusta, brzydka ciemność.

Kiedy się wyprostowałam, zauważyłam lekki ruch wokół jego ust. Był to prawie uśmiech, jakby Harvey oczekiwał takiego ruchu z mojej strony. Nie zareagowałam. Bo co miałam zrobić? Bałam się, że jeśli otworzę usta, puszczę pawia. Ze strachu, z nienawiści.

Major Harvey sięgnął prawą dłonią i wysunął szufladę biurka. Wyjął mały srebrny dyktafon i położył go na środku dużego blatu.

- Usiądź, Ellie - powiedział.

Usłuchałam i w milczeniu osunęłam się na najbliższe krzesło, modny szary mebel z trzciny i stali. Mocno zacisnęłam dłonie na podłokietnikach, wiedząc, że zostawiam na nich mokre, lepkie ślady potu, ale czując, że chłód i twarde oparcie są mi potrzebne. Major Harvey włączył dyktafon.

- No, Ellie - powiedział. - Chyba w zasadzie niczym nas nie zaskoczysz. Wiemy o wszystkim. Ale dla porządku wymagamy pełnych zeznań ze szczegółami waszych działań. Możesz zacząć od swojego nazwiska, adresu i wieku, a potem wrócimy do ataku w Zatoce Szewca. Tylko nie zapomnij o oficerze i dwóch innych żołnierzach, których zabiłaś z zimną krwią, kiedy ukradliście jackaroo.

Siedziałam i gapiłam się na niego. Nie wiedziałam, co robić. Nie byłam w stanie myśleć. Nie miałam pojęcia, co jest dla mnie najlepsze: milczeć, powiedzieć wszystko czy może uraczyć go miksturą z kłamstw i prawdy. Całkiem prawdopodobne, że rzeczywiście wiedział o większości naszych akcji, zwłaszcza jeśli przesłuchał już pozostałych. Podejrzewałam, że gdy przyłapie mnie na kłamstwach, potraktuje mnie bardzo brutalnie. Wolałam go nie denerwować.

Dlatego milczałam. Nie chciałam zgrywać bohaterki, ale zwyczajnie nie wiedziałam, co powiedzieć. Potem doszłam do wniosku, że milczenie będzie chyba całkiem dobrą strategią.

Czekał przez jakąś minutę. Potem powiedział:

- Wiesz, Ellie, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wydałaś mi się wyjątkowo

niegrzeczną i upartą młodą damą. Na swoje nieszczęście zostałaś wychowana w społeczeństwie o bardzo niskich standardach, więc tolerowano takie zachowanie. Nie jesteś już jednak dzieckiem. Zostaniesz potraktowana jak dorosła.

Zamilkł. Najwyraźniej czekał, aż coś powiem, ale nie byłam w stanie niczego wymyślić. Zatem ciągnął dalej:

- Gdy dziecko popełnia wykroczenie, zostaje ukarane. W jego wypadku kara, jaka spotkałaby osobę dorosłą, musi jednak zostać zmodyfikowana, bo uznaje się, że dziecko nie odpowiada za swoje działania i nie potrafi w pełni zrozumieć tego, co zrobiło.

Chyba cytował jakiś podręcznik, przemówienie albo coś w tym rodzaju. Nadal nie wiedziałam, dokąd to wszystko zmierza, ale poczułam zimny, obezwładniający strach, niepodobny do tego, który dopadał mnie wcześniej. Jakby już przenikał mnie chłód śmierci, bieląc moją skórę i stapiając wnętrzności.

- Wierzymy, że dorosłe czyny zasługują na dorosłą karę. Od dawna działacie całkowicie nieodpowiedzialnie i destrukcyjnie. Popełniliście potworne zbrodnie. Dlatego oczywiście nie możecie liczyć na to, że zostaniecie potraktowani jak dzieci. Jestem zresztą pewien, że byście tego nie chcieli. Przywróciliśmy karę śmierci, aby radzić sobie z takimi zbrodniami jak morderstwa, terroryzm i zdrada. Dziś długo rozmawiałem z twoimi przyjaciółmi i zyskałem trafny obraz tego, czego się dopuściliście. Nie byłem zaskoczony, kiedy się okazało, że ty i ten Grek jesteście przywódcami waszej małej grupki. Jedyną rzeczą, której tak naprawdę od ciebie oczekuję, jest lista tych zbrodni oraz szczegóły dotyczące tego, jak je popełniliście, dzięki którym będziemy mogli ulepszyć nasz system bezpieczeństwa. Interesują nas zwłaszcza akty terroru w Zatoce Szewca. Możliwe, że dostarczając informacji na ich temat, zwrócisz nam uwagę na okoliczności, które skłonią nas do rozważenia łagodniejszej kary. Zastanawiamy się już nad łagodniejszym potraktowaniem jednego z twoich towarzyszy, który okazał się wyjątkowo pomocny, mimo że, szczerze mówiąc, w zupełności zasłużył na surową karę. W zasadzie nawet wielokrotnie. No więc, Ellie... - Odchylił się na krześle i splótł dłonie za głową.

Do tamtej chwili myślałam, że jest zupełnie rozluźniony i całkowicie nad sobą panuje, ale kiedy podniósł ręce, zobaczyłam ogromne plamy potu pod pachami koszuli, które sięgały prawie do pasa. Na ten widok poczułam się odrobinę lepiej.

- ...rozumiem, że jesteś kimś w rodzaju kronikarza i zapisujesz dokonania waszej małej zgrai chuliganów.

Sięgnął po kartkę z pliku na biurku i położył ją przede mną. Wyjął z kieszeni tani szary długopis z czerwonym napisem: „RZĄD STANOWY”.

- Kradzież długopisów to przestępstwo - powiedziałam.

Były to moje pierwsze słowa wypowiedziane w tym pomieszczeniu i zabrzmiały bardzo głupio. Major Harvey tylko się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Ludzie się nie zmieniają, prawda, Ellie? - zapytał. - Ty chyba nigdy się nie zmienisz. Szkoda mi ciebie, naprawdę mi ciebie szkoda, bo gdybyś się zmieniła, byłoby ci pewnie łatwiej. No cóż, tu masz kartkę, a tu długopis. Jak już powiedziałem, możesz zacząć od zamieszania w Zatoce Szewca. Interesuje nas zwłaszcza to, w jaki sposób dostaliście się do portu, jakich użyliście materiałów wybuchowych i skąd je wzięliście. Zostawimy cię samą na godzinę. Radzę pisać szybko. Spisanie tego wszystkiego to twoja jedyna szansa. Wszystkiego, rozumiesz?

Dwa ostatnie słowa wypowiedział z nagłą wściekłością. Zaskoczył mnie, ale starałam się tego nie okazywać. Ponuro wbiłam wzrok w podłogę, a major Harvey opuścił pokój razem z dwoma oficerami. Zatrzasnęli za sobą drzwi i usłyszałam zgrzyt klucza w zamku.

Siedziałam i wpatrywałam się w kartkę. Nawet gdybym chciała, nie wyobrażałam sobie, jak miałabym przelać to wszystko na papier w ciągu zaledwie godziny. Potrzebowałabym całych miesięcy i setek tysięcy słów. To było bez sensu. Zresztą nie miałam siły, żeby cokolwiek pisać.

## 24

Major Harvey podniósł kartkę.

- Widzę, że coś się na niej pojawiło - oznajmił.

Nie odpowiedziałam. Domyślałam się, że rzuci jakiś głupi komentarz na temat czystej kartki.

- Tak - powiedział, odkładając ją. - Wyraźnie widzę, że coś się na niej pojawiło. Twój wyrok śmierci. Oto, co na niej widzę.

Spojrzał na mnie, czekając na reakcję. Nie zamierzałam dawać mu satysfakcji. Wprawdzie byłam bardzo zdezorientowana i nie wiedziałam, co powinnam zrobić, ale jedyną rzeczą, co do której w zasadzie nie miałam wątpliwości, było to, że nie zrobię niczego, czego żąda ode mnie major Harvey.

- Doskonale napisany wyrok śmierci - podsumował, eksploatując swój mały żarcik do granic możliwości.

Znowu usiadł za biurkiem. Przyszła z nim pani oficer, która tym razem też usiadła na krześle w rogu pomieszczenia. Major Harvey mówił dalej:

- Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, Ellie - powiedział. - Próbuję ci pomóc, ale nie zamierzam poświęcać kolejnych dni na przekonywanie cię, że warto ocalić życie. Jeśli nie jesteś tym zainteresowana, nie widzę powodów, dla których ja miałbym być. Jesteś bardzo niemądrą, bardzo upartą dziewczyną i mogę cię zapewnić, że zostaniesz rozstrzelana jeszcze przed końcem tego tygodnia, jeśli nie podejmiesz wysiłku, aby powiedzieć nam to, czego chcemy się dowiedzieć.

Pragnęłam uwierzyć, że mam jeszcze jakąś szansę, ale nie potrafiłam. Wiedziałam, że jeśli zamierzają mnie rozstrzelać, kilka błahych szczegółów związanych z Zatoką Szewca na pewno ich od tego nie powstrzyma. Z drugiej strony nie było sensu niczego przed nimi ukrywać.

- To nie żadna wielka tajemnica - powiedziałam. - Dostaliśmy się do Zatoki Szewca w popsutej ciężarówce wiozącej kontener, którą odholowali mechanicy. Wypchaliśmy kontener ANFO, a kiedy żołnierze załadowali go na statek, wysadziliśmy go w powietrze.

- ANFO? Co to jest ANFO?

- Powinien pan wiedzieć. Przecież był pan w wojsku, prawda?

Trochę się zarumienił.

- Odpowiadaj na pytania - powiedział sztywno.

- To saletra nasączona paliwem. Przygotowuje się detonator, ANFO wybucha i wszystko wylatuje w powietrze.

- Jak zdobyliście ten materiał?

Wzruszyłam ramionami.

- Można go znaleźć na każdej farmie.

- Skąd o tym wiedzieliście? Jak udało wam się skonstruować bombę o takiej sile?

- Mój ojciec bez przerwy wykorzystywał ANFO. Wysadzał nim pnie drzew i tego typu rzeczy.

Major pochylił głowę i błysnął do mnie swoimi małymi czarnymi oczkami.

- Dokładnie pamiętam, że kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z tobą i z twoimi przyjaciółmi tamtego pamiętnego dnia w dolinie Holloway, powiedzieliście, że nie macie pojęcia o substancjach wybuchowych. O ile dobrze sobie przypominam, padła odpowiedź: „Nic o nich nie wiemy”.

Zamilkłam. Siedziałam zarumieniona, przyłapana na kłamstwie i nie potrafiłam się wytłumaczyć. Oczywiście próbowałam chronić Kevina, ale kiepsko mi szło. Major przypuścił atak:

- Opisuując tamtą akcję, powiedziałaś „my”. „My” to znaczy kto? Ile osób zaatakowało w Zatoce Szewca?

- Oj, przepraszam, byłam tam sama. Pozostali pomogli mi zgromadzić parę rzeczy i dlatego powiedziałam „my”. Ale zrobiłam to sama.

Roześmiał się, lecz bez cienia wesołości.

- Kiepsko ci idzie. - Odczekał chwilę, nie patrząc na mnie, a potem znowu się pochylił. - Powiem ci, co naprawdę się stało. W jakiś sposób udało wam się skontaktować z zawodowymi żołnierzami. Domyślałam się, że z sabotażystami z armii Nowej Zelandii, którzy wylądowali na spadochronach. Wiemy, że się tu kręcą. Spotkaliście ich i pracowaliście z nimi, pod ich dowództwem, a wczoraj w nocy, kiedy was złapaliśmy, to albo jechaliście się z nimi spotkać, albo wykonywaliście misję, na którą was skierowali. Pierwsze czy drugie?

Opadła mi szczęka.

- Wiem, że próbujesz ich chronić - ciągnął. - Ale ostrzegam cię po raz ostatni, młoda damo: od tego, co nam powiesz, zależy twoje życie. A do tej pory nie powiedziałaś mi niczego.

Próbowałam coś z siebie wydusić.

- Dlaczego... Dlaczego pan uważa, że nie działaliśmy na własną rękę? - zapytałam w końcu.

Uśmiechnął się zwycięsko, jakbym potwierdziła jego teorię. Chyba sposób, w jaki zadałam to pytanie, utwierdził go w przekonaniu, że miał rację. Że mnie rozgryzł.

- To całkiem proste - powiedział. - Jesteście sześciorgiem licealistów. Pracuję z młodymi ludźmi, odkąd w wieku dwudziestu lat ukończyłem kolegium nauczycielskie. Wiem, co potrafią, a czego nie. To, co rzekomo zrobiliście, jest po prostu niemożliwe. Kiedy was poznałem i chełpiliście się atakami, wysadzeniem mostu w Wirrawee i tak dalej, od razu uznałem, że to typowe młodzieńcze przechwałki. Później, jakiś czas po strzelaninie, kiedy myślałem, że zostaliście zabici, dowiedziałem się, że most w Wirrawee rzeczywiście wyleciał w powietrze i w chwili zajścia widziano przy nim co najmniej dwie uciekające dziewczyny. Poczulem, że nie doceniłem waszej grupy, i zdałem sobie sprawę, że musicie być wspierani przez wojsko. Potem nastąpiła eksplozja na Turner Street. Też maczaliście w niej palce, prawda? Miała wszystkie cechy działania zawodowych terrorystów. Następnie atak w Zatoce Szewca. A do tego zniszczenie helikoptera przez odrzutowiec nowozelandzkich sił powietrznych: twoim zdaniem to też był tylko miły zbieg okoliczności? Naprawdę myślisz, że w to uwierzę? A zasadzka i zamordowanie oficera i dwóch żołnierzy? Myślisz, że zgraja dzieciaków umiałaby zaskoczyć zawodowców? Nie, Ellie, prawda wygląda tak, że wmieszaliście się w coś znacznie poważniejszego, niż przypuszczacie, w coś, co zupełnie nie podlega waszej kontroli. A jeśli za tydzień o tej samej porze chcesz nadal żyć, lepiej wszystko mi powiedz, i to szybko. Musimy się dowiedzieć, gdzie znaleźć tych ludzi. Jeśli ich nie znajdziemy, wy umrzecie za nich, a chyba tego nie chcecie, prawda? Jesteście bardzo młodzi, za młodzi, żeby umierać, wybac banalność tych słów. Ludzie, dla których pracujecie i którzy tak naprawdę was wykorzystali, szkoda tylko, że tego nie widzisz, to zawodowi żołnierze. Dla nich śmierć to ryzyko zawodowe. Liczą się z tym, kiedy wstępują do służby. Wy nie musicie brać za nich odpowiedzialności.

Najbardziej przeraziło mnie to, że jego słowa, o dziwo, brzmiały całkiem sensownie. Rozumiałam, jak doszedł do takich wniosków. W pewnym sensie jego niemożność uwierzenia w to, że aż tyle osiągnęliśmy, była dla nas komplementem. Staliśmy się krwawą legendą i dlatego wpakowaliśmy się w paskudne kłopoty.

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Zaczęłam od racjonalnych wyjaśnień. Próbowałam mu wytłumaczyć, jak przeprowadziliśmy te wszystkie ataki. Byłam jednak zbyt zmęczona i wystraszona, więc wypadło to słabo. Nie potrafiłam sobie przypomnieć połowy rzeczy, które zrobiliśmy, ani ich kolejności, a zanim upłynęły trzy minuty, zaczęłam plątać się w



zeznaniach, czując, że sieć oplata mnie coraz ciaśniej i prawie podrzyna mi gardło. Zerwałam z racjonalizmem i zaczęłam błagać, porzucając w końcu dumę i prosząc o darowanie życia. Jedyną rzeczą, której nie zrobiłam, i jedyną, która pozwoliła mi zachować szacunek do siebie samej, było to, że nie wsypałam Homera w związku z Zatoką Szewca ani Kevina w związku z substancjami wybuchowymi. Być może to też bym zrobiła, gdybym myślała, że coś to zmieni, ale wiedziałam, że nie ma szans. Najlepsza historia, jaka w końcu przyszła mi do głowy, dotyczyła śmierci Chrisa. Skłamałam, że to on mnie nauczył konstruowania bomb. Major Harvey oznajmił jednak, że gdyby ta historia była prawdziwa, powiedziałabym mu o tym od razu. Nie miałam powodu, by chronić Chrisa.

Nie mogłam na to nic odpowiedzieć, bo miał rację.

W pewnej chwili miałam już dość tych wszystkich pytań.

- Dlaczego nie zapyta pan pozostałych? Usłyszysz pan to samo - powiedziałam.

Wtedy oznajmił, że resztą zajmują się inni śledczy. Okazało się, że wcześniej rozmawiał ze wszystkimi moimi przyjaciółmi, a mnie specjalnie zostawił sobie na koniec.

Przesłuchanie ciągnęło się godzinami, aż w końcu major Harvey wydawał się równie wyczerpany jak ja. W pewnym momencie kobieta wyszła. Prawie tego nie zauważyłam. Żołnierze, którzy mnie eskortowali, czekali na korytarzu i od czasu do czasu zaglądali do pokoju przesłuchań. W końcu się poddałam. Wyglądało na to, że nic, co powiem, nie będzie w stanie przekonać Harveya, że działaliśmy sami. Siedziałam pogrążona w ponurym milczeniu, a on nieustannie próbował mnie nakłonić, żebym mu wszystko wyjawiała.

Prawdopodobnie szczerze wierzył w swoją teorię. Ale poza tym chciał chyba coś udowodnić. Zastanawiałam się, czy sam też jest pod presją. Może pragnął dowieść żołnierzom, że jest wobec nich lojalny i dobrze wykonuje swoją robotę. Nie wiedziałam i nic mnie to nie obchodziło. Miałam wystarczająco dużo własnych problemów.

Cieszyłam się tylko z jednego: nie przyszło mu do głowy, że atak na Turner Street był wymierzony przeciwko niemu. Postanowiliśmy go wtedy zabić, taki był nasz najważniejszy cel. Nie udało nam się, ale najwidoczniej nie odnieśliśmy aż tak wielkiej porażki, bo pod koniec przesłuchania zapytał:

- Domyślam się, że atak na Turner Street był kolejnym zbiegiem okoliczności?

- Co ma pan na myśli? - zapytałam zmęczona. Po raz pierwszy od piętnastu minut zadałam sobie trud, żeby się odezwać.

- Skąd wiedzieliście, że był tam akurat generał S...?

Nie dosłyszałam nazwiska, które wymienił. Chyba niełatwo było je wymówić.

- Kto?

- Widzisz, to kolejny dowód na to, że kłamiesz. A może mi jeszcze powiesz, że w tej waszej małej zgrai działa też sieć wywiadu?

- Co?

- Ellie, trzeba było bardzo wyrafinowanej sieci wywiadowczej, żeby się dowiedzieć, że tamtej nocy w Wirrawee przebywa generał. Nawet większość naszych żołnierzy nie miała o tym pojęcia. Ale wy tak. Wy i ludzie, którzy zaplanowali ten atak. Prędzej czy później o tym też mi opowiesz, wyśpiewasz, skąd dostaliście tę informację. To dla nas bardzo istotne. Najważniejsze są jednak informacje o kryjówce Nowozelandczyków. Chcemy ich dopaść, Ellie, rozumiesz? I dopadniemy, bez względu na to, czy dożyjesz tej chwili, czy nie.

Po tym radosnym finale odprowadzono mnie pod eskortą do celi.

Tam trochę odreagowałam. Byłam totalnie wyczerpana. Nie pozostała we mnie nawet odrobina oporu. Chciałam wczłgać się pod łóżko i zwinąć do pozycji płodowej. Ponieważ jednak dół łóżka był zabudowany, mogłam jedynie przycupnąć w kącie. Nie płakałam, ale strasznie się trzęsłam. Chciałam się pozbierać, bo wiedziałam, że potrzebuję całej siły, jaką zdołam z siebie wyrzesać, ale nie miałam już żadnej. Dlatego skuliłam się i dygotałam.

O dziwo, w dalszym ciągu mnie karmili. Podwieczerek trochę mnie zmotywował. Nie wstałam ani nawet nie spojrzałam na kobiety, kiedy weszły do celi, ale po ich wyjściu podźwignęłam się na nogi, podeszłam do biurka i zmusiłam się do jedzenia. Nie wiedziałam, kiedy dostanę następny posiłek. Major Harvey na pewno nie był ze mnie zadowolony.

Niespełna godzinę później znowu zaprowadzili mnie do jego biura. Wyczułam jednak niewielką zmianę. Major wydawał się bardziej zrezygnowany i zniecierpliwiony. Stopniowo, słuchając jego gróźb i obraźliwych słów, zrozumiałam, co się dzieje. Sześcioro z nas miało już za sobą godziny przesłuchań i najwidoczniej cała szóstka okazała tak wielkie zdumienie teorią o nowozelandzkich komandosach, że żołnierze sami zaczęli w nią wątpić. Nic nie wskazywało na to, że nasz los mógłby się dzięki temu odmienić, ale nacisk, który na mnie wywierali, odrobinę zelżał. Major Harvey nadal mi wymyślał i wygrażał, ale już bez tak wielkiego przekonania. Główną przeszkodą była dla niego myśl, że udało nam się zrobić aż tyle, mimo że działaliśmy sami. Nie chciał w to uwierzyć, więc musiał szukać innego wytłumaczenia, a ponieważ w okręgu Stratton-Wirrawee wyłapali już wszystkich przeciwników, uznał, że maczali w tym palce Nowozelandczycy.

Męczyliśmy się do późnej nocy, jedna męcząca godzina po drugiej. Czasami major Harvey krzyczał i wrzeszczał, czasami przekonywał mnie z czymś w rodzaju udawanej cierpliwości, a czasami odwoływał się do emocji.

- Jesteś atrakcyjną młodą dziewczyną, Ellie - powiedział, wywołując ciarki na mojej

skórze - i ostatnią rzeczą, której bym chciał, byłby koniec twojego życia w tak młodym wieku. Ale musisz mi powiedzieć prawdę, bo inaczej nie będę w stanie ci pomóc. Wiem, że coś przede mną ukrywasz. Widzisz, znam młodych ludzi. W ciągu tych wszystkich lat miałem z nimi sporo do czynienia i wiem, kiedy mówią prawdę, a kiedy nie. Wykształciłem w sobie szósty zmysł, który pomaga w takich sprawach. A teraz Ellie, proszę, pomóż mi, pomóż sobie, pomóż swoim przyjaciołom i powiedz, kto zorganizował te ataki.

Uznałam, że warto spróbować wszystkiego, więc próbowałam udać skruczę.

- Wiem, że postąpiliśmy źle, majorze Harvey - powiedziałam, spuszczać głowę. To, czego pan Kassar uczył na kółku teatralnym o języku ciała, okazywało się czasami bardzo przydatne. - Ale nie wiedzieliśmy, co jest dla nas najlepsze. Widzi pan, nie było nikogo, kto mógłby nami pokierować.

Od razu się napuszył. Jak kawa zalana wrzątkiem. Jak na kogoś, kto nazywał siebie ekspertem od młodzieży, nie wydawał się zbyt bystry.

- Tak, Ellie - powiedział - ale kiedy dałem wam szansę, żebyście się ode mnie uczyli, żebyście wykonywali rozkazy w odpowiednim, dobrze zorganizowanym środowisku wojskowym, byliście urażeni i nie chcieliście się podporządkować. Nie zaprzeczaj.

- Wtedy nie wiedziałam, co robię - powiedziałam. Omal nie dodałam, że to był tylko przejściowy okres buntu. - Przyznaję, byłam nieposłuszna. Ale od tamtej pory wiele się nauczyłam. Już nigdy więcej nie będę się tak zachowywała, obiecuję. Proszę tylko dać mi szansę, a sam pan zobaczy.

Odwrócił wzrok i ze smutnym, cierpkim poczuciem rozpaczy zrozumiałam, że nie ma dla mnie nadziei.

- To nie zależy ode mnie - oznajmił sztywno i dzięki swojej specjalistycznej wiedzy z zakresu obcowania z dorosłymi poznałam, że dla odmiany mówi prawdę. - Te decyzje podejmują inni. Moje zadanie polega na przekonaniu was, żebyście nam wyjawili, gdzie są terroryści. Oznajmiono mi, że jeśli to zrobicie, będziecie mogli liczyć na pewną wyrozumiałość.

- Nie mogę panu niczego wyjawić, bo nie ma żadnych terrorystów - powiedziałam zmęczona, chyba po raz setny. Potem straciłam cierpliwość. - Człowieku, co z tobą?! - krzyknęłam. - Ty obrzydliwa, brudna góro gówna! Po co im pomagasz? Jesteś zdrajcą. My przynajmniej próbowaliśmy. Robiliśmy, co w naszej mocy. Nie obchodzi mnie, czy rzeczywiście umrę. Wolę umrzeć, niż skończyć jak taki totalny skończony dupek jak ty!

Stałam i krzyczałam, wiedząc, że maleńkie kropelki śliny wylatują mi z ust i uderzają w jego czerwoną, wstrząśniętą twarz. Nic mnie to nie obchodziło. Po chwili do pokoju wpadli

strażnicy, złapali mnie i rzucili na podłogę.

Niedługo potem znalazłam się znów w celi. Był poranek i złowrogie szare światło rozjaśniało wielkie szare chmury. Szłam z podniesioną głową, wytrzeszczając oczy najszerszej, jak mogłam, by zachwycać się ogromem i dzikością tego krajobrazu. Nie wiedziałam, ile razy zobaczę jeszcze niebo. W mojej celi nie było ani odrobiny natury, więc bardzo ceniłam tych parę minut - coś, o czym miałam rozmyślać i co miałam wspominać w nadchodzących godzinach. Przez całe życie otaczały mnie niebo, ziemia i drzewa, więc odseparowanie od nich, tak nagłe i całkowite, było bardzo trudne do zniesienia.

Parę lat temu państwa Slater odwiedziła pewna Japonka. Miała ze dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Powiedziała im, że przed wycieczką do Australii nigdy nie widziała horyzontu. Miała dwadzieścia trzy lata i nigdy nie widziała horyzontu! Brzmiało to jak współczesny horror. Wtedy zrozumiałam, ile mam szczęścia.

## 25

Siedziałam w swojej celi, czekając na następne wezwanie majora Harveya. Byłam strasznie spięta i nie mogłam spać, mimo że czułam się nieznośnie wyczerpana. Przyniesiono śniadanie, zjadłam je, a potem zmusiłam się do wykonania ćwiczeń, które zaplanowałam dzień wcześniej. Już wtedy, niespełna dwadzieścia cztery godziny po postanowieniu, że będę ćwiczyła, czułam, że nie wolno mi tego zaniedbywać.

Cały dzień czekałam na wezwanie, lecz na próżno. Po południu zasnęłam przy biurku z twarzą w dłoniach. Gdy się obudziłam, moja głowa była ciężka i obolała, a lewa noga zdrętwiała. Zamiast poczuć się lepiej, czułam się jeszcze gorzej.

Dostałam podwieczorek, przyniesiony na tacy przez tę samą trzyosobową grupę kobiet. Zaczynałam już rozróżniać poszczególne strażniczki. Pamiętałam, że ta, która zawsze wnosi tacę, jest najniższa. Była pulchną kobietą o przeciętnej urodzie, płaskiej twarzy i rzadkich czarnych włosach. Wyglądała na czterdzieści lat. Miała najskromniejszy mundur ze wszystkich strażniczek - żadnych belek i tylko jedną małą naszywkę na lewym ramieniu - więc przypuszczam, że jest bardzo nisko w hierarchii wojskowej. Mimo przeciętnej urody miała miłą twarz. Pomyślałam, że w ojczyźnie była pewnie sprzątaczką albo gosposią i wykonywała tę samą pracę co tutaj, tyle że teraz chodziła w mundurze. Dwie kobiety przy drzwiach, które mierzyły do mnie z pistoletów, były młodsze i szczuplejsze. Wyglądały jak siostry. Jedna z nich wydawała się zdenerwowana, jakby się bała, że w każdej chwili mogę je zaatakować. Druga, pani oficer, była bardziej pewna siebie, odprężona. Zawsze obserwowała mnie z zainteresowaniem, jakbym budziła jej ciekawość.

Tym razem, kiedy kobieta postawiła tacę na biurku, spróbowałam żartować. Rozpaczliwie potrzebowałam czyjś towarzystwa, ciepła, przyjaźni. Nie chciałam być ich wrogiem. Skinęłam w stronę tacy i zapytałam:

- Co tym razem? Big mac?

Kobieta z tacą wyglądała na zaskoczoną. Po chwili lekko się uśmiechnęła i pokręciła głową.

- Nie, nie, nie big mac - odpowiedziała.

Pani oficer głośno się roześmiała. Trzecia kobieta sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zestresowanej, jakby żartowanie było jakąś formą ataku. Wyszły, zatrzasnąwszy za sobą drzwi,

ale poczułam się zachęcona swoją pierwszą próbą okazania przyjaznych zamiarów, pocieszona chwilą, w której razem się śmiałyśmy. Zjadłam podwieczorek w trochę lepszym nastroju.

Oczywiście rozmyślałam o szansach na spektakularną ucieczkę. W pewnej chwili chciałam nawet powiedzieć majorowi Harveyowi, że naprawdę pomagali nam komandosi z Nowej Zelandii i że mogę go zaprowadzić do ich kryjówek. Myślałam, że potem, za murami więzienia, zaczekam na szansę wyrwania komuś pistoletu albo po prostu ucieknę. Jedną z wielu wad takiego planu było to, że nie mogłam uciec z więzienia, pozostawiając w nim przyjaciół.

Tłumaczyłam sobie, że byłoby mi łatwiej, gdybym miała stuprocentową pewność, że mnie zabiją. Wtedy zrobiłabym wszystko, dokonałabym nawet samobójczej próby ucieczki, bo nie miałabym nic do stracenia. Tam, gdzie jest życie, jest jednak i nadzieja, a jakoś nie mogłam uwierzyć, że moja egzekucja to już przesądzona sprawa.

Innym sposobem ucieczki byłoby wzięcie zakładnika. Przystawienie noża do gardła jakiemuś żołnierzowi, zmuszenie go, żeby zaprowadził mnie do frontowej bramy i wypuścił. Taki scenariusz też miał kilka wad, między innymi taką, że jedyną bronią, jaką mi do tej pory dawano, były plastikowe widelce.

Po podwieczorku znowu zaczęłam ćwiczyć. Przede wszystkim chciałam się zmęczyć fizycznie, żeby zwiększyć szanse na zaśnięcie po zgaszeniu światła. Ćwiczyłam więc aerobik, wymachując rękami, unosząc nogi i śpiewając pod nosem piosenki. Tym razem nie zwracałam uwagi na kamerę.

Gdy już porządnie się zmęczyłam, usiadłam na łóżku. Zdałam sobie sprawę, że najbardziej marzę o czymś do poczytania albo choćby o czystej kartce, na której mogłabym pisać. Postanowiłam zwrócić uwagę strażniczek. Byłam ciekawa, co się stanie, i tym razem też nie miałam wiele do stracenia. Dlatego podeszłam do drzwi i zaczęłam w nie walić pięścią. Były tak grube i ciężkie, że nie mogłam narobić wystarczającego hałasu. Dlatego spróbowałam nimi potrząsnąć, co też nie zdało egzaminu, bo drzwi okazały się zbyt solidne i za dobrze dopasowane. Potem chwilę krzyczałam, najpierw do kamery, a później pod drzwiami. Zastanawiałam się, czy ktoś z moich przyjaciół to słyszy. Nie widziałam żadnego z nich od chwili, w której poprowadzono nas do osobnych cel. Było jednak mało prawdopodobne, że ktoś mnie usłyszał, bo mój głos wydawał się prawie całkiem stłumiony, nawet mnie samej. To było dobijające i trochę straszne. Czułam się zupełnie odizolowana i zastanawiałam się, co by się stało, gdyby w więzieniu wybuchł pożar. Nie byłoby to najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Wydzierałam się przez dziesięć minut. Nie miałam nic innego do roboty, dzięki wrzaskom szybciej mijał czas. Gdy już chciałam dać za wygraną, usłyszałam chrobotanie zamka. Drzwi gwałtownie się otworzyły i naprzeciwko mnie stanęły dwie młode kobiety, które zawsze były obecne przy dostarczaniu posiłków. Jedna stała z tyłu i mierzyła do mnie z pistoletu. Druga, pani oficer, która roześmiała się z mojego żartu o big macu, stała w drzwiach. Gdy zaczęła mówić, ze zdziwieniem stwierdziłam, że całkiem dobrze włada angielskim:

- Stań pod ścianą.

Cofnęłam się o kilka kroków, ale dała mi znak, żebym poszła jeszcze dalej. Stanęłam pod ścianą naprzeciwko drzwi. Kobieta weszła do środka, ale jej koleżanka została na korytarzu.

- A teraz - powiedziała - nauczę cię, jak należy się tu zachowywać. Jeśli chcesz wezwać strażniczkę, wciskasz ten przycisk.

Ku mojemu zaskoczeniu pokazała mi coś, czego wcześniej nie zauważyłam: biały przycisk obok wentylatora umieszczonego wysoko nad drzwiami. Zrobiło mi się żal niskich więźniów. Kobieta ciągnęła dalej:

- Po jego wciśnięciu stajesz pod ścianą. Stoisz i czekasz, okej? Rozumiesz?

Pokiwałam głową. Zrozumiałam.

- Pewnych rzeczy nie wolno ci robić. Nie wolno hałasować. Nie wolno czytać książek. Nie wolno bałaganić w celi. Nie wolno pisać po ścianach. Okej? Rozumiesz?

Znowu pokiwałam głową. Żadnego pisania po ścianach.

- Mogę wziąć prysznic? - zapytałam.

- Przykro mi, to niemożliwe. Może jutro.

- Mogę się zobaczyć z przyjaciółmi?

- Nie, żadnych przyjaciół. Może jutro.

- Mogę dostać szczoteczkę do zębów?

- Szczoteczkę tak, przyniosę.

- A mydło?

- Tak, tak. Szczoteczkę, pastę, mydło, ręcznik. To wszystko przyniosę.

- Mogę dostać trochę kartek i długopis?

- Po co?

- Chcę... Chcę pisać o...

Próbowałam wymyślić jakieś dobre kłamstwo, które by ją zadowoliło, ale nic nie przychodziło mi do głowy, więc dokończyłam zdanie w mało efektownym stylu: mówiąc

prawdę.

- Nie wiem, zwariuję, jeśli nie będę miała czegoś do roboty.

Zapadła cisza. Kobieta rozważała moją prośbę. Najwidoczniej nie uwzględniono tego w wytycznych. Potem jednak podjęła decyzję.

- Okej, długopis, papier, okej. To wszystko?

- Tak, dziękuję. Bardzo dziękuję.

Zanim przyniesiono obiecane rzeczy, minęły dwie godziny, ale i tak bardzo się ucieszyłam. Przyniosła je inna strażniczka, jedna z tych, którzy prowadzili mnie do majora Harveya. Czułam się jak w Boże Narodzenie. Podziwiałam każdy z tych przedmiotów po kolei. Szczoteczka do zębów była niebieska, miała dwadzieścia osiem kępek włosia w dziewięciu potrójnych rzędach plus jedną na koniuszku. Mydło było małe i żółte, wielkości pudełka zapalek. Wydzielało mocny, nieprzyjemny zapach. Poza tym dostałam pastę Colgate w znajomej czerwono-zielono-białej kolorystyce, ale poza wyrazem „Colgate” na tubce nie było żadnych napisów po angielsku.

Dostał mi się także cienki, mały, postrzępiony ręcznik z zielonym paskiem biegnącym wzdłuż dwóch przeciwległych boków, jasnożółty grzebień i tani plastikowy kubeczek. Tyle dobytku! Czułam się bogata.

Najważniejsze były jednak papier i długopis. Dostałam tylko jedną kartkę - w linie, bardzo cienką - i tani niebieski długopis, który przerywał prawie przy każdym zawijanie. To było denerwujące, ale lepsze niż nic. Nagle długa pusta noc, która mnie czekała, przestała być taka długa i pusta. Usiadłam przy biurku i drobnymi literkami, jak najwolniej, pokrywałam kartkę, pisząc list do rodziców. Wiedziałam, że na jego przeczytanie mają szansę równie wielkie jak kora w pożarze lasu, ale bardzo chciałam go napisać.

Nazajutrz nadal na próżno czekałam na wezwanie od majora Harveya. Wyglądało na to, że po okresie, w którym byłam mu tak bardzo potrzebna, zupełnie stracił mną zainteresowanie. Ranek włókł się powoli, minuta po minucie. Za to śniadanie zostało okraszone żarciem starszej pani.

- Dziś nie big mac, mi przykro - powiedziała, stawiając tacę na biurku, i obie się roześmiałyśmy.

Nikt nie wspomniał jednak o obiecanych prysznicu, a kiedy przed południem wcisnęłam przycisk, żeby o nim przypomnieć, zostałam szybko splawiona. Na wezwanie przyszła ta sama pani oficer, która przyniosła kartkę i długopis, ale dziś wydawała się nieprzyjazna i obojętna. Miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie, więc zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zostanę wkrótce rozstrzelana i dlatego kobieta próbuje się



wobec mnie zdystansować, tak jak ja zrobiłabym na jej miejscu.

Przyniesiono lunch i popołudnie płynęło jeszcze wolniej niż poranek. Napisałam wiersz na odwrocie kartki i postanowiłam, że wieczorem zacznę pisać opowiadanie. Stawiałam tak małe literki, że sama z trudem je odczytywałam, ale zostało mi jeszcze trzy czwarte jednej strony. Znowu wykonałam ćwiczenia fizyczne i umysłowe, ale miałam ciężką głowę, a ciało powolne i ospałe. Jeszcze więcej rozmyślałam o przyszłości. Śmierć byłaby okropną, niewyobrażalną i niesprawiedliwą karą. Ale zamknięcie w takiej celi jak ta na wiele lat, może nawet dziesięcioleci... To byłoby absolutnie nie do zniesienia. Podejrzywałam, że ci ludzie nie są tacy jak my. Niewiele o nich wiedziałam, ale chyba nie przejmowali się tym, że wrzucają ludzi do celi i zapominają o nich. U nas jest przynajmniej rozprawa i wiesz, co się z tobą stanie - w każdym razie zazwyczaj tak jest. Może według majora Harveya w naszym kraju panował za duży luz, ale ja nie miałam wątpliwości, który system bardziej mi odpowiada.

W zasadzie nic więcej się nie działo i w miarę jak zbliżał się wieczór, popadałam w coraz większe przygnębienie. Nie mogłam się doczekać, kiedy zgasną światła, żebym w końcu miała okazję trochę pospać, ale gdy wreszcie zrobiło się ciemno i położyłam się na łóżku, nie byłam w stanie zasnąć. Noc okazała się smutna i paskudna. Spałam chyba ze dwie, trzy godziny, a poza tym długo cichutko płakałam - cichutko dlatego, że nie chciałam dawać strażnikom satysfakcji, pokazując, w jak głęboką wpadam rozpacz.

Mimo zakazu „pisania po ścianach” wykorzystałam drugi koniec długopisu i zrobiłam kilka małych nacięć na podstawie łóżka, zapisując w ten sposób liczbę dni spędzonych w tej celi. Jeśli miałam tu siedzieć przez dziesięć lat, nie chciałam stracić rachuby czasu.

Gdybym wtedy wiedziała, że mój plan dnia nie ulegnie żadnej zmianie przez następny tydzień, miałabym jeszcze większego doła. Zanim w końcu wydarzyło się coś ciekawego, na lśniącej białej farbie pojawiło się siedem kolejnych nacięć. Jedynymi pozytywnymi akcentami były: zezwolenie na dwie kąpiele pod prysznicem w małym pokoiku kąpielowym na naszym pilnie strzeżonym bloku, niechętnie podarowana druga kartka papieru w połowie tygodnia oraz strażniczka w średnim wieku, która przynosiła i wynosiła tace, a pewnego dnia dała mi paczkę gum do żucia i powiedziała, że jestem „dzielna dziewczyna”.

Jej uprzejmość bardzo mnie wzruszyła.

Często myślałam o pozostałej piątce i zastanawiałam się, jak sobie radzą. Strasznie się o nich bałam. Wyobrażałam sobie Homera, zniecierpliwionego i rozgniewanego, który chodzi po maleńkiej celi, wali głową w ścianę i szybko zaczyna wariować. Myślałam, że Fi będzie przypominała czaplę, którą nagle zamknięto w klatce: siedzi tam onieśmielona i oczami

wyobraźni widzi niebo, wzgórza i dzikie krajobrazy. Co do Robyn nie miałam pewności. W ciągu kilku ostatnich tygodni miałam wrażenie, że znowu się załamuje. Chwilami, kiedy na jakiś czas się wycofywała, zapomniałam, że potrafi być wściekła i bardzo przygnębiona.

Przypuszczałam, że Lee będzie zagrażał zarówno strażnikom, jak i sobie samemu. Wyobrażałam sobie, jak z każdą godziną staje się coraz bardziej rozdrażniony, siedzi na środku celi, a w nagłym ataku szalu skacze strażnikowi do gardła. Wyobrażałam sobie, że Kevin jest w rozsypce. Nie miałam pojęcia, czym wypełnia umysł przez te długie godziny. Tak bardzo potrzebował uwagi ze strony innych ludzi, brakowało mu własnych pomysłów. Wymagał żywego działania, bezustannej aktywności, a w przeciwnym razie szybko się nudził. Te cele nie były stworzone dla osób pokroju Kevina.

Właśnie takie obrazy powstały w mojej głowie, kiedy rozmyślałam o przyjaciółkach. Oczywiście myślałam też o innych sprawach. O wierszu, w którym Bóg niósł kobietę plażą. O swojej rodzinie i o mieszkańcach Wirrawee. Zaczynałam rozumieć, dlaczego czuli się tak bardzo przygnębieni i zgorzkniali, gdy miesiącami tkwili na terenie wystawowym.

Przede wszystkim rozmyślałam jednak o śmierci: o tym, z jakim wyprzedzeniem zostanę o niej zawiadomiona, jak spojrzę jej w oczy, jakie to będzie uczucie i co się ze mną później stanie. Dużo myślałam, lecz równocześnie popadałam w przygnębienie. Nie mogłam na to nic poradzić. Tak bardzo potrzebowałam świeżego powietrza, nieba, ruchu. Zastanawiałam się nawet nad samobójstwem, ale jak na ironię, nawet gdybym chciała je popełnić, nie było takiej możliwości.

## 26

Kiedy po mnie przyszli godzinę po śniadaniu, nie wiedziałam, czego się spodziewać. Spragniona jakiegokolwiek zmiany w rutynie dnia, ochoczo za nimi ruszyłam. Szok wywołany świeżym powiewem był tak silny, że poczułam się jak zwłoki wychodzące z grobu. Powietrze było straszliwie zimne - rozpoczął się mroźny dzień - ale gdy kąsało mnie w twarz, mogłabym je całować.

Poprowadzili mnie znajomą drogą: prosto, krytym przejściem, aż do budynku, w którym major Harvey tak długo mnie przesłuchiwał. Szłam najwolniej, jak się dało, ale strażników nie interesowało rześkie powietrze: dla nich był to chyba tylko paskudny zimowy dzień. Wpędzili mnie do budynku, a potem poprowadzili korytarzem do tego samego pomieszczenia co zwykle, w którym znowu ujrzałam tę samą ciemną twarz i te same czarne oczy. Major Harvey wydawał się bardziej roztrzęsiony, bardziej zdenerwowany, unikał mojego wzroku i mówiąc, cały czas patrzył w bok, na różne przedmioty w pokoju. Miałam wrażenie, że schudł.

- A, Ellie - powiedział. - To nie potrwa długo. Chcę tylko, żebyś wykonała małe zadanie. Proszę, rzuć na to okiem. Chociaż w zasadzie możesz mi to przeczytać na głos.

Podał mi kartkę z dwoma akapitami tekstu napisanymi na komputerze. Wzięłam ją i zaczęłam czytać:

- „Składałam to oświadczenie dobrowolnie, aby przeprosić za swoje zachowanie w ciągu ostatnich miesięcy. Byłam zaangażowana w działalność terrorystyczną, która doprowadziła do zniszczenia mienia oraz spowodowała obrażenia i śmierć wielu niewinnych ludzi. Działając w tak nieodpowiedzialny sposób, uraziłam tych, którzy pomagają odbudować mój kraj i którzy, co teraz dostrzegam, budują dla nas wszystkich nowe, lepsze społeczeństwo. Niestety, pewne niemające rozeznania osoby z innych krajów nadal nas atakują. Chcę je poprosić, aby tego zaprzestały. Powodują ogromne i niepotrzebne cierpienie. Popołniają zbrodnie wojenne, łamiąc prawo międzynarodowe. Nadszedł czas, abyśmy wspólnie pracowali w naszym nowym społeczeństwie na rzecz poprawy losu wszystkich ludzi. Proszę o wsparcie dla osiągnięcia takiego celu”.

Rzuciłam kartkę na biurko.

- Co za bzdury - powiedziałam.

Major podniósł kartkę. Raczej się nie przejął.

- A teraz chodź ze mną - rozkazał.

Poszliśmy korytarzem, a potem wepchnął mnie do małego pomieszczenia. Stał tam taboret, parasolka, dwie lampy na stojakach i duża kamera telewizyjna, za którą czekała kobieta w słuchawkach. Parasolka była ogromna. Też stała na stojaku i najwidoczniej miała coś wspólnego z oświetleniem.

- Usiądź - powiedział Harvey.

Zawahałam się, ale usłuchałam. Jeszcze raz podał mi kartkę.

- A teraz przeczytaj to jeszcze raz dla swoich nowozelandzkich przyjaciół - rozkazał. - Od czasu do czasu spoglądaj w kamerę. Tylko bez żadnych numerów i min, które próbowali tu stroić twoi niedojrzali młodzi przyjaciele. Wtedy będziemy musieli zaczynać od nowa i stracimy jeszcze więcej czasu.

Byłam uradowana tą wzmianką o pozostałych. Od ponad tygodnia nie miałam o nich żadnych wieści. Codziennie pytałam strażniczki, ale żadna nie chciała mi odpowiedzieć. Najwidoczniej był to temat tabu. Nie wiedziałam, czy powinnam przeczytać oświadczenie, czy nie, ale reszta mi to ułatwiła - w pewnym sensie podjęła tę decyzję za mnie. Oczywiście major Harvey mógł mnie zwodzić, ale raczej mówił prawdę. Musiałby być naprawdę wspaniałym aktorem. Wzmianka o moich przyjaciółach wypadła całkiem naturalnie.

Nadal nie miałam ochoty tego czytać. Siedziałam na twardym trzcinowym krześle, analizując różne możliwości. Co się stanie, jeśli tego nie przeczytam? Pewnie zastosują wobec mnie ostrzejsze, bardziej brutalne środki. Chyba nie byłabym w stanie tego wytrzymać. Już i tak ledwie dawałam radę. Nie zniosłabym, gdyby zrobiło się jeszcze gorzej. A co by się stało, gdybym to przeczytała? Przede wszystkim czułabym wstyd. Ale mniejsza o mnie: komu mogłabym zaszkodzić? No więc w zasadzie nikomu. Wszyscy by wiedzieli, że to ściema. Nie wyobrażałam sobie, że mieszkańcy Nowej Zelandii albo inni ludzie mogliby to zobaczyć i pomyśleć: „No dobra, chyba trzeba przestać im pomagać, bo najwidoczniej są zadowoleni z nowych porządków”.

Major Harvey zaczynał się niecierpliwić.

- Co ze mną będzie, jeśli tego nie przeczytam? - zapytałam, głównie po to, żeby poprawić sobie humor po decyzji, którą właśnie podjęłam.

- Nie pogarszaj swojej sytuacji, Ellie - odpowiedział całkowicie beznamiętnym głosem.

Kobieta usadowiła się za kamerą i usłyszałam, jak urządzenie budzi się do życia. Major Harvey włączył światło. W pokoju natychmiast zrobiło się bardzo jasno i bardzo

gorąco. Uniosłam kartkę i przeczytałam tekst szybko, bez emocji. Myślałam, że major Harvey każe mi to zrobić jeszcze raz - wiedziałam, że brzmiałam jak robot - bo kiedy skończyłam, przez chwilę stał w milczeniu. Potem jednak zgasił światło, podszedł do drzwi i zawołał strażników.

Gdy się zjawili, ruszyłam za nimi w stronę wyjścia. Major Harvey, który szedł przodem, skręcił do swojego pokoju, nawet na mnie nie patrząc, ale nie mogłam mu pozwolić odejść, nie próbując dowiedzieć się czegoś, czegokolwiek, o swojej przyszłości. Doszłam do wniosku, że powinien mieć jakieś informacje i że wołałabym je poznać, niż ich nie znać. Dlatego zatrzymałam się i zapytałam:

- Majorze Harvey, może mi pan powiedzieć, co ze mną będzie?

Okręzał biurko, podchodząc do krzesła, ale na dźwięk mojego głosu zastygł w bezruchu. Nastąpiła długa cisza. Okropna cisza. Moje serce zaczęło bić jak szalone i oblał mnie pot. Pożałowałam, że zadałam to pytanie. Nie rozglądając się, odpowiedział:

- Musisz przyjąć konsekwencje swoich działań, Ellie.

Nie chodziło jedynie o słowa, lecz o sposób, w jaki je wypowiedział. Już wiedziałam. Moje nogi stały się tak słabe, że nie chciały się ruszyć. Jakby wyjęto z nich kości. Strażniczka trąciła mnie od tyłu, zatoczyłam się i ruszyłam korytarzem. Tym razem nawet nie widziałam nieba. Szłam ze spuszczoną głową, powłócząc nogami, czułam się słaba, jakby atakowała mnie jakaś poważna choroba.

Znałam nazwę tej choroby. To była śmierć.

Po powrocie do celi upadłam na łóżko i leżałam. Po raz pierwszy nie zainteresowałam się lunchem. W głębi serca miałam nadzieję, że kobieta, która go przyniosła, zauważy mój smutek, podejdzie, przytuli mnie i zapyta, co się stało, a potem mnie pocieszy. Tak jak moja mama. Ale niczego takiego nie zrobiła. Postawiła tacę i wyszła. Gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, gorzko zapłakałam. Ciągle myślałam, że jestem za młoda, że jestem za młoda.

To wszystko wydawało się strasznie niesprawiedliwe: fuksem uniknęłam pojmania na początku inwazji i zostałam zmuszona do obrania pewnego kursu, przez który teraz miałam umrzeć. Dlaczego nie złapali mnie od razu, tak jak innych? Dlaczego to właśnie ja musiałam mieć pecha?

Niby przypadkiem zignorowałam fakt, że jeden z zabitych przez nas żołnierzy wyglądał na chłopaka w naszym wieku.

Leżałam chyba ze dwie godziny. Gdybym mogła się jakoś zabić, pewnie bym to zrobiła. To, że jednak się nie zabiłam, nauczyło mnie czegoś bardzo ważnego: że w życiu nigdy nie wiadomo, co może się za chwilę stać. Kilka sekund po samobójstwie może się

wydarzyć coś cudownego. Innym wydarzenia tamtego popołudnia pewnie nie wydałyby się aż tak niezwykle, ale dla mnie właśnie takie były.

Otworzyły się drzwi i usłyszałam głos pani officer, która przyniosła mi wcześniej szczoteczkę do zębów i kartkę.

- Teraz ćwiczenia. Iść za mną - powiedziała.

Pomyślałam, że to może być jakaś sztuczka i że zabierają mnie na egzekucję, która niechybnie mnie czekała, ale mimo to wstałam i przygnębiona wyszłam na korytarz.

Poszliśmy tą samą drogą co zawsze: korytarzem otoczonym drutem, obok wyblakłej zieleni trawników i kortów tenisowych. Kiedy jednak dotarliśmy do bramy prowadzącej do małej sekcji trawiastych podwórek, zobaczyłam grupę ludzi, którzy stali i rozmawiali. Poznałabym ich z odległości kilometra, a co dopiero z trzydziestu metrów. Wydałam z siebie zduszony okrzyk najczystszej radości, a potem szybko zamilkłam, na wypadek, gdyby strażnicy zmienili zdanie. Dźwięk okazał się jednak wystarczająco głośny. Grupka się rozproszyła. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, kto do nich krzyczy. Z ulgą zobaczyłam, że cała piątka jest w komplecie. Kiedy strażniczka zaczęła otwierać bramę, Fi zawołała:

- Ellie! Och, Ellie!

Gdy tylko weszłam na spaceriak, rzucili się na mnie. Wyglądało to jak młyn na boisku rugby, jak radość piłkarzy po zdobyciu zwycięskiego gola, jak zapasy. Przez chwilę nie byłam w stanie złapać powietrza. Ściskaliśmy się aż do siniaków.

To było cudowne spotkanie.

Po uściskach zaczęły się pytania. Sypały się tak gęsto, że każda odpowiedź była ucinana po kilku słowach.

- W której jesteś cielei?

- W tamtym bloku, gdzie...

- Widziałaś majora Harveya?

- Tak, co za bydlę! Pytał mnie, czy...

- Jak myślisz, co z nami będzie?

- Nie wiem. Major Harvey...

- Widywaliście się codziennie?

- Dobrze się czujesz? Bili cię albo coś w tym rodzaju?

- Uważajcie, co mówicie. Nie wiemy, czy przypadkiem...

- Też musieliście przeczytać to oświadczenie?

- Oni są straszni. Zmuszają nas, żebyśmy...

Chwilę to trwało, ale w końcu zyskałam jako taki obraz sytuacji. Oprócz mnie na

bloku E został tylko Homer. Reszta była w zupełnie innej sytuacji. Przeniesiono ich na blok, gdzie siedziało mnóstwo innych więźniów. Część z nich, tak jak my, była „zbrodniarzami wojennymi”, a inni tkwili tu od lat, osadzeni jeszcze przed inwazją za przestępstwa popełnione w czasie pokoju. Posiłki jadalі razem w dużym pomieszczeniu i czasami mogli rozmawiać z więźniami przez drzwi cel. Najbardziej zadziwiające było to, że Robyn i Fi zostały ulokowane w jednej celi. Zazdrościłam im i jeszcze bardziej wystraszyłam się tego, co może mnie spotkać. Było jasne, że ja i Homer zostaliśmy odseparowani jako prowadzący.

Odepchnęłam jednak wszystkie czarne myśli i strach. Postanowiłam skupić się na radości z towarzystwa przyjaciół. Bycie wśród nich sprawiło mi ogromną ulgę, odżyłam. Poza tym nie wiedziałam, czy dostaniemy drugą taką szansę.

Rozmawialiśmy. To dziwne, ale miałam rozpaczliwą ochotę zagrać w koszykówkę, trochę się poruszać. Spacerniak miał wielkość boiska do koszykówki. Chyba dlatego wpadłam na ten pomysł. W końcu zabrałam Homerowi but i pobiegłam do płotu, zmuszając go do pościgu. W pewnej chwili strażnicy pod ścianą wymierzili do nas z karabinów.

- Uważajcie - zawołała Fi. - Przestańcie. Oni myślą, że robicie coś złego.

Nie zwróciłam na nią uwagi. Postanowiłam nie bać się tych przygłupów. I choć kiedy tak biegaliśmy, uważnie nas obserwowali, nic więcej nie zrobili.

Byliśmy na spacerniaku mniej więcej godzinę i w końcu strażnicy, którzy pilnowali nas zza drucianego ogrodzenia, znowu otworzyli bramę. Najpierw skinęli w moją stronę. Przyszłam jako ostatnia, a miałam wyjść jako pierwsza. Odchodząc, zobaczyłam jednak, że kiwają w stronę Homera, więc domyśliłam się, że czas ćwiczeń zakończył się dla nas wszystkich.

- Cześć! Do zobaczenia! - zawołałam do przyjaciół, ale mówiąc „Do zobaczenia!”, zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze się spotkamy. Znowu zawisł nade mną wielki ciemny ciężar przygnębienia i strachu. Tym razem unosił się jednak trochę wyżej i chyba nie był już tak ciężki.

## 27

Tak się złożyło, że zobaczyłam się z przyjaciółmi również nazajutrz, następnego dnia znowu i trzeciego też. Od tamtej pory regularne popołudniowe spacerunki były stałym elementem każdego dnia odsiadki: najcenniejszymi, najbardziej radosnymi i wyczekiwanymi chwilami w moim życiu. Najgorsze było to, że ja i Homer mogliśmy wychodzić tylko na godzinę, co pewnie jest normalne w wypadku więźniów osadzonych w bloku dla najgroźniejszych przestępców. Pozostali dostawali dwie godziny.

Być może w więzieniu brakowało strażników: kiedy wypuszczali mnie i Homera, pilnowało nas trzech. Pozostałą czwórkę obserwował tylko jeden. Myślę, że Lee czuł się tym trochę urażony.

Przez trzy tygodnie nasze życie płynęło według takiego właśnie schematu. Bardzo rzadko działo się coś poza tym. Kiedy byliśmy na spacerunku, parę razy widziałam z oddali majora Harveya, ale on nas nie zauważył. Jedynymi emocjonującymi wydarzeniami były naloty: w ciągu tych trzech tygodni przeprowadzono dwa i nawet w mojej dźwiękoszczelnej celi było słychać wycie syren. Za pierwszym razem wcisnęłam przycisk wzywający strażników, ale nikt się nie zjawił. Później, kiedy strażniczki przyniosły mi jedzenie, zapytałam, co to był za hałas, a one odpowiedziały:

- Samoloty w niebie zrzucają bomby, bardzo źle.

Gdy następnego dnia spotkaliśmy się na spacerunku, pozostała piątka potwierdziła, że to był nalot.

- Wszyscy strażnicy uciekli - powiedziała Fi. - Chyba mają gdzieś schron. Ale nam na nic się on nie przyda, kiedy siedzimy zamknięci w celach. Nawet gdy nie ma strażników, nie możemy uciec. Można się zastanawiać, po co w ogóle nas pilnują.

Obydwa naloty miały miejsce w nocy. Domyśliliśmy się, że za dnia samoloty byłyby w zbyt wielkim niebezpieczeństwie.

Zaczęło mocno padać i coraz częściej zamiast na spacerunek prowadzili nas na salę gimnastyczną. Tam nie było już tak fajnie. Rozpaczliwie potrzebowałam świeżego powietrza. Wszyscy wyglądaliśmy okropnie, ale Homer prezentował się najgorzej - chociaż sama byłam pewnie w podobnym stanie. W zasadzie nie można było powiedzieć, że jest błydy, bo miał naturalnie śniadą skórę, ale jego cera nabrała niezdrowego zielonkawego odcienia. Poza tym



bardzo schudł. Ja też. Przypominaliśmy szkielety. Wyglądaliśmy jak nasza koleżanka ze szkoły, Aurora, która cierpiała na anoreksję. Pozostali dostawali lepsze jedzenie, więc zaczęli przemycać dla nas dodatkowe kąski, ale to było trudne, bo strażnicy bardzo nas pilnowali.

Z upływem czasu trochę się jednak uspokajaliśmy. Chyba nie można cały czas żyć na pełnych obrotach. Nie można bez przerwy leżeć w ciemności na więziennym łóżku, drzeć i czekać, aż przyjdą żołnierze, żeby cię zastrzelić. Człowiek ma w sobie coś, co nie pozwala mu tak funkcjonować. Stopniowo zaczynasz zapominać o wyroku śmierci i częściej rozmyślasz o zwyczajnych sprawach. Oczywiście nie cały czas, ale wystarczająco często, żeby żyć dalej. Od czasu do czasu śpisz i nie zawsze śniesz o śmierci. Popadasz w lekkie odrętwienie.

Tak przynajmniej było ze mną.

Dzień, w którym to się zmieniło, odmienił mnie na zawsze. Jasne, zmienia nas wszystko, co nam się przydarza. Jasne, inwazja i to, co się po niej wydarzyło, też bardzo mnie zmieniło. Tamten poranek, gdy w końcu musiałam stanąć twarzą w twarz z tym, czego tak długo unikałam, odmienił mnie jednak w największym stopniu - i chyba już nic nie zmienił mnie aż tak bardzo jak on. Przyszli po mnie około jedenastej. Pamiętam każdy szczegół pierwszych kilku minut. Sposób, w jaki pani oficer skinęła na mnie dłonią, każąc wyjść na korytarz. Lekkie skrzypnięcie ciężkich drzwi, kiedy je otwierano: ten cichy jęk zawiasów, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Twarze strażników: kobiet i mężczyzn, których tak dobrze znałam z widzenia, lecz którzy teraz, tamtego poranka, nie chcieli spojrzeć mi w oczy. Długi, powolny marsz do budynku niedaleko więziennej bramy, w którym jeszcze nigdy nie byłam. Głuchy łoskot grzmotu w oddali. Ślad potu pozostawiony przez dłoń strażniczki, kiedy popchnęła drzwi wejściowe. Kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że idę ku czemuś okropnemu. Od tamtej chwili prawie niczego nie pamiętam.

Zabrali mnie do ogromnego pomieszczenia obitego jasnobrązową boazerią. Wyglądało bardzo oficjalnie. Przy stole siedzieli jacyś ludzie, chyba z pięciu, i chyba wszyscy byli mężczyznami. Żaden z nich na mnie nie spojrzał. Facet pośrodku długo coś czytał, bardzo szybko, w swoim języku, a drugi, stojący za nim, tłumaczył. Czytał o tym, że zniszczyłam mienie, popełniałam akty terroru, mordowałam. O tym, że uznano mnie za winną zarzucanych mi czynów i skazano na śmierć. Wyrok miał zostać wykonany w poniedziałek szesnastego o siódmej rano. To wszystko. Masz coś do powiedzenia? Nie? Zabrać ją. Przeprowadzić następnego więźnia. Następnym więźniem był Homer, ale nie wiedziałam o tym, dopóki sam nie powiedział mi o tym na spacerunku, sześć dni później. Widział, jak wychodziłam z tamtej sali, ale przeszłam obok niego, nawet go nie zauważając. Dodał, że gdy

tylko mnie zobaczył, wiedział, co się stanie.

Pamiętam, że tylko raz odezwałam się do strażników, pytając ich o datę. Powiedzieli, że jest piątek szóstego, więc wiedziałam, że pozostało mi tylko dziesięć dni życia.

Tego samego popołudnia zaczęły się naloty.

Leżałam na łóżku z podkurczonymi nogami, trzymałam ręce między kolanami i kołysałam się, próbując zapanować nad chaosem w głowie. Nie udawało mi się. Wrzeszczące myśli wpadały do niej z taką prędkością, jakby urządziły sobie w środku gonitwę zniszczenia: ciągle wpadały jedna na drugą i wirując, uciekały w ciemność. Nie byłam nawet w stanie ich spowolnić, a co dopiero powstrzymać. Myślałam, że głowa stanie mi w płomieniach.

Gdy usłyszałam głucho łaskoty, wydały mi się tłem mojego wewnętrznego chaosu. Na początku ledwie je zauważyłam. Upłynęła chwila, zanim zdałam sobie sprawę, że dochodzą z zewnątrz. Gdy to do mnie dotarło, ściany lekko zdrząły i z sufitu opadł drobniutki biały pył. Wtedy już wiedziałam: rozpoczął się nalot, tym razem samoloty atakowały po południu, i to całkiem blisko nas, bo drżały ściany mojej celi.

Nie bałam się, fascynowało mnie to, co może się wydarzyć. Wstałam z łóżka i stanęłam przy drzwiach, czekając i nasłuchując. Huk trwał kilka minut, a potem nagle zgasły światła. Wystraszyłam się, ale i ucieszyłam. Zaczęłam się zastanawiać, co będzie, jeśli runie na mnie dach. Jak wyglądałoby moje ciało pogrzebane pod pięćdziesięcioma tonami stali i betonu? Miałam lekką klaustrofobię, ale nie wpadałam w panikę - czułam się raczej zahipnotyzowana świadomością, że dzieje się coś niezwykłego i nie sposób odgadnąć, do czego to doprowadzi.

W rzeczywistości nie doprowadziło do niczego. Łaskot rozbrzmiewał jeszcze z dziesięć minut, a potem nagle i zupełnie ustał. Kilka godzin później znowu rozbłysły światła. Przyszły dwie strażniczki, obejrzały moją celę i pozostawiły mnie sam na sam z domysłami na temat tego, co mogło się wydarzyć na zewnątrz.

Naloty powtarzały się przez dwa następne dni: jeden nalot rano i jeden późnym popołudniem. Za każdym razem budynek drżał. Kilka razy kuliłam się ze strachu w kącie. Zawsze opadał biały pył, aż w końcu podłoga wyglądała tak, jakby oprószył ją śnieżek. Pod koniec trzeciego nalotu zauważyłam w ścianie długie, wąskie pęknięcia.

W takich dniach nie pozwalano mi wyjść na spaceriak. Zaczęłam się bać, że już nigdy nie zobaczę przyjaciół, że nie będę miała okazji się pożegnać. Minęły trzy następne paskudne dni - dławiące, koszmarne - podczas których nie było żadnych nalotów, ale strażnicy i tak bardzo się denerwowali. W czwartek, zaledwie cztery dni przed wykonaniem wyroku, usłyszałam jednak, że otwierają drzwi. Normalnie o tej porze wychodziliśmy na

spacerniak. Wyprowadzili mnie, jak gdyby nic się nie stało. Chyba ktoś z dowództwa uznał, że naloty się skończyły. Zszokowały mnie jednak zniszczenia, które powstały, kiedy ja siedziałam zamknięta w mojej małej kwadratowej białej trumnie. Co drugie okno w więzieniu miało wybitą szybę. Wszędzie walały się śmieci - mam na myśli duże, poważne śmieci: arkusze ocynkowanej blachy, cegły, grube gałęzie drzew. Wschodni mur częściowo się zawalił: jego pięćdziesięciometrowy odcinek bardziej przypominał gruzowisko. Ustawiono już jednak ogrodzenie z drutu kolczastego, żeby nadrobić straty. Nie widziałam żadnych szans na ucieczkę.

Parę minut później znalazłam się na sali gimnastycznej. Wiele się zmieniło. Strażnicy obserwowali nas uważniej. Ja i Homer dostaliśmy zakaz wszelkich kontaktów fizycznych, zarówno ze sobą nawzajem, jak i z pozostałą czwórką. Przydzielono nam trzy różne części boiska do koszykówki i musieliśmy rozmawiać, nie opuszczając ich. Mnie przypadło pole trzech sekund na południowym końcu.

Wymieniliśmy się wieściami. Ja i Homer zostaliśmy skazani na śmierć i oba wyroki miały zostać wykonane w poniedziałek. Pozostali dostali kary więzienia: Lee trzydzieści lat, Robyn i Kevin po dwadzieścia pięć, a Fi dwadzieścia dwa. Nie wiem, skąd się wzięły te różnice.

To było upiorne spotkanie. Nikt nie potrafił wydusić z siebie słowa. Siedzieliśmy, jakbyśmy już uczestniczyli w pogrzebie. Od czasu do czasu ktoś odzywał się ochryplym szeptem, ale zazwyczaj nikt na to nie reagował i rozmowa nie mogła się rozkręcić.

Do celi wróciłam niemal z ulgą.

W piątek poprawiła się pogoda i spędziliśmy godzinę na spacerku, ale i tym razem nie mogliśmy się do siebie zbliżyć. W sobotę znowu zaprowadzili nas na salę gimnastyczną. To była kolejna okropna godzina. Fi przez cały czas histerycznie płakała. Reszta z nas zachowywała się jak zombie, ledwie funkcjonowaliśmy.

W sobotę wieczorem było chyba najgorzej. Napisałam listy do kilku osób, upychając jak najwięcej słów na kilku wyblaganych kartkach, wykorzystując nawet marginesy. Kiedy poprosiłam o więcej kartek, odmówiono mi. Wyglądało na to, że nie mam nic więcej do roboty. Potrafiłam myśleć jedynie o tym, że nazajutrz rozpocznie się mój ostatni pełny dzień życia. Leżałam na łóżku, próbując znaleźć siłę, żeby jakoś sobie poradzić, żeby przetrwać najbliższe trzydzieści pięć godzin. Byłam jak w amoku, na krawędzi szaleństwa. W niedzielę wczesnym rankiem nagle się uspokoiłam. Nie potrafię znaleźć innego określenia. Znowu rozmyślałam o tamtym wierszu o plaży i poczułam, że ktoś nade mną czuwa, że wszystko jest w porządku. Dziwne: jeśli kiedykolwiek w życiu miałam prawo czuć się osamotniona, to

właśnie wtedy. Ale poczucie osamotnienia mnie opuściło. Miałam wrażenie, że obok mnie w celi jest jakaś siła - nie osoba, lecz właśnie siła - i czułam, że istnieje inny świat, inny wymiar, który będzie nade mną czuwał. Nie mówię o żadnym miejscu, do którego miałam trafić, nie o to chodziło. Myślałam raczej: „To nie jest jedyny świat, to tylko jeden aspekt całości, nie wyobrażaj sobie, że nie ma nic poza nim”.

W zasadzie nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Nie potrafię tego nazwać ani opisać. To wszystko istniało w innej formie niż rzeczy, które umiemy nazywać albo opisywać. Wiem jednak, że osiągnęłam pewien rodzaj akceptacji tego, co miało się wydarzyć.

Z przerażeniem myślałam o ostatniej godzinie na spacerniku, o ostatnim spotkaniu z przyjaciółmi. Idąc tam powoli, byłam jednak całkiem opanowana. Niebo bardzo się zachmurzyło. Rano musiało mocno padać, bo na ziemi zostały wielkie kałuże. Deszcz zmył większość pyłu pozostawionego po bombardowaniach. Prawie nie zwracałam uwagi na strażników. Była to weekendowa zmiana - wydawali się niedbałymi amatorami, a nie doskonale wyszkolonymi zawodowcami, z którymi miałam do czynienia w dni powszednie. Mimo to nieśli broń i celowali we mnie, więc tak naprawdę ich brak profesjonalizmu nie miał większego znaczenia. Przypominałam sobie, co jeszcze niedawno myślałam: że wolałabym rzucić się na nich i zginąć od kuli, niż umrzeć potulnie. Teraz wiedziałam jednak, że nie znalazłabym w sobie siły, by pobiec ku śmierci aż tak śmiało.

Dotarliśmy do sali gimnastycznej i wepchnięto mnie do środka. Pozostali już tam byli, stali i czekali na mnie. Wyglądali jak aktorzy występujący w jakiejś dziwnej sztuce.

System bezpieczeństwa w sali gimnastycznej różnił się oczywiście od tego na spacerniku. Moi trzej strażnicy zawsze zostawali, bez względu na to, czy byliśmy na sali, czy na spacerniku. Tutaj zostawał jednak również jeden ze strażników Homera, żeby wesprzeć kolegów i zrekompensować brak strażników w wieżyczkach. Rozchodzili się po boisku, każdy stawał pod inną ścianą, a potem siadali i obserwowali nas, trzymając karabiny w gotowości. Od dnia naszego przyjazdu do więzienia ciągle traktowali nas jak brutalnych i niebezpiecznych ludzi.

Nie wiem, ilu innych więźniów było w tym więzieniu. Paru widziałam z daleka, a czwórka moich przyjaciół, którą umieszczono w bloku dla mniej groźnych przestępców, twierdziła, że są ich tam dziesiątki. Nic więcej nie wiedziałam. Lee słyszał, że fabryka artykułów AGD w Stratton, niedaleko więzienia, pracuje non stop, produkując części do samolotów, i że prawie codziennie wyruszają do niej z więzienia grupy robotników. Może dlatego nigdy nie widywałam innych więźniów.

Stratton od dawna było dużym ośrodkiem przemysłowym. Leżało blisko portu i

zagłębia węglowego Marran oraz dysponowało dużą stacją rozrządową, co oznaczało, że nawet gdy reszta kraju pogrążała się w recesji, fabryki w Stratton nadal ciężko pracowały.

Właśnie dlatego miasto tak często bombardowano. A gdy dni i noce ciężkiego bombardowania nie przyniosły oczekiwanych wyników, samoloty wróciły.

Wróciły w niedzielę po południu.

Gdy zawyły syreny, nasi strażnicy zerwali się na równe nogi, zaczęli do siebie krzyczeć i dziko gestykulować. Po raz pierwszy słyszałam syreny, będąc poza celą, i nie mogłam uwierzyć, że są aż tak głośne. Na początku się wystraszyłam, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że nawet jeśli spadnie na mnie bomba, i tak niewiele to zmieni. Wtedy poczułam w piersi nagłe kopnięcie nadziei. Chyba wszystko, co wykraczało poza normalną rutynę, poza rutynę, która wlokła mnie ku śmierci, było dobrym powodem, by mieć nadzieję.

Potem bomba spadła dość blisko więzienia. Rozległ się okropny huk i cały budynek zatrzęsł się w posadach. Z dziesięciu następnych okien wyleciały szyby: widziałam, jak lecą i roztrzaskują się o ziemię, ale nie słyszałam brzęku. Eksplozja mnie ogłuszyła. Strażnicy nie wahali się ani chwili i od razu pobiegli do drzwi. Jeden z nich coś do nas krzyknął, chyba: „Nie ruszajcie się!” albo „Padnijcie!”, ale jego też nie usłyszałam. Może nawet nie krzyczał po angielsku. Mimo zniknięcia strażników nasza sytuacja wcale nie wyglądała lepiej. W oknach nadal były kraty, a strażnicy mieli wystarczająco rozumu, by uciekając do schronu, zamknąć wielkie drzwi sali gimnastycznej.

Dzikim pędem podbiegłam do tych drzwi i szarpnęłam za klamkę. Wiedziałam, że to moja jedyna szansa. Drzwi były jednak solidne. Zrozpaczona spojrzałam na okna: gdybyśmy zdołali się do nich dostać, może okazałoby się, że siła wybuchu naruszyła kraty. Krzyknęłam do Homera, nawet nie pamiętam co, ale najwidoczniej huk ogłuszył go tak samo jak mnie, bo pokręcił głową i pokazał, że nic nie słyszy. Cała nasza szóstka biegła w kółko jak szalona - jak myszy na dnie pojemnika z ziarnem, kiedy zdejmujesz pokrywę, a one odkrywają, że nie są w stanie wdrapać się po gładkich ścianach.

Potem nastąpił tak potężny wybuch, że wyrzucił mnie w powietrze. Zupełnie jakby dmuchnął w nas jakiś olbrzym, wydechając powietrze tak gorące, brutalne i suche, że poszybowałam w górę, a gdy z powrotem spadłam na ziemię, turlałam się i koziołkowałam. Otoczył mnie hałas. Miałam wrażenie, że nigdy nie ucichnie. Wokół latały odłamki i jeden z nich uderzył mnie w plecy z taką siłą, że wystraszyłam się o swój rdzeń kręgowy. Kurczowo trzymałam się jednak myśli, że muszę wstać. Że wszystko zależy od tego, czy uda mi się wstać. Podźwignęłam się, a potem, zszokowana i zdziwiona, spojrzałam przed siebie. Połowa więzienia uległa zniszczeniu. Sala gimnastyczna wyglądała, jakby została zburzona

pięćdziesiąt lat temu. Podłoga była tak zagruzowana, że nie byłam w stanie dojrzeć boiska. O dziwo, zaledwie dwa metry od siebie zobaczyłam Fi, która leżała skulona na ziemi i nie ruszała się. Kevin chodził w kółko po mojej prawej i wydawał się oszołomiony. Robyn pochylała się nad czymś, co leżało u jej stóp. Nie widziałam Homera ani Lee. Podbiegłam do Fi i dotknęłam jej policzka. Był ciepły. Zobaczyłam, że drżą jej powieki. Z wielkiej rany na policzku ciekła krew. Nie mogłam dłużej czekać: przykucnęłam, wsunęłam pod nią rękę i ze stęknieniem dźwignęłam, a potem zarzuciłam ją sobie na plecy, modląc się, żebym jej tym nie zaszkodziła.

Zrobiłam kilka chwiejnych kroków, próbując odzyskać równowagę, ale nie byłam w stanie iść normalnie, więc zataczałam się dalej.

Widziałam już, co robi Robyn: zabierała broń leżącemu na ziemi strażnikowi. Był to jeden z tych, którzy przez cały dzień patrolowali mury więzienia. Musiał zostać zdmuchnięty ze swojego stanowiska, zanim dotarł do schronu. O dziwo, jego amunicja i granaty nie wybuchły. Zostawiłam Robyn i powlokłam się do głównego wejścia, gdzie obie bramy zostały zniszczone i w murze ziała dwudziestometrowa wyrwa. Wyglądało to na najlepszą drogę ucieczki. Próbowałam krzyknąć do Kevina, ale zabrakło mi powietrza - zresztą i tak by nie usłyszał. Zobaczyła mnie jednak Robyn, która poszła za mną. Trzymała karabin strażnika i chyba miała w kieszeni koszuli granaty, bo na wysokości talii zobaczyłam wybrzuszenia. Lepiej ty niż ja, pomyślałam, ale znalazłam czas, by z rozbawieniem zauważyć, że Robyn, nasza wielka pacyfistka, jest teraz doskonale uzbrojona.

Wtedy z lewej strony podbiegli do mnie Lee i Homer, przeskakując przez sterty kamieni i drewna. Obydwu pokrywała warstwa pyłu i krwi, lecz nie było czasu pytać, czy nic im się nie stało. Lee wziął ode mnie Fi i poniósł ją dalej. Nadal brakowało mi tchu, żeby cokolwiek powiedzieć, ale gdy wskazałam Kevina, Homer po niego pobiegł. Okropnie bolały mnie plecy, a teraz także noga, na którą jednak nie odważyłam się spojrzeć. Lee i Fi byli już spory kawałek dalej. Zobaczyłam, że nagle Fi odzyskuje przytomność i próbuje uwolnić się z uścisku Lee. Robyn przeszła już przez bramę. Obejrzałam się w poszukiwaniu Homera i zobaczyłam, że prowadzi Kevina za rękę. Szli we właściwym kierunku, więc ich zostawiłam i poszłam za Robyn.

Wybiegłam na więzienny podjazd. Oddychałam już powietrzem wolności, ale wcale o tym nie myślałam. Próbowałam zmusić mózg do pracy, miałam nadzieję, że nie zostanę zastrzelona, i zastanawiałam się, co znajdę za murami więzienia. Na podjeździe było w zasadzie pusto, ale po prawej zauważyłam ogromny krater oddalony od murów więzienia zaledwie o sto metrów. Chyba wcześniej wokół więzienia w Stratton był mały park, kilka

drzew, ale nic z niego nie zostało. Ani jeden liść.

Na końcu podjazdu stał niebieski mercedes zdmuchnięty na bok. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte, jakby porzucono go w pośpiechu. Na środku podjazdu stał major Harvey, celując z pistoletu w głowę Robyn. Robyn rzuciła karabin na ziemię i stała, trzymając się za brzuch. Zamarłam w bezruchu, czując okropny ucisk w piersi. Major Harvey spojrzał na mnie. Wtedy zrozumiałam, jak bardzo mnie nienawidzi.

- Dobra, chłopcy i dziewczęta - krzyknął. - Koniec zabawy. Kłaść się na ziemi.

Usłyszałam go wyraźnie, więc najwidoczniej odzyskałam słuch. Nikt z nas się nie ruszył i major Harvey krzyknął jeszcze raz:

- Szybko, bo inaczej ją zastrzelę.

Zaczęłam klękać. Pozostała czwórka zrobiła to samo. Tylko Robyn stała dalej. Była metr od Harveya, ale on na nią nie patrzył, pewny, że zapanował nad sytuacją. Zobaczyłam, jak Robyn wsuwa dłoń do kieszeni koszuli. Krzyknęłam, ale z moich ust nie wyszedł żaden dźwięk. Spróbowałam ponownie i tym razem wydałam z siebie ochrypy suchy charkot. Wiedziałam, że już za późno. Major Harvey spojrzał na mnie zwycięsko. Krzyknęłam jeszcze raz i w końcu wypowiedziałam jej imię. To był ostatni prezent, który mogłam jej dać: świadomość, że zauważyłam. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się lekko, ze strachem, jakby nie wiedziała, co zrobiła ani czy powinna była to zrobić. Harvey zerknął na nią i w ostatniej chwili zrozumiał: widocznie dostrzegł zawleczkę. Otworzył usta, upuścił pistolet i zrobił krok w jej stronę. Wyciągnął rękę, jakby o coś błagał. Potem obydwójce zniknęli. I tyle. Zniknęli. Oczywiście nastąpił huk, ale w porównaniu z wcześniejszymi eksplozjami wydawał się mały - podobnie jak fala uderzeniowa, która uderzyła mnie chwilę później. Poza tym po prostu zniknęli. Robyn tam stała, żyła, była prawdziwa, była człowiekiem, a potem zniknęła. Przestała istnieć.

Potem dopisało nam szczęście. Bóg wie, że na nie zasłużyliśmy. Żadne z nas nie zwróciło na nie jednak większej uwagi. Wzięliśmy samochód Harveya i przejechaliśmy parę kilometrów, ale nagle zaczęto do nas strzelać z powietrza, więc dość szybko go porzuciliśmy. Znaleźliśmy się w samym środku największej misji powietrznej, jaką Nowozelandczycy przeprowadzili od początku wojny, mimo że wtedy oczywiście jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Uczestniczyły w niej samoloty dostarczone przez Amerykanów, lecz pilotowane przez Nowozelandczyków i naszych rodaków. Narobiły sporo zniszczeń. Gdy skończyły, z fabryk w Stratton niewiele zostało.

Szczęście dopisało nam w chwili, kiedy zobaczyliśmy samolot zniżający lot nad autostradą. Wydobywał się z niego dym i pilot szybko wylądował na asfalcie. Zahamował tak gwałtownie, że maszyna prawie stanęła na dziobie, a potem wygramolił się z kokpitu na skrzydło i zeskoczył na ziemię. Dzielił nas od niego niespełna kilometr. Na drugą stronę miasta nadal spadały bomby, wszędzie był szary dym i okropne toksyczne kłęby, które strasznie utrudniały oddychanie. Pobiegliśmy w stronę pilota - nie wiem dlaczego, chyba kierowaliśmy się instynktem. Zrobiliśmy to bez zastanowienia. Może uznaliśmy, że to anioł, który zstąpił z nieba, żeby nas uratować. W pewnym sensie nim był. Biegł jak szalony, by oddalić się od samolotu, bojąc się, że maszyna wybuchnie. Spotkaliśmy się na polu obok autostrady.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytał, dysząc, sapiąc i pocąc się. - Boże, to istny dom wariatów.

Miał rude włosy i brwi oraz mnóstwo piegów i mniej więcej dwadzieścia cztery lata. Był wysoki i chudy. Patrzył przyjaźnie i szeroko się uśmiechał, jakby trafił na jakąś wielką imprezę.

Po niebie przetoczył się kolejny długi grzmot i na horyzoncie zobaczyliśmy błysk.

- Mocne uderzenie - powiedział.

- Jak się stąd wydostaniesz? - krzyknęła do niego Fi.

- Zaczekaj, a sama zobaczysz. Za trzy minuty już mnie tu nie będzie.

- Jak to? - zapytałam, łapiąc go za rękaw.

Wyjął z kieszeni mały szary gadżet, nie większy niż pilot od telewizora. Czerwone



światelko migało na nim jak szalone.

- To mój przycisk wzywający pomoc - wyjaśnił. - Już go wcisnąłem. Będą tu za parę chwil.

- Zabierz nas ze sobą! - zawołała Fi.

Najwidoczniej nie była w stanie mówić normalnie, ciągle tylko krzyczała. Pilot spojrział na nas jak na wariatów.

- Nie mogę - powiedział.

- Wszyscy jesteśmy ranni - powiedziałam.

- Widzę. Wyglądacie, jakbyście przeszli przez piekło. Ale przykro mi, nie mogę was zabrać.

Dźwięk helikoptera, donośny warkot, przeniknął dym i chmury. Pilot odwrócił się i podniósł głowę, próbując dojrzeć śmigłowiec. Czułam, że traci zainteresowanie naszą piątką - gorzej, staliśmy się dla niego uciążliwi, byliśmy ludźmi, którzy chcieli skomplikować mu życie.

- Zaczekaj - powiedział Homer. Odkąd uciekliśmy z więzienia, nie odezwał się słowem. Z jego oczu bez przerwy płynęły łzy. Nieustanny potok, którego nie próbował nawet wytrzeć. - Zaczekaj. Słyszałeś, że parę miesięcy temu port w Zatoce Szewca wyleciał w powietrze? Wszystko zostało zniszczone?

- Jasne, że słyszałem. Mój kumpel porobił zdjęcia. Były w gazetach.

- To my go wysadziliśmy - powiedział Kevin.

Pilot jeszcze raz nam się przyjrzał, tym razem dłużej. Homerowi, który nadal zalewał się łzami, Kevinowi z gilem zwisającym z nosa, Fi, która okropnie krzywiła się z bólu, stojąc w koszuli przesiąkniętej krwią, Lee z czarną i krwawiącą twarzą. Za plecami pilota ogromny helikopter przypominający ciężarną krowę osiadał brzuchem na drodze. Uderzył w nas gwałtowny podmuch. Trudno było stać, słuchać, widzieć.

- Pospieszcie się - powiedział, a potem odwrócił się i popędził do śmigłowca.

Pobiegliśmy za nim najszybciej, jak umieliśmy: kulejąca, łkająca pięcioosobowa grupka. Trzymałam Fi, a Homer pomógł Kevinowi. Tylko Lee dobiegł sam. Pilot wchodził już do śmigłowca i widziałam, jak gestykuluje, tłumacząc coś załodze. Potem odwrócił się, żeby nam pomóc.

Nawet jeśli załoga nie chciała nas zabrać, nie dała tego po sobie poznać. Gdy tylko weszliśmy do środka, helikopter szybko wystartował. Już kiedy się wznosiliśmy, owijali nas kocami i kładli na noszach rozłożonych na podłodze. Nie mogłam uwierzyć, że w śmigłowcu jest aż tyle miejsca, że jest aż taki duży. Nigdy wcześniej nie leciałam helikopterem. Ktoś

przystawił mi do ust butelkę z wodą: przez chwilę próbowałam ją odepchnąć wargami, ale potem dałam za wygraną i pozwoliłam wmusić w siebie płyn. Leżałam obok Fi i mocno ściskałyśmy się za ręce. Leżaliśmy tak przez cały lot nad Tasmanią, ani na chwilę nie wypuściłyśmy swoich dłoni. Nawet teraz czuję przerażenie, kiedy Fi na kilka sekund znika z pokoju i nie wiem, dokąd poszła.

# Epilog

Gdy przyjechaliśmy do więzienia w Stratton, strażnicy otoczyli ciężarówkę, żeby nas zobaczyć. Kiedy dotarliśmy do Wellington, doleciawszy nisko nad wodą do pięknego miasta na wzgórzach, też zebrał się tłum. Nie wiem, czy te dwie grupy wiele od siebie różniło. Jedną i drugą zwabiła ciekawość.

Oczywiście zanim przybyliśmy do Wellington, dobrze się nami zajęli. Spędziliśmy dwa tygodnie w ośrodku medycznym sił powietrznych w bazie Astin, gdzie wylądowaliśmy po ucieczce z kraju. Każde z nas miało długą listę obrażeń. Na mojej znalazły się: szok, pęknięty kręgosłup, naruszona rzepekka, niedożywienie, rany cięte i otarcia, ostry stan lękowy, wszawica... To chyba wszystko. Nadal chodzę o kulach. W najgorszym stanie była prawdopodobnie Fi: miała wstrząs mózgu, była w szoku, pękły jej obojczyk i bębenek w uchu, a twarz przecięła długa blizna, która miała jej przypominać o naszej ucieczce przy każdym spojrzeniu w lustro.

To, co zrobiliśmy, zapewniło nam spory rozgłos. Przez długi czas wojna szła źle i dopiero niedawno pojawiły się dobre informacje. Chyba wszyscy byli spragnieni bohaterów. Dlatego na lotnisku w Wellington czekało na nas mnóstwo ludzi i zaprowadzono nas do specjalnej sali konferencyjnej, żebyśmy porozmawiali z dziennikarzami i pozowali do zdjęć. Miałam wrażenie, że co drugie pytanie zaczyna się od słów: „Co czuliście, kiedy.. Z tymi pytaniami radziliśmy sobie raczej kiepsko.

Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Chyba postąpiliśmy właściwie. Najwidoczniej wszyscy właśnie tak uważają. Facet z wywiadu wojskowego, podpułkownik Finley, przedstawił nam skutki niektórych naszych działań i choć wtedy nikt z nas się nie odezwał, byliśmy zadowoleni. Statek, który zatopiliśmy, miał być dumą wrogiej floty czy czymś w tym rodzaju. Chyba dobrze się spisaliśmy.

Tak to wygląda. Czasami, kiedy tu sobie leżymy - bo przebywamy w czymś w rodzaju ośrodka rehabilitacji pod Wellington - żałuję, że nie można cofnąć czasu o parę lat. W moich wspomnieniach przeszłość wydaje się idyllą. Pamiętam tylko dobre rzeczy: zapach babeczek w kuchni, noski klonu trzepoczące na wietrze, dżdżownice zwijające się w gęstym kompoście, spacer po polach z tatą i picie herbaty z mamą. Nie pamiętam o psie z brzuchem rozdartym przez kangura ani o oposie z zakrwawionym pyszczkiem, który konał na moich

oczach po zjedzeniu trutki na szczury, ani o muchach siedzących na zwłokach myszy, którą znalazłam za kredensem w kuchni. Nie pamiętam o tym, jak tata krzyczał na mamę, kiedy przez pięć kilometrów jechała na sflaczałej oponie, ani jak mama krzyczała na tatę, kiedy skrytykował jej przyjaciół.

To wszystko jest jak utracony świat, za którym nieustannie tęsknię.

Tymczasem nasi najbliżsi nadal są w niewoli i nie możemy nic zrobić, żeby im pomóc. Po prostu musimy czekać.

Dlatego siedzimy, leżymy albo chodzimy w kółko - choć ja raczej utykam. Nic się tutaj nie dzieje, kompletnie nic. Tak długo napędzała nas adrenalina, że gdy nagle jej zabrakło, zrobiło się dziwnie. Teraz walczą inni. W dodatku dobrze im idzie. Podpułkownik Finley twierdzi, że pertraktacje pokojowe stają się coraz bardziej konkretne: im więcej ziem odzyskują Nowozelandczycy, tym bardziej rosną szanse na pokój. Może pewnego dnia znowu zacznę myśleć o przyszłości. Na razie tylko wspominam przeszłość. Teraźniejszości nawet nie zauważam. Gdy zaczęłam spisywać nasze losy, robiłam to dlatego że chcieliśmy, aby ludzie je poznali, aby nas zapamiętali. Teraz to wszystko straciło znaczenie. Pragnę jedynie, żeby zapamiętano Robyn - za to, co zrobiła, by zasłużyć na pamięć. Bez przerwy o niej myślę. Kiedyś uważałam, że bohaterowie są twardzi i odważni. Ale tamto ostatnie spojrzenie Robyn wcale nie było twarde ani odważne. Raczej pełne strachu i niepewności.

Robyn nauczyła mnie czegoś bardzo ważnego: że trzeba w coś wierzyć. Brzmi prosto, prawda? Lecz wcale nie jest proste. Nie jest proste dla mnie i nie było proste dla Robyn. Jej się to jednak udawało, więc zamierzam starać się i próbować tak długo, aż i mnie się uda.

Na tym polega największy kłopot z naszymi politykami: nie wierzą w nic oprócz własnej kariery.

Trzeba w coś wierzyć. To wszystko.